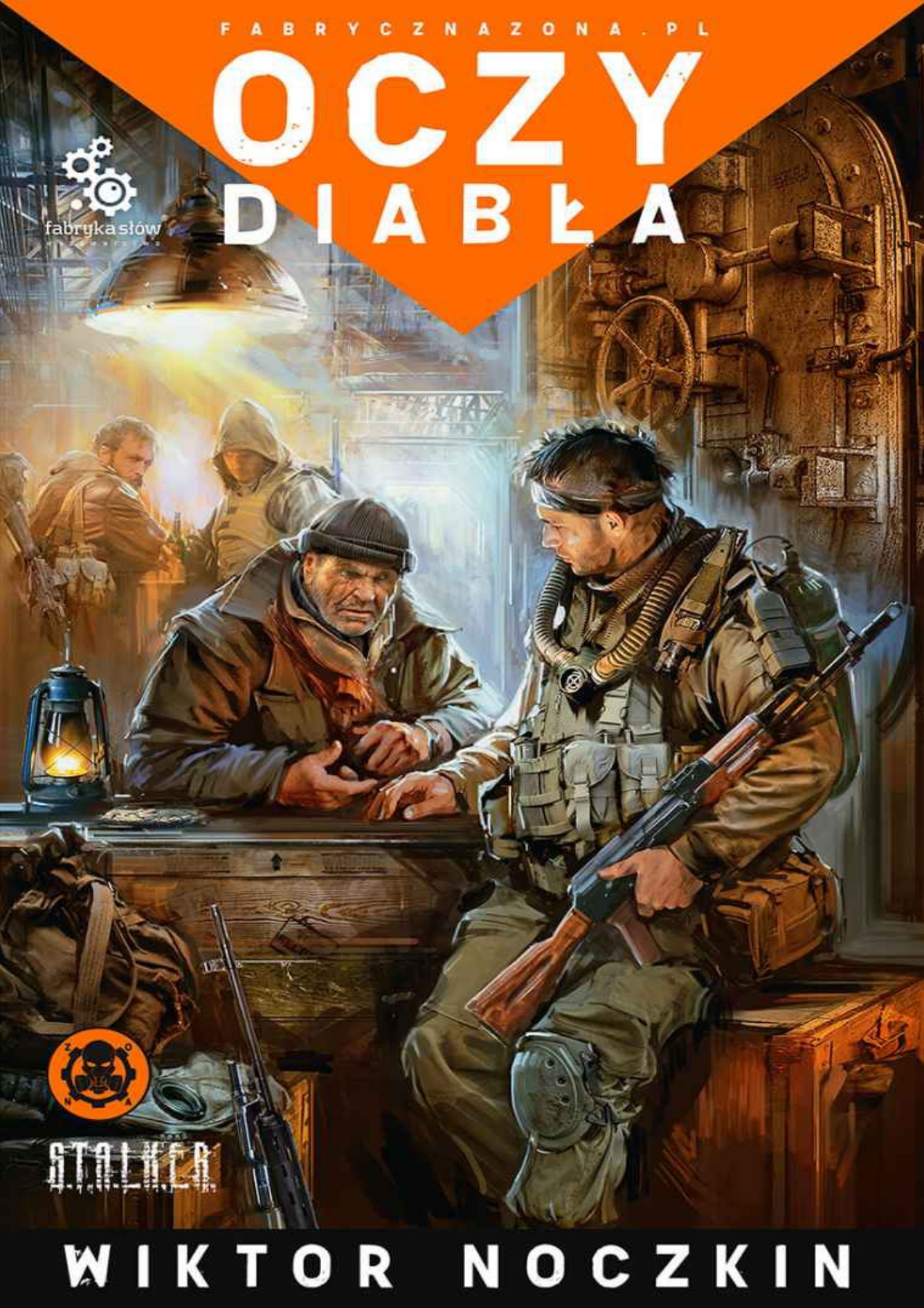


FABRYCZNA ZONA . PL

OCZY DIABŁA



S.T.A.L.K.E.R.

WIKTOR NOCZKIN

WIKTOR NOCZKIN

**OCZY
DIABŁA**



TŁUMACZYŁ
MICHAŁ GOŁKOWSKI

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

COPYRIGHT © BY Wiktor Noczkín
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-432-2

TYTUŁ ORYGINAŁU: Глаза сатаны

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA OKŁADCE

Ivan Khivrenko Aleksandrovich

PROJEKT OKŁADKI

Dark Crayon, Grafficon Konrad Kućmiński

Tłumaczenie

Michał Gołkowski

REDAKCJA

Ewa Białołęcka

KOREKTA

KATARZYNA PAWLIK, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 2519
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Książki z serii

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Od autora (czyli posłowie nieobowiązkowe)

Fabryczna Zona

Okładka

*Z podziękowaniami od Autora
dla Władimira Susłowa za historie i pomysły, które legły u podstaw
napisania tej książki.*

Książki z serii:

- Michał Gołkowski – **Ołowiany świt**
Michał Gołkowski – **Drugi Brzeg**
Michał Gołkowski – **Droga donikąd**
Michał Gołkowski – **Sztywny**
Michał Gołkowski – **Powrót**
Wiktor Noczkin – **Ślepa plama**
Wiktor Noczkin – **Czerep mutanta**
Wiktor Noczkin – **Łańcuch pokarmowy**
Wiktor Noczkin – **Oczy diabła**
Krzysztof Haladyn – **Na skraju Strefy - tom 1**
Krzysztof Haladyn – **Na skraju Strefy - tom 2**
Sławomir Nieściur – **Wedle zasług**
Sławomir Nieściur – **Ostatniego zeżrą psy**
Sławomir Nieściur – **Do zobaczenia w piekle**
Joanna Kanicka – **Bagno szaleńców**
Jacek Kloss – **Ziemia złych uroków - tom 1**

Rozdział 1

Lato trafiło się upalne. Miasteczko dosłownie walczyło o każdy oddech, topiło się w oczach i rozpływało w gorącym powietrzu, drżącym ponad wyasfaltowanymi chodnikami.

Kiedy przyszło skwarne popołudnie, ulice w ogóle opustoszały i tylko na stadionie panował ruch. Kibiców nawet upał nie był w stanie zagnać do domów, bo to przecież właśnie dziś nasi, miejscowi, w końcu stawali oko w oko z dawnym rywalem! Na mecz ściągnęli tłumnie kibice obydwu drużyn, autobusy gości stały rządkiem na parkingu niczym blaszane piekarniki. Kierowcy drzemali w półcieniu, bynajmniej nie spiesząc się, mimo że do końcowego gwizdka został raptem kwadrans, to i tak wiedzieli, że nieprędko stąd wyjadą.

Przecież po meczu musiała jeszcze rozegrać się obowiązkowa draka z ustawką.

Wszystko zaczynało się zawsze niewinnie, od połajanek na trybunach. Najpierw leciały rolki papieru, potem puszki po piwie, ogryzki, race, kamienie, wyrwane siedzenia, ławki, fragmenty ogrodzenia... W tym momencie wkraczała spóźniona milicja, kogoś ładowali do suki, spisywali protokół, a i tak kończyło się

znikomą szkodliwością.

Kierowcy doskonale znali scenariusz, więc nawet nie liczyli na szybszy koniec roboty. Autobusy i tak były państwowe, a kursy z takimi pasażerami to standard.

Milicja również była świadoma nadciągającej burzy, więc czekali swojej chwili i funkcjonariusze – dwa busy i cztery radiowozy stały sobie pod drzewami za rogiem, centralnie pod zakazem, na miejscach dla inwalidów. Stróże porządku ćmili papierosy w miejscu publicznym, depcząc przy okazji miejską zielen i spoglądając na zegarki. No, teraz to już tylko patrzeć.

Od czasu do czasu ponad stadionem wznosiło się chóralne wycie zawodu. Gospodarze przegrywali, piłkarze wychodzili z siebie i stawali obok, żeby wyrównać wynik, a kibice reagowali wrzaskiem na niemalże dowolny ruch piłki.

Krzyki niosły się aż do budyneczku lokalnej filii Promfinspecbanku, dobrych paręset metrów od boiska, wpadając do wnętrza przez uchylone okna wraz z gorącym powietrzem, mielonym przez trzy rżące wentylatory pod sufitem.

Klimatyzacji, oczywiście, nie było.

Póływa z gorąca, przyklejona do swojego fotela kasjerka zmęczonym, matowym głosem powtarzała te same wyuczone formułki. Przed nią pojawiały się coraz to kolejne czerwone, spocone twarze. Ogonek do okienka pełzł ślimaczym tempem, zasilany wciąż przez nowych skazańców: kilka staruszek, zlany potem pan w średnim wieku, typek co chwila zerkający na komórkę, wachlująca się kartką paniusia w żakiecie w kwiatki... Ot, dzień jak co dzień, tyle że upalny. Co zrobić? Sorry, taki

mamy klimat.

Przy wejściu przysypiał na swoim krzeselku ochroniarz, jego kolega stał na dworze z papierosem. Dym zawisał w rozpalonym do białości, gęstym jak rosół powietrzu, wcale nie chcąc się rozwiewać... Na stoliku obok stała butelka wody mineralnej, która dawno już utraciła możliwość ochłodzenia kogokolwiek. Pęcherzyki gazu od czasu do czasu odrywały się od plastikowych ścianek, ulatując ku powierzchni.

Świat dosłownie stanął w miejscu. Sekundy pełzły niemiłosiernie wolno, rozciągając się niczym topniejący w damskiej torebce, nadgryziony batonik z czekoladą i karmelem.

Kasjerka trzasnęła stemplem w blankiet przelewu, podała klientowi i bez skrępowania popatrzyła na zegarek. Jeszcze tyle do końca...?! Do okienka podeszła kolejna babulina, zakutana w chustkę z frędzlami i ubrana w sweterek. Z jakiegoś powodu ludzie od pewnego wieku przestawali być wrażliwi na temperaturę... A kasjerka gotowa byłaby w tej chwili zabić, żeby znaleźć się teraz na plaży, w cieniu... Zrzucić z siebie niewygodną bluzkę z kołnierzykiem, poczuć ruch powietrza!

Równomierny, rżący warkot wentylatorów zakłócił inny dźwięk, wyższy i ostrzejszy – przez otwarte drzwi do banku wleciał helikopter. Taki nieduży, zdalnie sterowana zabawka. Ochroniarz, drzemiący na krzeselku, drgnął i obudził się, popatrzył – ale nawet nie wstał.

Wymalowana w jaskrawe kolory maszynka na chwilę zawisała w gęstym, przesyconym zapachem potu

powietrzu, po czym zakołysała się i majestatycznie wyminęła kolejkę, lądując na kontuarze przed samym nosem kasjerki. Babuszka w chustce odsunęła się, przeżegnała odruchowo i zamamrotała coś – albo wzywając na pomoc wszystkich świętych, albo cedząc mocno już historyczną wiązaną przekleństw. Akurat kasjerka wiedziała, że gdy babcia w kolejce otwiera usta w złości, to szanse na jedno lub drugie wynoszą równo pół na pół.

Kasjerka podskoczyła na fotelu, od razu sięgnęła ręką pod blat – zgodnie z instrukcją. Jak zwykle przez chwilę wystraszyła się, nie mogąc znaleźć guzika, ale potem palce wymacały przyśrubowany do stołu przycisk. Jeszcze nie wciskała jednak alarmówki, no cóż, helikopter jak helikopter, zabawka. Pewnie dzieci się bawią albo ktoś sobie żarty stroi. Wszczynać alarm przez coś takiego? Wstyd...

W zabawce coś zaterkotało, spod brzucha helikopterka wypadło czarne, plastikowe pudełko. Dopiero teraz kasjerka zauważyła, że sam śmigłowiec stoi na przyklejonych srebrną taśmą długich, pałkowatych nóżkach – pewnie właśnie po to, żeby coś się pod nim zmieściło. Potem zachrobotał przyklejony do kabinki głośniczek i helikopterek obwieścił:

– No cześć. To jest napad.

Na czarnym plastiku pudełka widniał nierówny, odręczny napis złotym markerem: BOMBA.



– Dotarło? – zachrypiał dziwnym, wysokim głosem

helikopterek. – Z twarzy widzę, że dotarło.

Kasjerka otworzyła usta i zamknęła, patrząc w czarne oko kamerki na dziobie zabawki.

– Paniusiu, to nie są żarty. Detonator odpalam zdalnie, jednym palcem. Żebyś nie miała wątpliwości, to teraz zrobię ci demonstrację w mniejszej skali... Uwaga, kosz na śmieci przy wejściu, ognia!

Ułamek sekundy później na dworze huknęło głucho, gdy kosz rozleciał się na kawałki w chmurze dymu. Po oknach zabębniły rozrzucone śmieci, na szyby bryznęła zielonkawa, gęsta maź. Zabrzęczały szklanki na stolikach, zadrżały długopisy w stojakach, posypały się zrzucone podmuchem ulotki.

Kasjerka odruchowo wcisnęła guzik awaryjny.

Kolejka zamarła w przerażonym bezruchu.

– Mniejsza bomba w koszu była zatopiona w żelatynie. Dla bezpieczeństwa przechodniów, jasne? A tutaj masz dwadzieścia razy mocniejszą, załadowaną gwoździami. Oj, paniusiu, ryzykujesz! – znów odezwał się helikopter. – No dawaj, wciskaj jeszcze raz, dawaj! Widzę, jak ręką ruszasz! Im więcej cieciów tu zwabisz, tym lepiej, bo zakładników więcej! A potem ja wcisnę u siebie i... bach!

Do środka wpadli ochroniarze. Ten, który palił na dworze, był od stóp do głów zachlapany galaretą, czapkę chyba mu zdmuchnęło. Za plecami kasjerki huknęły otwierające się drzwi – to dyrektor filii wbiegł do sali.

– Ani drgnąć, to nikomu nic się nie stanie! – zapiął przestępca z głośnika. W helikopterku znów coś zawarczało, spod dna maszynki wypadła rolka rozwijającego się czarnego worka na śmieci. – Pieniądze do środka ładuj! Same wysokie nominały, i żadnych

głupot! Masz trzy minuty, czas start!

Kasjerka obróciła się na fotelu, popatrzyła na dyrektora wielkimi oczami.

– Wadimie Siergiejewiczu... – jęknęła.

– Szybciej! – zdenerwował się grabieżca. – Dwie i pół minuty, czas ucieka! O klientach myślcie, o niewinnych ofiarach. Jak huknie, to tylko mielonka z nich zostanie. Aha, tak przy okazji tam: kolejka, stać i nie ruszać się, bo też wysadzę! Nie cwaniakować mi, a nic się nikomu nie stanie.

Babcia w chuście westchnęła, kobietka w zakiecie w kwiatki wypuściła kartkę, która upadła z szelestem na podłogę. Zapadła martwa cisza, tylko wentylatory szumiały i rzeżyły. Z pochłapanych pleców ochroniarza spłynął dorodny, soczysty glut żelatyny i mlasnął o podłogę.

Ten dźwięk jak gdyby wyrwał dyrektora z otępienia, mężczyzna pokazał ręką:

– Lida, ładuj.

Przed włożeniem każdego pliku banknotów do worka helikopter musiał obejrzeć go dokładnie, więc kasjerka trzymała je przed okiem kamery. Mniejsze nominały nie spotykały się z łaskawym przyjęciem:

– Ej, co to za drobnica? Ja mam ładowność ograniczoną, przecież to nie transportowiec... Co jest, paniusiu, nie widzisz?

Grupa interwencyjna teoretycznie powinna już być na miejscu, ale jej nie było. Wyznaczone trzy minuty upłynęły, głos raz jeszcze popędził kasjerkę:

– Szybciej, szybciej, paniusiu! I jeszcze... tak... Dość!

Z zewnątrz niosło się już wycie syren. Kiedy

w miejscowym biurze ochrony odezwał się sygnał alarmu, nieszczerólnie było komu reagować, gdyż ta sama firma obstawiała też mecz. Zanim operator ściągnął stamtąd na wpół ugotowanych przez upał kolegów i profilaktycznie zadzwonił na milicję, zanim ochroniarze zdółali wyjechać z pozastawianego parkingu pod stadionem – no, nie trwało to nie wiedzieć ile, ale jednak trwało!

Teraz kawalkada samochodów, do których dołączyły się po drodze wozy milicji, zajeżdżała pod Promfinspecbank. Prowadzący samochód nie zdółał wyhamować, pośliznął się na kałuży żelatyny i zarzucił bokiem, jadący za nim omal nie wjechał koledze w rufę... W końcu zaczęli wyskakiwać z wozów, któryś pokazał na leżącą przy schodach czapkę z daszkiem rozciętym na pół przez kawałek kosza na śmieci.

Do końca meczu pozostawało raptem kilka minut.

Ochroniarze przemieszani z milicjantami dopadli pod bank, dali radę zaskakująco szybko i sprawnie, nie przepychając się i nie kłóćąc, pozajmować miejsca za samochodami i pniami drzew. Dowodzący akcją z ramienia milicji major uniósł nawet włączony megafon, nabrał tchu i już, już szykował się, żeby powiedzieć swój wymarzony od małego, klasyczny, filmowy tekst: „Budynek jest okrążony! Wychodźcie z podniesionymi rękami, jakikolwiek sprzeciw jest bezcelowy!”... Ale nie zdążył.

Z rozgrzanego wnętrza banku wyskoczył kolorowy model helikopterka, który zawył silniczkim i wzniósł się ponad pylące białym puchem korony topoli. Widać było, jak pod zabawką buja się ciężki, czarny worek na śmieci,

ale pomimo balastu maszynka dawała radę, pewnym kursem oddalając się od banku.

Major i kilku innych mężczyzn odprowadziło zabawkę zdumionymi spojrzeniami, ale większość nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem, wpatrując się z napięciem w prostokąt wejścia i zaciskając mokre od potu dłonie na chwytach pistoletów. Ktoś pośliznął się na zielonych glutach, prawie upadł.

Major mimo wszystko zaczerpnął tchu, zawołał już mniej epicko: „Policja, rzuć broń” i tak dalej. Kilka chwil później z banku rozległ się głos:

– Nie strzelać! Tu jest bomba! Wychodzę, nie strzelać!

Zamiast zamaskowanego bandyty w drzwiach pojawił się emerytowany sierżant milicji, a teraz prywatny ochroniarz, w upačkanym mundurze.

– To ja, sierżant Ptuszko! Towarzysz major nie strzela!

Major opuścił megafon, odetchnął z ulgą.

– Ptuszko! Zatrzymaliście sprawców? Ilu ich tam macie?

– Ani jednego, towarzyszu majorze! Ten helikopter widzieliście, wściekła jego mać?!

Po tym, jak sierżant zaczął i skończył kląć, a w końcu wyjaśnił, że pieniądze dosłownie odleciały, w budynku zaś zamiast nich została bomba, major też pozwolił sobie na wyrażenie emocji słowami nie do końca protokolarnymi.

W tej samej chwili od strony stadionu dało się słyszeć wrzask oznajmiający koniec meczu. Gospodarze pod sam koniec wzięli się w garść i zdołali doprowadzić do remisu, który oczywiście nie zadowalał nikogo. Część ludzi już ruszyła ku wyjściu, zaczął się tłok, ścisk,

przepychanki, ktoś na kogoś warknął, ten mu odpyskował. Siedzący po przeciwnych stronach ultrasi obydwu pozaligowych klubów już spoglądali jedni na drugich łakomym wzrokiem, czekając tylko, aż prowodyrzy dadzą upragniony sygnał do kontynuacji rozgrywek sposobem wiadomym.

Major splunął ze złością, rzucił rozkaz: „Z powrotem, na stadion!”. Sam został na miejscu z kilkoma funkcjonariuszami, żeby nadzorować ewakuację i poczekać do przyjazdu saperów.

Był wściekły. Nawet gorzej niż wściekły. Upał jak w piecu, kibole-debile, teraz jeszcze to! W dodatku doskonale wiedział, że w banku pieniądze akurat były. Były, bo sam je wczoraj do tego banku eskortował, kłócąc się po drodze z konwojentami o politykę.

Przerażona nie na żarty kasjerka napchała czarny worek na śmieci nie drobnicą, a grubymi nominałami. Oczywiście mogła pokombinować, dać jakieś pośrednie banknoty... No mogła, ale nie pomyślała. Nie jej wina. Co tylko mogło pójść nie tak, poszło nie tak, co dało się zepsuć, zostało zepsute. Gorzej już być nie mogło.

Major westchnął ponownie, komuś się zmiele, a na nim się skrupi.



Zeńka pstryknęła wyłącznikiem, miniaturowy monitor zgasł.

Najciekawsza część dobiegła końca, teraz zostały te mniej przyjemne rzeczy. Dolatujący zza powybijanych okien hałas narastał – to kibice wysypywali się ze

stadionu, powoli nakręcając spiralę nienawiści.

Gorąco i duszno, pogodynka w telewizji zapowiadała nocną burzę. Żeńka rozłożyła się w opuszczonym domu, przeznaczonym do rozbiórki. Stadion był raptem jedną uliczkę i placyk dalej, a w miasteczku panowała zupełna cisza, więc doskonale słyszała, jak od strony boiska niosą się coraz bardziej gniewne, agresywne wołania.

Dziewczyna ostatni raz popatrzyła na elektronikę. Ech... No szkoda, szkoda. Tyle roboty w to włożyła, tyle serca! Potem jednak porozpinała wszystko, zwinęła kable, wepchnęła sprzęt do plecaka. Porozsuwała na boki skrzynki, służące jej za siedzenie i stoliki.

Co pomniejsze kawałki elektroniki połamała i wrzuciła do odsłoniętej studzienki kanalizacyjnej, resztę cisnęła do stojącego na podwórku kontenera na śmieci. Wyjrzała ostrożnie na uliczkę – pusto.

Od strony stadionu uderzyła fala ryku i dzikich wrzasków. Zaczęło się.

Żeńka zarzuciła sflaczały plecak na ramię i puściła się biegiem. Na placu przed stadionem już zaczynała się bitwa, migwały błękitne koguty i porykiwały syreny radiowozów.

Dziewczyna skuliła się w sobie, wrzasnęła na cały głos: „Bij frajerów, Szachtar pany!” i ruszyła w najgęstszy tłum.

Dosłownie sekundę później na placyk wpadli milicjanci. Zlani potem funkcjonariusze rzucili się do pracy, wznosząc pały nad głowami. I tak byli już wkurzeni, napadem, upałem, jeżdżeniem w tę i we w tę... Tak. Dzisiaj sobie na chuliganach poużywają.



Żeńka wróciła do domu dopiero po północy. Ojciec czekał, a ona wiedziała, że tak będzie – w salonie paliło się światło. Jak tylko w zamku zachrobotał klucz, skoczył do korytarza, żeby ją przywitać.

– Żenia, co to... – zająknął się, widząc, jak wygląda córka. Dżinsy porwane na kolanach, koszulka brudna. Pod okiem nabiega fioletem dorodny siniak. – Żenia, co się stało? Gdzieś ty była, wszystko dobrze?

Córka marnotrawna westchnęła, zrzuciła plecak.

– Tato, nie panikuj. Wszystko gra. Wiem, wiem, że wyglądam słabo, ale jest okej. Nic mi się nie stało, nie denerwuj się. Byłam gdzie nie trzeba, dostałam rykoszetem.

Ojciec popatrzył na nią z powątpiewaniem. Żenia mówiła spokojnie, ale zawsze była spokojna, aż on się czasem denerwował w zamian. Skąd w niej tyle zimnego rozsądku? Dzieci powinny być lekkomyślne, krzyczeć, wykonywać nerwowe ruchy, a ona była wciąż skupiona jak wiązka lasera.

A jeśli wydarzyło się coś strasznego, a ona po prostu udaje?

– Żenia, córeczko...

– Tata, uspokój się! – Żenia dotknęła siniaka, syknęła. – Byłam na meczu, no! Tam się zawsze pobijają. Zgarnęli mnie gliniarze na dołek za nic, telefon zabrali. Dopiero teraz wypuścili, no to ja od razu do domu przecież. Spisali, puścili, koniec tematu.

– Po co w ogóle chodzisz w takie miejsca, córuś? Chodziłabyś lepiej na te swoje kółka zainteresowań...

– Dorastam, tato. Zainteresowania się zmieniają wraz ze mną.

– To ja tu się denerwuję, godzinami czekam, od zmysłów odchodzę...!

– Stop. – Żenia uniosła rękę, ojciec momentalnie umilkł. – Nie koloryzuj. Oboje wiemy, że miałeś dziś wieczorem zebranie modlitewne. Pewnie dopiero co skończyliście, sam niedawno wróciłeś. Nie przesadzaj, proszę.

Ojciec westchnął ciężko. Spokojna, wyrachowana, logiczna. Tak, to jego córka.

– Czyli nawet obiadu nie jadłaś. Kolację chcesz?

– Nie, za gorąco jest. Do wanny wleżę, spłuczę krew wrogów.

Żenia precyzyjnie przesuwała się obok ojca, który odsunął się na bok bez słowa – jak zwykle nie wiedział, co odpowiedzieć dorosłej córce.

Podmuch wiatru uderzył w okna, trzasnął zamykający się lufcik. Ciężko, basowo przetoczył się grom, zaszumiały stare topole. O szyby zaszeleściły poderwane z ulicy liście, gałęzie zaskrzypiały o parapet – zaczynała się burza.



Rano Żenię zbudził dzwonek do drzwi.

Od razu jej się ten dzwonek nie spodobał – długi, natarczywy. Zbyt pewny swego. Goście próbują delikatniej zaznaczyć swoją obecność, a tak dzwonią tylko oficjele i mundurowi. W korytarzu zaszurały kapcie.

Pomiędzy zasłonami przeświecało jaskrawo żółte słońce, więc musiało być już późnawo... No tak, ojciec dawno wstał, ale nie chciał jej budzić, żeby odespała wczorajsze przygody.

Żeńka nastawiła uszu.

– No tak, tak, proszę, proszę – powtarzał ojciec. – Moja Jewgienija jeszcze śpi, ale ja już, zaraz ją...

– Nie śpię, tato! Już idę, idę.

Żenia wbiła się w podarte džinsy, narzuciła na grzbiet koszulkę i powłokła się do salonu. Gdy weszła, gość wstał, skinął głową. Solidny chłop, nie ma co. Katia, koleżanka Żeni, zawsze mówiła o takich: „Niezły kawał schabu”.

– Bry... – mruknęła Żeńka.

– Dzień dobry, Jewgienijo Pietrowno. Terechow się nazywam, Iwan Iljicz, ale można mówić „panie kapitanie”. Z pionu śledczego, że tak powiem, lokalnych struktur organów porządku wewnętrznego. Jeśli pozwoli panienka, to mam kilka pytań...

– Aha. O wczoraj chodzi, nie? – Żeńka pokazała na siniec. – Panie władzo, ja nawet nic nie zrobiłam. Tamci zaczęli, jak zawsze zresztą. Chamstwo straszne się szerzy wśród tych naszych kibiców. Wasi chłopcy niewiele lepsi zresztą, łapali kogo i za co popadnie...

– Hola, hola, panienko...!

Gość spróbował jej przerwać, ale Żeńka dopiero się rozkręcała.

– No idę sobie, swoimi sprawami zajęta, nikogo nie ruszam przecież! No co, co? To już na mecz nie wolno pójść?! Pewnie, że wolno, wolny kraj przecież! A tam, przy wyjściu, już się kłębią i jeden taki tam na mnie

patrzy, i woła: „Awangarda, gówno warta!”. No za pierwszym razem nie zareagowałam, ale on znowu do mnie, i się sady! No to ja go...

– Żeniuś... – chciał jej przerwać ojciec. – Ty, no... Może lepiej...

– Jewgienijo Pietrowna, jeśli panienka pozwoli. – Śledczy uśmiechnął się. Takim zmęczonym, niewesołym uśmiechem. – Ja wszystko wyjaśnię.

– No więc, o cokolwiek chodzi, to nie ja! – z rozpędu zakończyła Żeńka, a potem zamilkła.

– Na pewno nie o mecz. – Uśmiech nagle zniknął z twarzy śledczego jak zdmuchnięty. – Czy zdarzało się panience bywać w klubie modelarskim?

– No, swego czasu. Potem mi się odechciało, w pewnym wieku to już obciach.

– Żenusia ostatnio ciekawi się piłką nożną – odezwał się ojciec. – I dlatego...

– Jeśli pan również pozwoli, to dokończę. – Temperatura głosu gościa nagle spadła zauważalnie. – Jewgienijo Pietrowna, z tego, co mi wiadomo, pracowała tam panienka nad modelem śmigłowca.

– Helikoptera?

– Śmigłowca.

– No, było i takie coś. A co?

– Do klubu było włamanie – wyjaśnił kapitan. – Poszukujemy sprawców.

– Oj, oj. A to jakoś niedawno?

– Otóż kierownik sekcji modelarskiej jest na urlopie, nie ma go już tydzień. Nie wie może panienka, komu zostawiał klucze?

– A tam, klucze. – Żenia machnęła ręką. – Tam zamek

jest taki, że gwoździem się go da otworzyć. Kluczy nikomu nie dawał. Przynajmniej ja nie wiem.

– Gwoździem, mówi panienka. Sprawdzimy... Zamek do ekspertyzy poszedł, tam się okaże, czy gwoździem, czy kluczem.

– Oho, jaki pan kapitan poważny – prychnęła dziewczyna. – Ekspertyza. Normalnie napad stulecia! A skąd wiecie, że było włamanie, jeśli szefa nie ma?

– To dłuższa historia, panienko. Zatem, klucza nie dawał... – Śledczy wyciągnął notatnik, coś zapisał. – Dobrze, to wszystko. Dziękuję.

– I tyle? – Żeńka postarała się, żeby w jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie.

– Tak, na razie tyle. Teraz przepytuję wszystkich aktywnych członków kółka, zadaję rutynowe pytania.

Terechow wstał, poprawił marynarkę.

– A, swoją drogą, panienko. Gdzie była panienka wczoraj, tak za kwadrans szósta?

– Czyli wczoraj to włamanie było? – Żeńka skrzywiła się, siniak pod okiem zabolął. Znów dotknęła policzka. – No to przynajmniej mam alibi, bo byłam na meczu, a potem mnie wasi zgarnęli. Może sobie pan kapitan poczytać, jest zrobiony ten, no... cyrkularz... okólnik, o.

– Protokół – poprawił Terechow. – Jeśli życzy sobie panienka złożyć skargę na funkcjonariusza, to zapraszam do dokonania czynności w trybie ustawowym. Miłego dnia życzę.

Kiedy śledczy wyszedł, ojciec w końcu zebrał się na odwagę i zdecydował rozmówić się z córką. Chodziło mu to po głowie już długi czas, ale nijak nie znajdował w sobie sił.

– Żeńka, posłuchaj... – Odwaga nagle go opuściła. – A, no właśnie. Zrobić ci jajecznicę?

– Nie chcę, tylko herbaty się napiję.

– Żenia! Rośniesz, musisz przecież się odżywiać!

– Nie chcę, mówię. Muszę dbać o linię – rzuciła starym dyżurnym tekstem z rodzinnych obiadów. Jeśli o linię szło, to akurat Żenia najbardziej przypominała odcinek prostej. – Coś chciałeś powiedzieć?

– Żeń, w pewnym stopniu niepokoi mnie to, jak wygląda twoje życie. Skończyłaś szkołę, pora pomyśleć o przyszłości.

– Taatoo! Już to przerabialiśmy. Latem sobie odpocznę, a potem poszukam pracy.

– Przy twoich zdolnościach...

Żeńka była gotowa na dowolny przebieg rozmowy.

– Przy moich zdolnościach uniwersytet stoi otworem – powtórzyła znudzonym głosem. – Ale nie stać nas na opłacenie czesnego. To też przerabialiśmy, tato. Zarobię przez ten rok, zobaczysz. Taatoo... Jestem już dorosła. Naprawdę. I biorę to na siebie, okej?

– Córuś, nie do końca o tym chciałem mówić... chociaż o tym też. Ale niezupełnie. Te burdy...

– Jakie burdy, tato? Przecież pierwszy raz się tak zdarzyło! Chcesz, to więcej na piłę nie pójdę. I w ogóle przestanę kibicować.

– Nie no, to... Nie żeby mi o to właśnie chodziło...

– Mówisz i masz! Noga moja na stadionie nie postanie. Niech to, czego doświadczyłam wczoraj, będzie mi nauczka na całe życie.

Ojciec westchnął: nigdy nie było z tą dziewczyną łatwo. Odkąd żona umarła, sam wychowywał córkę,

która teraz uważała, że jest już dorosła – co wcale nie pomagało. Zalał herbatę wrzątkiem, przesunął miseczkę z herbatnikami bliżej córki i zaczął od początku.

– O czym innym chciałem. Córeczko, żyjesz... no, nie tak jakoś żyjesz. To do klubu, to na mecz, to jeszcze coś innego. Ale cały czas sama. Wszyscy mają znajomych, spotykają się, rozmawiają, no nie wiem... Dziewczęta w twoim wieku myślą o przyszłości.

– O chłopcach, chcesz powiedzieć – podchwyciła Żeńka. – Ojciec, weź zaprzestań, co? Może właśnie po to na piłkę zaczęłam chodzić, żeby kogoś wreszcie spotkać. Zakochać się w kibicu. Założyć rodzinę, iść na bezrobocie. Przynosić mu przed telewizor piwo i kapcie, wozic pijanego po imprezach. To chcesz usłyszeć? Nie? No to lepiej nie zaczynaj.

I ojciec po raz kolejny skapitulował. Akurat czego jak czego, ale tego usłyszeć by nie chciał.

Była niedziela, nie miał nawet dokąd się spieszyć. Przez otwarte okna wpadało chłodniejsze po wczorajszym deszczu powietrze, ale już było czuć, że to stan przejściowy, a upał zaraz wróci. Tata włączył telewizor, Żenia usiadła z igłą i nitką, żeby zacerować porwane spodnie. Poszło jej szybko, jak zwykle zresztą, potem schowała się w swoim pokoju. Ojciec westchnął ciężko – celowo wybrał kanał sportowy z transmisją meczu. Myślał, że córka się przysiadzie, ale faktycznie żar zainteresowania zdecydowanie zgasł.

Dziwna z niej dziewczyna. Tyle lat zajmowała się techniką, w całej klatce sąsiadom naprawiała radia i telewizory. Władilen Igorowicz twierdził, że młoda ma talent... A potem nagle jak nożem uciął, rzuciła wszystko

w ką i została kibicem piłki nożnej. Teraz nawet to jej zbrzydło?

A może Władilen koloryzował o tym talencie? W sumie to mógł, żeby miło polechtać kolegę po fachu... W końcu pracowali razem w szkole: Wład uczył fizyki, Piotr zaś, ojciec Żenki, był biologiem i botanikiem. Kiedyś, dawno temu, zajmował się tą biologią na poważnie, chciał robić karierę, miał prawie że napisany doktorat – ale po śmierci żony zabrakło czasu, córka była ważniejsza. Może i faktycznie tak tylko Władilen powiedział? Z drugiej strony, naprawione przez Żeńkę sprzęty domowe nie kłamały.

Z rozmyślań wyrwał go telefon. Dzwonił Innocenty, sekretarz Wiktora Terentiewicza Poruszczyka. Poruszczyk był właścicielem szeregu zakładów, znanym w mieście potentatem, a ponadto przewodził zgromadzeniu religijnemu, do którego należał Piotr Siergiejewicz.

Wkrótce po stracie żony poczuł, że w jego życiu pojawiła się pustka, którą trzeba było czymś wypełnić. Czymkolwiek. Sąsiadka przekonała go, żeby wraz z nią poszedł na sobotnią grupę modlitewną. Początkowo migał się, tłumaczył, że człowiek o naukowym podejściu do życia tak nie może, nie umie... Ale w końcu dał się przekonać i, o dziwo, spodobało mu się. Ludzie byli mili, uśmiechnięci, pomocni... Przez te cztery lata tak się wciągnął, że teraz bez zgromadzenia by chyba już nie umiał egzystować.

Same ich spotkania były modlitewnymi tylko z nazwy, a co najważniejsze, nie było tam żadnego dogmatyzmu! Rozmawiali o osiągnięciach nauki, o tym, jak to ścieżki

Najwyższego są zaiste niezbadane, o tym, że widać Jego rękę w naukach o polu informacyjnym, promieniowaniu elektromagnetycznym, nawet w wahaniach kursu waluty – we wszystkim, co składa się na noosferę planety.

Poruszczył umiał w przedziwny sposób powiązać w jedną spójną całość rzeczy pozornie tak bardzo od siebie odmienne. Ponadto przewodniczący zgromadzenia zawsze dużo uwagi poświęcał uczestnikom spotkań, dopytywał się o sprawy członków, współczuł, pomagał i radził. Zawsze znajdował słowo otuchy dla samotnego ojca, który dla córki poświęcił perspektywę kariery naukowej. Nieodmiennie szczerze, prawdziwie i słusznie.

Otóż dzwonił Innocenty.

– Piotrze Siergiejewiczu, dzień dobry! Chciałbym pana zaprosić, szef chce dwa słowa zamienić. Tak, do niego do biura. Tak, tak, wiem, że niedziela, ale praca nie śpi, a mamy pewną sytuację. Nie, bynajmniej! Zupełnie bez związku. Dałby pan radę...? Dziękuję bardzo.

Ojciec odłożył telefon i zawołał:

– Żenia, Żeniuś! Muszę iść do Wiktora Terentiewicza!

– Co, nie wymodlił cię wczoraj dokładnie, dziś poprawiny...? A nie, czekaj! Religia to opium dla mas, a ty potrzebujesz działki!

– Oj, córeczko, naprawdę. Do biura mnie prosi, sprawę ma.

– Jasne. Sprawę. Właściciel fabryk, gazet, pociągów i rurociągów. – Żenka stanęła w drzwiach, wzięła się pod boki. – Sprawę ma do ciebie. Pewnie biznes wspólny, co?

Piotr Siergiejewicz w zasadzie domyślał się, jaka to

sprawa, ale na razie nic nie mówił, szykując niespodziankę. Hm... Niespodziankę.

– Ale nie masz nic przeciwko, żebym poszedł?

– Tato, leć przecież. Ja też na spacer sobie pójdę, póki nie ma upału.

Podejście Żenki do tego, jak ojciec spędzał wieczory, było, delikatnie rzecz ujmując, sceptyczne. Do jej uszczypliwych uwag o fanatykach religijnych Piotr Siergiejewicz dawno już przywykł, zaliczając to do rzędu tych samych dyżurnych żartów, co komentarze na temat linii córki. Natomiast żeby Poruszczyk zapraszał go do biura? Jego, osobiście? Tego jeszcze nie było.

Ojciec zebrał swoje papiery i poszedł, a Żenka zastanowiła się. Wczorajszy dzionek był, noo, dość intensywny i z przygodami, a ona mimo to była spokojna. Dlaczego? Ano dlatego, że wszystko się udało. A może i nie wszystko? Ten śledczy, schaboszczak...

Dziewczyna zatrzymała się przed lustrem w przedpokoju, spróbowała zaczesać grzywkę tak, żeby zakryć podbite oko – a gdzie tam! Takiego cuda się nie schowa... Zamknęła mieszkanie, wybiegła na podwórko. Kiedy była mała, podwórko wydawało się jej ogromne – niczym cały jej dziecięcy świat. W miarę jak rosła ona, rozrastał się i ten świat, a teraz podwórko było już małe, ciasne. Ot, tyle co nic.

A na nią czekał naprawdę wielki, szeroki świat bez granic.

Robiło się gorąco, po nocnym ochłodzeniu nie zostało już nawet śladu. Żenka ruszyła pustą i cichą ulicą, po nagrzewającym się asfalcie. Za rogiem hurgotały przejeżdżające po dziurawej drodze samochody, a ich

ślepy zaułeczek kończył się hałdą usypanego żwiru przed nieużytkiem. W tym właśnie kierunku szła, kiedy wpadła na rogu na Katię w towarzystwie dwóch chłopaków. Ci z kolei byli nawet nie „solidni”, a wręcz „atletyczni”. Sportowcy.

– Żanin, helou! – pomachała ręką koleżanka. – Idziesz z nami na plażing?

Jeden ze sportowców zmierzył Żeńkę wzrokiem, nachylił się do kolegi i mruknął coś, tamten parsknął śmiechem. Ówoki! Żeńka wyobrazila sobie samą siebie przy tych dwóch dandysach: znoszone dżinsy, wypłowiała koszulka, podbite oko. No po prostu paryski szyk. Nawet nie miała się o co na nich obrażać, sama by się śmiała.

– Nie, nie chce mi się – odpowiedziała Katii.

– No, to wiesz, kochana, jakby co, to będziemy gdzie zwykle – uśmiechnęła się czarująco Katierina. Oczywiście intonacja dawała do zrozumienia, że jakby co, to niech Żeńka chodzi, gdzie chce, byle nie tam właśnie.

Żeńka machnęła ręką i ruszyła ku nieużytkom. Tam było jeszcze ciszej i spokojniej, pachniało mułem. Kałuże po nocnej ulewie wysychały, zostawiając po sobie spękaną warstewkę błotka... Żenia przeszła przez dziką łąkę i stanęła przed „mauzoleum” – porzuconym nie wiedzieć ile lat temu miejscem budowy, gdzie raczej nigdy już nie wjadą betoniarki.

Nieforemny, betonowy bunkier o zamurowanych drzwiach i oknach, stanowiący pierwszą i jedyną kondygnację pod wieżowiec, który nie miał nigdy powstać. Stało to tak, odkąd Żenia pamiętała; jak była

w piątej klasie, to jakieś dwa dzieciaki się tam zabiły – ot, bawiły się, wpadły do studzienki kanalizacyjnej. Po tym wypadku mauzoleum otoczyła ponura niesława, dzieci przestały się tam zapuszczać, nawet dorośli omijali je z daleka. Wszelkie otwory większe niż głowa dorosłego człowieka zamurowano i zalano betonem. Straszne miejsce. Tylko menele tutaj się gnieździli, dopóki parę lat temu ich nie wyłapali i gdzieś nie wywieźli.

Żenka nie bała się mauzoleum. Znalazła nawet dziurę, którą musieli przeoczyć inspektorzy budowlani, a żule nie znaleźli. Całkiem konkretną, chociaż dla mężczyzny zbyt małą – natomiast dla niej jak znalazł.

Kiedy wyszła z cienia pod drzewami, gorąco uderzyło ją jak obuchem. Żar lał się z rozpalonego nieba, ulice tchnęły skwarnym oddechem... Zawróciła w końcu do domu.

Ojciec już był, siedział teraz na stołeczku przed regałem i grzebał w starych dokumentach. W najniższej szufladzie leżało wszystko – rachunki za wodę i gaz, listy, stare zdjęcia w wypchanych kopertach... Jak na wykopaliskach: im głębiej kopać, tym bardziej zaskakujące rzeczy wychodzą na wierzch. Niepisana umowa głosiła, że zbyt głęboko nie wolno. Tam, na samym dnie, leżał w czarnej teczce nigdy niedopisany doktorat i zdjęcia mamy.

– Żeniuś – ojciec na chwilę odwrócił się od swojego stanowiska – gdzie jest twoja książeczka zdrowia?

Podeszła, przykucnęła. Popatrzyła.

– A tutaj, o. Po co ci?

– Wyobraź sobie, że szykuje nam się wyjazd. – Tata mówił dziwnym tonem, widać było, że nie chce pokazać,

jak bardzo się denerwuje.

– Nam?

– Otóż, rozumiesz... – zająknął się. – Sam się zdziwiłem. Ale tak się najwyraźniej składa, że...

– No dobra, ale do kogo jedziemy? – Żenia zmarszczyła brwi. – Ty, czekaj, powoli. Ty się do swojego guru wybierasz, prawda? Do tego całego Poruszcuka. Tak? Ojciec, jaki wyjazd? Przecież ten typ jest chory! Dobra, tato, zostaw to. Zostaw, mówię! Wszystko od początku poproszę.

– Już, Żenia, już mówię. Tylko proszę, potraktuj to bez uprzedzeń, dobrze? Postaraj się myśleć o tym tak, że Wiktor Terentiewicz jest dobrym człowiekiem. Natomiast jego przeszłość...

– O, to, to! Przeszłość! – Żeńka nieraz próbowała ojca przekonać, ale nigdy się jej nie udało. Nawet nie miała zamiaru tym razem zaczynać, ale rozmowa sama wpadła w rozjeżdżoną koleinę i potoczyła się swoim torem. – Przecież ten Poruszcuk to bandyta, w więzieniu siedział! Ludzi napadał na ulicy kiedyś, wyroki miał!

– Zwolniony warunkowo, a potem oczyszczony z zarzutów – jak zwykle wymamrotał ojciec. – W związku z nieustaleniem...

– No tak, a jakże! – nie odpuszczała Żenia. – Zapłacił komu trzeba i nagle jest czysty jak łąza! Tylko że bandytą był i jest nadal! Tato, no skąd on pieniądze wziął? Skąd? Za co swoje sklepy otwierał? To teraz twój Poruszcuk jest chory, jedną nogą w grobie, i nagle się w nim sumienie obudziło! Znalazł sobie naiwniaczków takich jak ty i gada im głupoty, żeby chociaż było komu w kondukcje pogrzebowym płakać...!

Ojciec przymknął oczy i powoli, zmęczonym głosem powiedział:

– Żenia. Błagam cię. Raz. Raz ty posłuchaj mnie. Proszę. Wiktor Terentiewicz to dobry człowiek, szczerzy, wyrozumiały. Jego przeszłość... do diabła z jego przeszłością! Każdemu się błędy zdarzają. I jemu, i mnie, i tobie! Nie zrobiłaś nigdy nic naganego? Ale tak zupełnie nigdy nic?!

Sam o tym nie wiedząc, ojciec trafił w dziesiątkę. Żenka położyła po sobie uszy, mruknęła:

– Mnie przynajmniej nie złapali.

– Tak? A kto wczoraj z dołka wracał ciemną nocą? Córuś, córeczko, posłuchaj – głos ojca zabrzmiał niemalże błagalnie. – Wiktor Terentiewicz zaprosił mnie do siebie i... Tylko teraz uważaj! To, co powiem w tym pokoju, nigdy poza ten pokój nie wyjdzie. Zrozumiano? Nie powiesz nikomu? Zuch dziewczyna. No więc, wczoraj ktoś napadł na bank.

– No cooś ty! – Żenka była podręcznikowym przykładem zdziwienia.

– Wyobraź sobie, że tak. Szczegółów, rzecz jasna, nie znam, ale jednym z wątków jest zdalnie sterowany śmigłowiec. Ten, który budowaliście razem z Władilenem w klubie.

– Aaa... i dlatego ten śledczy...

– Tak, właśnie dlatego! I był dziś u Poruszcuka, akurat jak ja przyszedłem, to on wychodził. Zrabowane pieniądze należały do Wiktora Terentiewicza. No, miały należeć, bo nie zdążył ich odebrać. Ale właśnie dla niego je przywieziono.

– O kurczę... A po kiego czorta mu gotówka?

– Córuś, nie przerywaj. – Ojciec widział, że Żenia zaciekała się, więc jego głos też nabrał pewności. – Do tego właśnie zmierzam. Wiktor Terentiewicz szykuje ekspedycję, a tam, dokąd się wybiera, kart płatniczych nikt nie używa. Rozumiesz?

– No, założmy... Szkoda tylko, że nie jego okradli, a bank właśnie. Jakby zdążył kasę zabrać, a potem by jego ktoś dygnął...

– Dziewczyno, bój się Boga tak mówić! No więc, zaprosił mnie. Wynajął. Dał pracę, o, tak to nazwijmy. W końcu jestem biologiem z wykształcenia, a w ekspedycji potrzebny jest ktoś o tej specjalizacji.

– Tato, jakiej ekspedycji? Mówiłeś o wyjeździe...

– Daj dokończyć! Ekspedycja. Już dawno mi proponował, wiedziałem o tym. Chciałem ci powiedzieć, ale nijak się nie składało. Płacą bardzo nawet przyzwoicie, więc twoje studia...

– Tato, rozmawialiśmy o tym. Sama to na siebie biorę. Rok popracuję i jest.

– Teraz już nie musisz. Jeden sezon ekspedycji, i mamy ile trzeba. A co się ciebie tyczy, hm... Zamieniłem parę słów ze śledczym i wygląda, że to bardzo poważna sprawa. Na tyle poważna, że lepiej, byś na jakiś czas ty też wyjechała z miasta. Szczegółów nie znam, ale pieniądze... Sam Poruszcuk jest tym wzburzony. Podobno on miał je podjąć, a potem przekazać dalej jakimś ludziom. Poważnym ludziom. Bardzo poważnym.

– W sensie...

– W sensie niebezpiecznym! – wybuchnął ojciec.

– No i sam widzisz! Innym bandytom, z którymi twój Poruszcuk kręci interesy!

– Po pierwsze, nie jest mój. Po drugie, przez ten nieszczęsny śmigłowiec podejrzani są dokładnie wszyscy, którzy mieli z nim kontakt. W pierwszym rzędzie właśnie ty.

– Ja?! A co ja mam z tym wspólnego? Kawał czasu już tam nie byłam.

– Kochanie moje, milicja ci uwierzy. Tamci niekoniecznie. Będą pukać do każdego, kto może cokolwiek wiedzieć, i brać na przesłuchanie. Tylko że zeznania już nie w formie pytań, a bezpośredniego nacisku. A potem... Nawet śledczy dał mi do zrozumienia, że najbezpieczniejsza to byś była w areszcie, a i tam nie do końca.

Żenka zrobiła wdech, wydech. No dobrze, robiło się ciepło.

– I...?

– I moją rozmowę ze śledczym usłyszał sam Wiktor Terentiewicz. Zaproponował, żebyś i ty ruszyła z nami w ekspedycji. To załatwia wszystkie problemy od razu. Tam, dokąd ruszamy, będzie niebezpiecznie, ale on gwarantuje ochronę na najwyższym poziomie. A ja jemu wierzę. Poza tym ty też dostaniesz swoją gażę pełnoprawnego uczestnika. Do tego dodatki, bonusy... Nawet sam wpis w życiorysie, Żenia!

– No dobra, a po co tam się Poruszczyk pcha? Przecież facet ledwo zipie.

– Też ci wyjaśnię, ale potem. A teraz, Żenia, gdzie jest twoja... Ano tak, faktycznie. I tak trzeba jeszcze zrobić komplet badań, tylko proszę mi tutaj nie stroić min! Wiktor Terentiewicz już załatwił ci miejsce u lekarza bez kolejki. Musimy wiedzieć, że jesteś w stanie fizycznie

znieść pewne obciążenia. Wiktor Terentiewicz o wszystko się zatroszczył, to bardzo, ale to bardzo skrupulatny i przewidujący człowiek.

– Tato... – Żenia potrząsnęła głową. – A tak w ogóle to dokąd jedziemy?

– Córeczko moja kochana. Słyszałaś kiedyś o Czarnobylskiej Strefie Zamkniętej?

Rozdział 2

Tolik i Budda maszerowali przed siebie, trzymając się azymutu na bardzo szeroko rozumianą północ. Po Zonie nikt na wprost przecież nie chadza, ale gdyby przyszło komuś do głowy wyrysować ich trasę na mapie, nieźle by się musiał z esami-floresami namęczyć. A jakby jeszcze potem pokazał ten rysunek Buddzie, to ten na pewno znalazłby w plątaninie linii niejedną tajemny znak i ukryte przesłanie.

Szli sobie niespiesznie, omijając skupiska anomalii, szerokim łukiem obchodząc zarówno mutanty, jak i innych ludzi. Owszem, w Zonie nigdy nie bywa bezpiecznie, ale powolne tempo marszu wynikało z tego, że po prostu nie mieli ani dokąd, ani po co się spieszyć. No bo niby co? Teraz, gdy ich brygada w zasadzie nie istniała, byli naprawdę zupełnie wolni. Żadnego szefa, herszta nad nimi, tylko szare, puste niebo.

Budda delektował się tym uczuciem. Ani na chwilę nie przestawał gadać, plótł co tylko ślina na język przyniosła. Jeśli szli akurat pod górkę, to szybko tracił oddech, ale zamiast przestać paplać, po prostu zatrzymywał się na chwilę. Odpoczywał, dochodził do siebie i znów podejmował temat... Tym bardziej że Tolikowi to nie

przeszkadzało. Ciekawie było sobie słuchać strumienia świadomości przyjaciela.

– Wolność! – po raz nie wiedzieć który powtórzył Budda. – Wolność, będąca jedynym akceptowalnym stanem istnienia dla istoty rozumnej. Brak kontroli, który pozwala nam naprawdę zmierzyć granice intelektu i samokontroli. Bo przecież, gdy znikną granice, rozum powinien i musi ograniczać sam siebie! A zatem, przyjacielu mój, wolność to nie tylko przywilej, ale i wielka odpowiedzialność. Bo czymże jest wolność? Niczym innym jak uświadomioną koniecznością. Może wydawać się, że działamy chaotycznie, ale to właśnie chaos jest najwyższą formą porządku.

– Skoro tak twierdzisz... – mruknął Tolik z uśmiechem.

– Tak właśnie jest! We wszelkich grupach, ot, w takiej Powinności chociażby, żołnierz robi to, co mu każą. W naszej brygadzie też rządził Zwornik. Ale to tylko ludzie, a zatem ich rzeczą jest błądzić. My zaś, powolni ich rozkazom, powielamy i pogłębiaamy te błędy. W miarę jak błędy kaskadowane są coraz niżej, ich waga narasta, gdy spadają coraz dalej w... w...

– W łańcuchu pokarmowym.

– Noo, niech będzie, że tak. W każdym razie wszystkie zhierarchizowane struktury prowadzą do nagromadzenia błędów, które nakładają się jedne na drugie, mnożą i wykrzywiają pierwotny, nawet czasami słuszny, zamysł. Zresztą tak samo jest w technologii, gdzie prawdopodobieństwo awarii systemu jest wprost proporcjonalne do liczby zawartych w nim elementów. Dowolny inżynier tylko pokiwa głową na takie słowa!

Co prawda akurat inżynierów w okolicy nie było, więc

Budda w ich zastępstwie pokiwał głową osobiście.

– Ci, którzy osiągnęli pewien poziom rozwoju technologicznego, z jakiegoś powodu boją się kolejnego logicznego kroku, to jest przeniesienia sprawdzonych praktycznie związków przyczynowo-skutkowych na poziom ładu społecznego... Czyli zastosowania matematyki do budowy społeczności. Im bardziej skomplikowana struktura społeczeństwa, im więcej w niej ogniw, tym więcej błędów popełnia najniższa i zarazem najliczniejsza jego warstwa. Bo spójrz: jesteś na samym dole, nic od ciebie nie zależy, a dostajesz ze wszystkich stron wzajemnie wykluczające się sygnały!

– Na przykład?

– Hm, hm... Poczekaj. O, już wiem! Telewizja w reklamie mówi: kupuj! A za chwilę: oszczędzaj! Wychodzisz na ulicę, tam wszyscy pędzą, więc i ty myślisz: szybciej! A milicjant gwizdże: wolniej! Więc jakkolwiek się nie napinasz, musisz popełnić błąd, bo jesteś zamknięty przez uwarunkowania zewnętrzne. Tak, tak. Ogromna ilość potencjalnie nieuniknionych błędów. To właśnie nasze społeczeństwo.

– Nie nasze.

– Co? A, no tak, racja. Ale istotę rozumiesz. My rzeczywiście jesteśmy niezależni. Działamy, poddając się tylko okolicznościom, że tak powiem, przyrody. Bez pośredników. Przyroda zaś, natura, niezmiernie rzadko się myli!

– Ej, ale przecież my możemy też mylić się sami z siebie. Bez szefostwa. A jeśli tę naturę nie tak zrozumiesz, to co?

– To właśnie to! – Budda uderzył dłonią o dłoń. –

Dlatego ci mówię: wolność, przyjacielu, jest wielką odpowiedzialnością i próbą! Wolność wyboru, zarówno właściwego, jak i błędnego. Ale nasze błędy uderzają tylko i wyłącznie w nas, w tym cały wic! Nie puszczamy ich dalej, nie zarazamy nimi sieci społecznościowych, nie odpowiadamy za to, co zrobią inni. A to sprawia, że nasze sumienia są krystalicznie czyste, karma zaś najlepsza z możliwych.

Tolikowi też się takie życie podobało. Zapasów na razie mieli pod dostatkiem, bo cały dobytek brygady przypadł w spadku właśnie im. To też ich znacznie spowalniało, bo musieli taszczyć plecaki z chabarem... Ale owszem, czuli się obydwaj świetnie. Budda miał szampański humor, Tolik był spokojny i zadowolony.

Dopiero trzeciego dnia zapytał nieśmiało:

– Ty, a dokąd my w ogóle idziemy?

– No jak to dokąd? Idziemy do Ryżego Lasu, przecież tak ustaliliśmy.

Tak naprawdę ustaleń nie było, a kierunek wybrał Budda. Tolik zaś, jak zwykle, po prostu poszedł za nim.

– Aha. A dlaczego właśnie tam?

– Bo tam mnie nikt nie zna – wyjaśnił gruby. – Niefajnie by było wpaść na kogoś znajomego, a w okolicach Wysypiska dowolny ślepy pies mnie może rozpoznać. I ciebie też, swoją drogą. A nuż cię widzieli i skojarzą?

Tolik przypomniał sobie stalkera, na którego wpadł podczas obławy, i musiał się zgodzić. Jeśli tamten go widział, a widział, to i może rozpoznać. Tak, lepiej nowe życie zaczynać od nowego miejsca.

– A poza tym – mówił dalej Budda – musimy upłynnić

barachło i się trochę dosprzętować. Handlarz by się przydał, w końcu jesteście, jak to się mówi, oderwani od linii logistycznych. Kumasz?

– Kumam – potwierdził Tolik.

Prawda była taka, że wszystkie poprzednie kontakty stracili – całość ogarniał przecież Zwornik. I poza tym, co mieli robić, jak żyć? Na razie było co jeść, a dalej?

– Kumam – powtórzył. – Podobno na północy jest trochę więcej wszystkiego, tak słyszałem.

– W sensie?

– No, artefaktów i takich tam. Mutantów rzadkich.

– Czeka, nie łapię. Co ty, normitą chcesz zostać? Artefakty zbierać, na mutanty polować i im ogony odcinać czy jak?

– No... – zawahał się Tolik. – A co?

– Ej, bratku, to trzeba było się Ślepego i Mońki posłuchać, z nimi pójść. Rekomendacje, znajomości, tego typu rzeczy... Po normicku. Ale ja, przyjacielu, normitą nie jestem i nie będę. Polowania na mutanty to też nie mój profil, od tego karma gęstnieje. W każdym zwierzęciu może być uwięziona cząstka duszy, która odbywa karę za przewiny z poprzedniego życia, a nie do mnie należy, aby kogokolwiek przedterminowo z więzienia zwalniać. Niech sobie biegają do woli.

– A wcześniej tak nie mówiłeś...

Tolik zaczął się gubić. No dobrze, ale jeśli nie zostawać normitą, czyli uczciwym stalkerem, to niby kim? Szczerze mówiąc, nie widział innych opcji, a sam Budda uśmiechał się pod wąsem. Widać było, że coś mu chodzi po głowie.

– A co proponujesz?

– Tolik, bracie. Ty i ja, kim jesteśmy? Prawilne ziomki, tak? No więc i w tym duchu będziemy postępować. Oczywiście, żeby robić konkretne najazdy na frajerów, jest nas przymało, ale coś się we dwóch zawsze ukręci. Tylko wiesz, trzeba coś nowego, świeżego wymyślić! I taką mam nadzieję, że Ryży Las nam podpowie. To w końcu ciekawe miejsce, nawet Sania Zwierzak tak mówił. Może i sam niewiele lepszy od zwierzaka był, ale Zonę znał dobrze. To co, brachu, idziemy?



Czas i miejsce postojów wybierał Budda. Grubas szybciej się męczył, więc to on określał maksymalną długość przemarszów, kiedy zaś uznawał, że już odpoczął – ruszali dalej.

Tolik szedł z nim i za nim, słuchał gadania i sapania Buddy... I myślał.

Oczywiście tłusty gaduła nie miał nawet zaczątków jakiegokolwiek planu, ale za to miał głowę na karku, więc coś wymyśli. Z drugiej strony, chyba słusznie zrobił, poruszając temat, bo teraz i Budda zaczął się zastanawiać – coraz częściej zamiast paplać swoje zwyczajowe śpiewki o reinkarnacjach i obrotach koła sansary, po prostu szedł w milczeniu.

Tolik zauważył raz i drugi, że jego towarzysz staje i długo, wnikliwie patrzy na coś w trawie. Kilukrotnie nawet pochylał się, stękając, podnosił wszelkie śmieci – ogryzione do białego kości mutantów, pordzewiałe kawałki żelaza, na tyle stare i dziwne, że nie wiadomo, czym kiedyś mogły być. Niewątpliwie gruby nad czymś

myślał, obrabiał plan, a Tolik nie chciał mu przeszkadzać.

– Nie, to nie to – warknął Budda, rzucił kolejne znalezisko w trawę i wytarł rękę o kurtkę. – Cały czas nie to...

– Czego ty szukasz? – Tolik w końcu nie wytrzymał. – Weź powiedz, też będę patrzeć.

– Czegoś nówka sztuka – powoli, z namysłem odpowiedział Budda. – Ale takiego, żeby nie było wiadomo, ile może być warte. I niepodobnego do niczego innego, i do tego musi stać.

– Czyli czego?

– Ba, żebym to ja wiedział. Ale spokojnie, prędzej czy później się trafi. Tylko tutaj okolica dzika jest, niechodzona, a takie coś to raczej przy ścieżkach ludzi by leżało.

– No to tutaj. Patrz, ognisko tu było.

Tolik pokazał na ciemny krąg wypalony w trawie.

Szli przez równą niczym blat stołu łąkę, zarośniętą wysokimi chwastami. Wypalone słońcem rośliny nabrały dziwnego, czerwonego odcienia; nawet sama ziemia była rudawa, ciężka, niczym glina. Jak gdyby wszystko wokół pokrywała rdza... Poleźli tu bez szczególnego celu, omijając teren o podwyższonym tle promieniowania – zamiast zakładać kombinezony, musieli kombinować. Okolica była nieciekawa, wręcz nudna – anomalii jak na lekarstwo, artefaktów jeszcze mniej. A mimo to i tutaj ludzi zanosło.

Ognisko było solidne – ktoś wyciął spory płat darni, ułożył dokoła równe cegielki, nawet chrust jeszcze leżał na kupce. A do najbliższych drzew było ze dwieście

metrów, nie mniej... Zapas zdziwił Tolika, który podszedł bliżej, pokręcił głową z uznaniem. Budda, sapiąc, przytupeł za nim.

– No i co, coś ciekawego?

– Czort wie... Patrz, ognisko ledwie rozpalone, popiołu prawie nie ma.

– Nie zdążyli – zgodził się Budda. – Drewna nanieśli, ale już nie zdążyli spalić. Pewnie stalkerzy, uczciwi normici. Komu innemu by się tak chciało?

– Może ich ktoś wystraszył. Albo coś. – Tolik rozejrzał się niepewnie, pomny niedawnych wydarzeń.

– E tam, pozytywnie trzeba myśleć! – zaproponował gruby. – Od razu „coś”! A może właśnie na odwrót: ktoś ich do siebie zaprosił? Wychodzi, dajmy na to, panienska z pięciolitrową butlą samogonu i woła: e, chłopaki, chłopaki...!

– No, fajnie tak – zgodził się Tolik.

– Tak patrzę i nie rozumiem, dlaczego tutaj się akurat chcieli zatrzymać? – Budda nie umiał nie myśleć na głos.

– Z mojej mapy by wynikało, że...

Włączył mapę, wbił w nią wzrok. Pokręcił regulatorem zbliżenia.

– No właśnie, tutaj nieopodal są zabudowania.

Tolik zerknął mu przez ramię. Faktycznie, widać było kilka szarych prostokątów.

– Sam myślałem, że tam staniemy, przecież zaraz wieczór będzie – wyjaśnił Budda. – Więc upatrzyłem zawczasu. A ci tutaj, ot tak, pośrodku pola. Dlaczego tam nie poszli?

– Normici – Tolik powtórzył od niedawna ulubione określenie kolegi.

– A widzisz, niekoniecznie. Nie wiem, czyby im się chciało tyle drewna wlec, przecież las jest, o, patrz, jak daleko...

Tolik w końcu delikatnie dał koledze do zrozumienia, że jeśli mają nocować tam, gdzie chciał, to może pora ruszać dalej, i gruby się z tym zgodził. Raz jeszcze sprawdzili mapę, ruszyli ku laskowi, za którym powinno być już widać zabudowania.

Słońce chyliło się ku zachodowi, na łąkę kładły się długie cienie drzew. Cisza była wręcz niewiarygodna... Dlatego też terkot detektora anomalii odezwał się wyjątkowo ostrym tonem.

Dwaj towarzysze rozejrzeli się, zauważyli bezdźwięcznie kręcący się wir powietrza i suchych liści ponad placem przygniecionej trawy. „Ptasia karuzela” przyczała się w pobliżu drzew, słabo widoczna pomiędzy jaśniejszymi i ciemniejszymi plamami. Trawa na skraju anomalii kołysała się powoli, kawałki gałęzi skręcały w długą spiralę, to pojawiając się w czerwonej poświacie zachodu, to zapadając w cień. Było w tym widoku coś niemalże hipnotyzującego.

– Piękne – nagle odezwał się Budda. – Nigdy wcześniej się nie przyglądałem, a teraz to widzę. Anomalia też ma swoją wewnętrzną strukturę... Przecież niejednakowo szybko nimi obraca.

Tolik nie powiedział nic, ale pomyślał sobie, że Budda to jednak dziwny facet. Kto inny widziałby w anomalii piękno, a nie tylko śmiertelne zagrożenie?

Weszli w końcu pomiędzy drzewa, od razu zrobiło się ciemniej i chłodniej. Budda westchnął z ulgą, szli cały dzień w palącym słońcu, więc zdążył przepocić całe

ubranie na wylot. Pod nogami głośno chrupały i szeleściły suche niczym pieprz gałązki, a wtedy cisza na chwilę odskakiwała, żeby zaraz powrócić lepkiem, gęstym dzwonieniem w uszach.

– Nie podoba mi się tu – mruknął Tolik. – Nieprzyjemnie jakoś tak jest.

– Już niedaleko, przecinkę widać.

Wyszli z zagajnika, stanęli przed płotem. Z ledwie trzymającego pion ogrodzenia farba łuszczyła się na potęgę, większość przęseł leżała już w trawie; za nim widać było zabudowania albo to, co po nich pozostało. Jedna ceglana ściana z resztkami tynku i zwalonym dachem, dwa niskie budyneczki... Pewnie pozostałości po gospodarstwie – ot, dom i jakieś szopy albo inne stodoły. Ani Tolik, ani Budda nie odróżniali szpadla od łopaty, więc dla nich były to po prostu ruiny, czyli miejsce o wiele lepsze na nocleg niż środek pustej łąki.

Cisza została w opuszczonym lesie, jak gdyby sama wystraszyła się wyjścia na otwartą przestrzeń.

Pośród ruin powietrze pełne było cichych, ledwie słyszalnych szelestów, mimo że wiatr nadal spał... I w sumie to już chyba tamta cisza była lepsza. Tolikowi od razu zachciało się coś głośniej powiedzieć, potupać, postukać obcasami, połamać jakiś patyk... Byle tylko nie ten śliski, jakby wilgotny szelest!

Obeszli ruiny, zajrzeli do każdego budynku. Pusto, spokojnie, w porzuconych pomieszczeniach rosła sobie trawka. Budda po swojemu grzebał w hałdach śmieci, nadal nie będąc w stanie wytłumaczyć Tolikowi, czego konkretnie szuka. Potem zrobili rundkę po zewnętrznym obwodzie, znaleźli rosnące na skraju dachu „rdzawe

włosie”, kołyszące się w nieruchomym powietrzu. Chyba to właśnie ono tak dziwnie szeleściło.

– Ognisko rozpalę, dobra? – zaproponował Tolik ze zdecydowaniem przesadnym entuzjazmem.

– Dobra – odrzekł grubasek. – Płot będzie jak znalazł na rozpałkę. No i czego tamci za lasem się rozłożyli z obozem? Słuchaj, a tak poza tym, to jak myślisz, dawno to ognisko tam było?

– Tydzień może... A co?

– A jakoś tak nie mogę o nim przestać myśleć. Po kiego grzyba tam? Tutaj lepiej, wygodniej... Chyba.

– Późno może już było, nie chcieli iść przez las.

– „Las” to mocno przekoloryzowane określenie. Czasu mieli dość, bo chrustu nazbierali, tylko nie wykorzystali. Nie, musiał być jakiś inny powód.

Tolik wzruszył ramionami, nie miał na to dobrej odpowiedzi. Wziął się do rozpalania ognia, Budda zaczął otwierać konserwy. Zapadł zmrok, słońce schowało się już za wzgórzami i ruiny pogrążyły w cieniu.

Wyschnięte deski płonęły szybko, po ścianach pląsały rudawe blaski, odbijając się w resztkach szyb. Trzask ognia zagłuszył nieprzyjemny szelest.

Budda zjadł, potem ziewnął i poprosił:

– Skrzypek, weź no pierwszą wartę, bo już mnie morzy.



Tolik siedział pod ścianą, trzymając karabin na kolanach. Budda ułożył się po drugiej stronie pomieszczenia, przyjąwszy pozycję lotosu, i chyba spał – chociaż od

czasu do czasu poruszał ustami. Może wycofał się do wewnętrznego sanktuarium w poszukiwaniu spokoju absolutnego? No, może i tak.

A dokąd miał się wycofać Tolik?

Co z nimi oboma będzie, dokąd prowadzi ich Budda? Stopniowo myśli Tolika zaczęły biec nieoczekiwanym torem. Idą sobie we dwóch, niby równi, wszystko razem, fifty-fifty, jak należy... Ale o wszystkim decyduje gruby! Cokolwiek powie, tak robią. I czemu niby? Przecież Tolik też nie od parady jest chłopak, ma swoją głowę i myśleć umie!

Nagle poczuł, że Buddy wcale nie lubi.

Budda wcale nie był fajny.

W zasadzie to był irytujący.

Bardzo.

Aż do bólu w głowie.

A Tolik miał karabin. Budda był głupi, słaby i bezbronny.

Ogień przygasał, cienie zgęstniały, ale Tolik nie sięgał po kolejną sztchetę, zamiast tego obracając w głowie ciężkie, nieporęczne i toporne myśli. Z przyjemnością wyobraził sobie, jak rozpruwa grubasa długą serią z przyłożenia, a tamten kwiczy jak zarzynane prosię, zalewając się krwią. Wtedy dopiero zrozumie, kto jest poprawny! Który z nich dwóch... Palec pogładził wyslizgany metal języka spustu. Oj, jakie to było miłe, aż się chciało pociągnąć mocniej...

Budda nagle zmienił pozę, machnął przed twarzą ręką. Ten ruch był tak nieoczekiwany, że Tolik aż się wzdrygnął, trzasnąwszy potylicą o ścianę. W oczach mu pociemniało, poczuł się, jakby ktoś gwałtownie

wyciągnął go z gorącej, lepkiej kąpieli na zimne powietrze. Zaczepnął gwałtownie tchu... Wzrok zaczął mu wracać, Budda coś zaburczał.

– Co? – spytał Skrzypek nieswoim głosem.

– Cholerne komary.

Przed oczami popłynęły pomarańczowe plamy, chłopak zobaczył, że gruby macha rękoma wokół siebie, jak gdyby próbując złapać coś fruwającego w powietrzu. Teraz Tolik też usłyszał cienkie, wysokie piszczenie w uszach... Komary? Ale jak to, w Zonie?

Znów napłynęła ciężka, gęsta niechęć wobec Buddy.

– Czujesz to? – wymamrotał grubas.

– Czuję... I nawet ci chciałem powiedzieć, Budda, że jesteś grubym, wstrętnym, włochatym...

– Tolik, ocknij się! Kontroler! – zakwiczał nagle Budda.

Szkarłatna, lepka masa, spowijająca umysł Tolika zadrżała i zafalowała, jak gdyby wystraszył ją ten głos. Tolik potrząsnął głową, spróbował wstać – nogi miał jak z waty.

– Nie poddawaj się, druhu! – darł się Budda. On też nie był w stanie się podnieść, poleciał na twarz, niemalże trafiając głową w gasnące ognisko. – Trzymaj się! Śpiewaj! Zaśpiewaj coś! Przegoń myśli, skoncentruj się na piosence! O-paaaa-nieeee! Totynamniespojrzaa-łeeeś! Twooojeuuuus-taaa...!

Budda nawet nie śpiewał, tylko wywrzaskiwał kawałki wznoszącym się do dyszkantu głosem, ciągnąc jednocześnie ku sobie plecak. Tolik spróbował podłapać pieśń, ale język miał jak z drewna... Udało mu się jakoś podnieść, mimo że przy okazji wdepnął prosto w ognisko; Budda, wlokąc za sobą plecak i karabin,

poczołgał się ku wyjściu, wytoczył na zewnątrz.

Dzwonienie w uszach narastało, a Tolik ze zdumieniem pojął, że się nie boi. Powinien się bać, ale się nie bał. Przeszedł ponad ogniskiem, podążył za przyjacielem, chociaż w buty jakby ktoś nalał mu ołowiu, a stawy skręcił zaciskami.

– Swojąbarkę...! Pozostawiamnabrzeżu...!
Razemztobą...! Znacznyznajdędziśłup...! – chrypiał z podwórka Budda.

Tolik też próbował wraz z nim ni to śpiewać, ni to deklamować... Urywki słów wylatywały z ust wraz z kroplami śliny, sam nie był pewien, co mówi, ale bardzo, bardzo, bardzo mocno o tym myślał! Szedł i szedł ku drzwiom, całe wieki, ale droga skracała się, kiedy koncentrował się na słowach. Pisk na chwilę cichł, oddalał się, czarna mgła ustępowała, a do drzwi było tak strasznie daleko!

W końcu potknął się o próg, wypadł w ciemność... Podniósł głowę i zobaczył, że Budda stoi, zgięty w pół, ściskając w rękach karabin.

Już nie śpiewał.



Kiedy lufa kałasznikowa zajrzała Tolikowi w twarz, ten od razu pojął, że jego towarzysz poddał się i teraz był pod kontrolą mutanta. Przez głowę przeleciała myśl: ech, trzeba go było tam, przy ognisku... Ale potem pojawiła się inna. Nie, to przecież kontroler mu podsuwa takie pomysły!

Budda jednak obrócił się w lewo i pociągnął serią po

budynkach. Kule zagrzechotały o ściany, posypały się deski i kawałki szkła; mgła, która ścisnęła Tolikowi głowę, nagle zniknęła, ale kontroler nadal był w pobliżu – nawet jeśli kule go nie dosięgły, to musiał na chwilę osłabić swój wpływ, zwinąć niewidoczne psi-macki. Jak jeź, który dźgnięty kijem zwija się w kulkę.

Budda coś wrzeszczał, ale trzask wystrzałów zagłuszał słowa. Sens jednak był jasny: pora uciekać. Tolik więc, potykając się o własne nogi, pognął przed siebie. Karabin w końcu umilkł, potem huknęły wystrzały z pistoletu. Tolik upadł znowu, wstając, obejrzał się – Budda biegł za nim, chwiejnie jak pijany. Im dalej odbiegali, tym mniej słyszalny był pisk w uszach, mgła niemalże już ustąpiła, ale i tak nie zatrzymywali się.

Budda chyba zgubił swój karabin. Tolik jakimś cudem nie wypuścił z ręki pasa nośnego, choć broń zawadzała, obijała się o kolana, zaczepiała o gałęzie... Nawet nie widział, dokąd biegną, więc gdyby znalazła się na ich drodze anomalia, to władowaliby się w nią, jak gdyby był to cel ich życia.

Zona była tym razem litościwa. Przeżyli.

Gdy tylko ruiny zniknęły po drugiej stronie pagórka, Skrzypek upadł w trawę. Przyciągnął do siebie kałasznikowa, pomacał. Nie, magazynka nie zgubił... Potem rozległo się sapanie, na wzgórzu wychynął, niczym parowóz na stromym podejździe, Budda. Rozejrzał się, wypatrzył kolegę i potoczył się ku niemu. W końcu dokuśtykał, runął na ziemię obok.

– Uuufff... – sapnął. – Mało brakowało, bym w „elektrę” wpadł. Elektra, jak z greckiej tragedii... Płaczliwa, ale duchem silna, dumna córka Agamemnona. Jakoś nie

jestem gotów umierać w jej objęciach, mimo iście mitologicznych konotacji.

Tolik, jak zazwyczaj zresztą, nie miał pojęcia, o czym mowa, więc odburknął tylko:

– Aha...

Budda, rzecz jasna, nie był w stanie się zamknąć. Nawet w normalnym, spokojnym stanie gadał jak najęty, a co dopiero po takich nerwach!

– Karabin gdzieś wypadł, szkoda – mamrotał. – Szkoda, bo dobry był, porządny. Dopiero co, rozumiesz, otworzyłem czakram, zacząłem medytować... I tak dobrze mi poszło, tak łatwo, no aż dziwne. Od razu zacząłem zrzucać więzi materialne, no normalnie prawie się sam zdziwiłem, że tak prosto... Teraz to rozumiem, co się działo, a wtedy się ucieszyłem, normalnie nirwana w zasięgu ręki, hop, i jestem w raju. A potem jebut! I niby że komar, komar lata. Patrzą, a tutaj ty się gapisz na mnie, oczy jak talerze...

Tolik odwrócił wzrok, bo aż mu się głupio zrobiło za swoje-nieswoje myśli. Chociaż jaka w tym jego wina? Kontroler przecież namieszał. Ale i tak głupio.

– A ty o czym myślałeś? – zapytał Budda. – Co ci ten kutafon nawrzucał?

– Potem pogadamy – zaproponował Tolik. – Bo jeszcze za nami może poleźć. Weź odejdzmy stąd jak najdalej.

Podnieśli się i powoli ruszyli przez spowity w ciemność ugór. Budda nie odpuszczał: a jakie ty miałeś myśli? A co ci kazał? Skrzypek najpierw się jeszcze bronił, w końcu powiedział prawdę.

– Już palec na spuście miałem. No normalnie sam nie wiem, jak to możliwe.

Zerknął spod oka na przyjaciela. Nie obrazi się przypadkiem? Księżyc igrał blaskiem na zroszonym potem obliczu Buddy, który wyglądał, jakby sam lśnił wewnętrznym spokojem.

– Zuch z ciebie, Tolik – powiedział nagle Budda bardzo poważnym tonem. – Kto inny by się nie zawahał nawet, tylko od razu mnie rozwalił. Kontroler to nie przelewki. A ty wytrzymałeś.

– O rany. Już myślałem, że się obrazisz.

– Pewnie, że się obrażę trochę – zgodził się grubasek. – Kontroler nie bierze tych myśli znikąd, tylko twoje własne wyciąga. Gdzieś tam, głęboko w sobie czujesz, że za bardzo się rozpanoszyłem w naszej dwuosobowej brygadzie, i to cię złości.

– Budda, no coś ty! Przecież, człowieku, ja ciebie tak szanuję...!

– Słusznie. Postaraj się zrozumieć jak należy. I ja ciebie szanuję, brachu. W tym za rozsądek i za cierpliwość do mojego pieprzenia. Dlatego tłumaczę ci, że możesz mieć takie myśli i dlaczego możesz je mieć. Masz na pewno, ale je tłumisz, bo u ciebie rozum silniejszy niż emocje. I dobrze. A kontroler ten rozum gasi, rozumiesz? I demony umysłu hulają. Takie demony ma każdy, ale ty i ja swoje możemy zwalczyć. Tak? I za to cię właśnie szanuję, że twój rozum potrafi zwyciężyć demony strachu.

Tolik aż się zawstydził.

– Budda, a co tobie kontroler nagadał?

– A nic, wyobraź sobie. Zacząłem medytować, wyczyściłem mózg, stopiłem się ze światem. W takiej chwili jestem równy z całym stworzeniem, nic nas nie

dzieli. Jak się wyłączam, to umysł jest wolny, myśli znikają, emocje w ogóle idą na bok. Nie miał się za co nawet chwycić.

– Ej, fajno. Weź mnie naucz.

– Chyba ci się nie spodoba... Ups! – Budda zerknął na PDA. – Mamy towarzystwo.



Tolik też popatrzył na mapę. U górnego skraju ekranu widać było jasny punkcik obcego nadajnika. Pojedynczy. Dziwne, bo w takiej głuszy raczej mało kto sam chodzi.

Budda raz jeszcze wspomniał na zgubiony karabin – ech, och, jaki to był dobry. Rzecz jasna, żaden z nich nie zamierzał wracać do ruin, więc gruby doładował pistolet, a Tolik jeszcze raz obejrzał swojego kałasza. Teraz wypadało sprawdzić, co to za nieznajomy się kręci w pobliżu legowiska kontrolera. No, „kręci” to dużo powiedziane, bo sygnał ani drgnął z miejsca.

– Może to sztywny? W sensie trup – rzucił Tolik, gdy już ruszyli.

– Suchar z podwójnym dnem? – Budda uniósł brew.

– Hę?

– Nieważne. Dojdziemy, sprawdzimy.

Obydwaj mówili półgłosem, ostrożnie przemieszczając się przez zarośla. Wnosząc ze wskazań sprzętu, człowiek powinien być gdzieś tutaj, ale nie było widać ani ogniska, ani światła latarki... Im bliżej, tym wolniej szli dwaj towarzysze, aż w końcu w blasku księżyca błysnął metal sprzączki na pasku.

Człowiek leżał na wznak i nie ruszał się.

Budda i Tolik pochylili się nad nieznanym, który nie dawał oznak życia. Grubasek sapnął, przyklęknął i przyłożył palce do szyi, szukając pulsu.

– Jeszcze dycha. Weź no poświeć.

Tolik wyciągnął latareczkę, zaświecił nieprzytomnemu prosto w twarz. Szczerze, to tamten był tak zabiedzony i blady, że bardziej wyglądał na zwłoki. Policzki zapadnięte, oczy podkrążone, usta wyschnięte i spękane. Na pierwszy rzut oka nawet nie wiadomo było, ile może mieć lat, bo równie dobrze mógł dopiero co świętować trzydzieste, jak i siedemdziesiąte urodziny. W dawno niegolonej szczecinie tu i tam przebłyskiwała siwizna.

– Słabowato coś wygląda – zauważył Skrzypek. – I śmierdzi, fu!

– Aha. A sprzęt ma niczego sobie.

Tolik przesunął latarką wzdłuż ciała obcego. Ano fakt, sam kombinezon był pewnie wart więcej niż wszystkie targane przez nich łupy po brygadzie i oni sami na dokładkę. Usta leżącego zadrżały, rozchyliły się.

– Odwodniony jest chyba – zdiagnozował Budda, sięgając po manierkę. Odkręcił korek, przytknął do ust tamtego. Woda poleciała wąskim strumykiem, spływając po policzku; niedoszły trup przełknął, rozchylił powieki. Chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko charkot.

– Spokojnie, brachu, pij i się nie spiesz – uspokoił go Budda.

Tamten przełknął jeszcze kilka łyčzków, potem odchylił głowę i chyba znów odpłynął w niepamięć.

– Kontroler go prowadzał – Tolika olśniło.

– Ano, może być.

Utuczonemu Buddzie ciężko było długo wytrzymać w jednej pozycji, więc podniósł się, zmienił kolano i zaczął rozpinąć kombinezon obcego. Przejrzał kieszenie, zdjął PDA z przedramienia. Komputerek piknął, gruby wziął się do przegrzebywania zawartości pamięci.

Tolik zniecierpliwił się.

– No to co robimy?

– Czekaj no... Nie, tak z marszu nie ogarnę. Tak myślę, że spadamy stąd, chyba jedyne logiczne wyjście. Powiadają, że kontroler nieszczególnie spacerowy jest, ale czego to ludzie nie zmyślą... A mnie się tu nie podoba.

– Paskudnie, no. A z tym co? Sam przecież nie da rady.

– Trzeba go będzie nieść.

Tolikowi ulżyło. Już się bał, że towarzysz zaproponuje odstrzelenie nieprzytomnego, a wtedy musiałby się z nim kłócić. Dziwaczna filozofia Buddy w pełni mogłaby na coś takiego pozwolić, co do tego nie miał nawet cienia wątpliwości. A i on sam przecież do świętych nie należał! Natomiast to byłaby już przesada: tamtego kontroler zniewolił, jakoś mu uciekł, znajdują go ludzie... Ludzie, nie mutanty, nie zwierzęta! I żeby miał tak zdechnąć – no nie, nie. Zbyt niesprawiedliwe.

Krzaków było jak na lekarstwo, więc nie mieli nawet z czego wyciąć drągów na nosze. Nieznajomego po prostu ułożyli na płaszczu przeciwdeszczowym i powlekli za sobą. Kierunek był oczywisty – byle dalej od złowieszczych zabudowań.

Jakkolwiek uratowany mężczyzna był wysoki, to ważył niedużo. Pewnie sterujący nim kontroler nie pozwalał mu się napić, potem tamten zaczął słabnąć, więc kiedy

opadł z sił i zemdłał, bestia po prostu go odpięła, mając nadzieję na nowe, sprawne zabawki – Tolika i Buddę... A tu, o, takiego wała!

– He? A ty co znów? – sapnął Budda, przystając. Tolik zorientował się, że ostatnie słowa chyba powiedział na głos.

– A tak sobie myślę, co mogło mu się przytrafić. Może to on się na nocleg zatrzymał przy ognisku? Porządnie przygotował miejsce, drewna naniósł, bo sam taki, no, poukładany jest. Do gospodarstwa nie polazł, musiał o kontrolerze słyszeć... A ten na światło polazł i go capnął. Tylko nie rozumiem, dlaczego dalej nie chciał obozować?

– Ranny jest, pod ciuchami ma bandaż – wyjaśnił Budda. – Towarzysze go zostawili, ot co. Drewna nabierali, ognisko mu rozpalili i mówią: radź sobie sam. Ufff, zmęczyłem się... Dobra, chyba wystarczy, dość daleko już jesteśmy od tamtego mośka. No więc ognisko przygotowali, rozpalili, drewna przynieśli dużo, żeby sumienie ich nie gryzło...

W oddali zaskowytał ślepy pies, wycie podłapał drugi i trzeci.

– O patrz, już cywilizację słyszać – powiedział gruby. – Pewnie i ludzie się niedługo znajdą. Ale skoro psy są, to lepiej nie leżeć na przełaj, bo teraz mamy ręce zajęte, więc ani detektora nie sprawdzisz, ani broni nie złapiesz w porę.

Brzmiało to rozsądnie, więc zostawili rannego na płaszczu i wzięli się do zbierania drewna na opał. Do świtu pozostało raptem kilka godzin. Tolik od czasu do czasu spoglądał na nieznanomego stalkera. Ten niby

otwierał oczy i patrzył na wiszący nad nimi księżyc, ale nie mówił nic. W pewnej chwili Skrzypek pomyślał: dobrze będzie, jeśli uda się go odratować!

Budda natomiast grzebał w plecaku i, jak rzadko kiedy, milczał. Wyciągnął obrzyn, sprawdził, załadował. Zaczął upychać naboje po kieszeniach. Jeśli dojdzie do spotkania z psami, to lepsza już gładka lufa niż pistolecik.

Niebo na wschodzie zaróżowiło się minimalnie, gwiazdy zaczynały blednąć. Dwaj towarzysze pospali na zmianę po półtorej godziny, a potem zrobiło się na tyle jasno, że można było ruszać dalej. Tolik wypatrzył i ściął kilka młodych brzózek, Budda przygotował troki, żeby związać porządniejsze nosze, które następnie ponieśli na długich pasach, przerzuconych przez ramię.

Nieznajomy nadal nie odzyskiwał przytomności, czoło miał rozpalone.

Nie odeszli zbyt daleko, nim wstało słońce, ale Budda i tak się zmachał – tylko już nie narzekał i nie chciał cały czas się zatrzymywać. Ot, tyle że nie gadał bez przerwy. Odezwał się tylko raz:

– Jest miejsce takie, bar Śnieżynka – tam go zaniesiemy. Masz tutaj, niedaleko, zaznaczone w jego PDA. Może tam typa będą znać.

Tolik cieszył się, że ratują nieznajomego, tylko zupełnie nie rozumiał, po kiego wuja Budda na coś takiego się pisał. To nie w jego stylu, przeważnie gruby był o wiele bardziej wyrachowany... Ale też głupio było pytać przyjaciela, co nagle taki dobry się zrobił? A nuż tamten przypomni sobie, jaki powinien być, i tamtego zostawi? Niech lepiej będzie, jak jest.

„Niedaleko” okazało się, jak wiele rzeczy u Buddy,

pojęciem względnym, bo szli w efekcie dość długo. Ostatecznie nieśli rannego, więc jeśli widzieli nawet najmniej groźnego mutanta, musieli się zatrzymywać, skręcać, szukać obejścia... No i anomalie jakoś się mnożyły.

Około południa rozległo się wycie – to ślepe psy zapewne trafiły na ich ślad i poczuły krew. Musieli przyspieszyć. Nareszcie ślepaki dały sobie spokój, ale Budda zupełnie się spruł i w końcu nie wytrzymał.

– Postój... O, tam pójdziemy – wydyszał, pokazując na skupisko drzew. – Do cienia.

Byli już niedaleko od wybranego miejsca, kiedy odezwały się detektory, gdzieś w pobliżu działała anomalia. Jak by jednak się nie rozglądali, ile by głowami nie kręcili, nic nie było widać! Budda postawił nosze i zdjął z ramion pasy nośne, Tolik poszedł za jego przykładem. Zostawili rannego w trawie, a sami ostrożnie ruszyli w kierunku drzew, idąc do wtóru coraz bardziej nerwowego popiskiwanego urządzenia.

Budda dał Tolikowi znak: poczekaj; wyciągnął z kieszeni śrubki. Rzucił kilka, popatrzył. Zrobił krok. Skrzypek słyszał, że detektor wariuje coraz mocniej, Budda zbliżał się ku niewidzialnej anomalii, a mimo to nic nie zdradzało jej obecności! W końcu gruby machnął jeszcze raz: chodź! Tolik stanął obok, wpatrzył się w trawę. No trawa jak trawa. Gałąź leży jakaś... W końcu zauważył. Fragment ziemi wyglądał inaczej, powietrze nad nim było jak gdyby gęstsze, załamywało światło. Jakby wielka soczewka. Kawałek gałęzi wchodził w tę sferę i dwa listki na nim drżały, wydawało się, że porusza je wiejący od dołu wiatr. Dziwne miejsce.

Tłuścioch wycelował, rzucił jeszcze jedną śrubkę. Soczewka zmętniała, w powietrzu zamigotały ledwie widoczne cienie, a potem powietrze nad kawałkiem żelaza zgęstniało, coś pojawiło się w anomalii i popłynęło ku górze. Wyłoniło się z przezroczystej sfery, na chwilę zawisło w powietrzu, a potem z soczystym mlaśnięciem rozdzieliło na dwie części, które ześliznęły się po krawędzi soczewki i pacnęły w trawę.

– Artefakt? – niepewnie zapytał Skrzypek.

– Dwa chyba, jeśli już.

Wymienili spojrzenia. Chyba po raz pierwszy widzieli coś podobnego! Budda ostrożnie obszedł soczewkę, wziął z ziemi patyk i z daleka dźgnął połówkę artefaktu. Przyciągnął bliżej, popatrzył... Przekręcił na drugą stronę. Poruszał. W końcu zebrał się na odwagę i dotknął. Potem dwoma palcami podniósł idealną połówkę sfery. Obrócił przed twarzą. Tolik widział tylko poblask, tańczący na powierzchni dziwnego tworu, gładkiego niczym lustro.

– Bierzemy – zdecydował gruby. – Potem na spokojnie ogarniemy, co to za dziwo. Ty weź ten drugi, może lepiej ich nie łączyć. Niech każdy ma swoją połówkę.

Tolik ostrożnie podszedł bliżej, ujął artefakt. Ot, soczewka, jak szkło powiększające, wielkości może połówki piłeczki do ping-ponga. Wewnętrzna, równa krawędź gładka, zewnętrzna półsfera chropowata i pomarszczona, niczym skórka włoskiego orzecha. Jak dziwny owoc, w środku którego był brylant, teraz rozcięty na pół.

Ale nie mieli czasu zachwycać się dłużej, bo znów rozległo się chichotanie ślepych psów.

Rozdział 3

Wycie mutantów niosło się z daleka, ale było coraz bardziej wyraźne. Trzeba było działać... Dwaj towarzysze szybko pochowali swoje połówki artefaktu i skoczyli ku odłożonym noszom, pospiesznie gotując broń.

– Nie uciekniemy – rzucił Budda, wskazując na rannego. – Nie z tym tutaj.

– Jeśli tylko psy, to damy radę.

Z krzaków wyjrzał pierwszy ryży pysk, pies zadarł nos i chciwie wciągnął powietrze, a potem zaskowyczał, wzywając pobratymców. Od ludzi dzieliło go może pięćdziesiąt kroków, więc Tolik, trzymający mutantą na muszce, na razie nie strzelał – jeszcze trochę daleko. Stanęli z Buddą plecami do siebie, czekając... Po dłuższej chwili z zarośli wypadło jeszcze kilka psów, a wtedy pierwszy zaczął truchtać wokół dwóch ludzi, wyznaczając krąg dla reszty. Ot, typowa taktyka kundli: najpierw pokrążyć wokół upatrzonej ofiary, potem stopniowo zmniejszać dystans.

– Słabo – warknął Tolik. – Teraz nie odpuszczają. Trzeba strzelać.

– Czekaj...

Pierwsze psy już biegały wokół nich, za nimi dążyły kolejne – było ich kilkanaście. Kręgi szybko zaczęły się zwięzać, mutanty szykowały się do ataku. Tolik wodził lufą kałasza, próbując wybrać cel; w końcu upatrzył jednego z większych, puścił serię. Karabin zadudnił, stado zaskowyczało, ale rytmu nie zgubiło, mimo że trafionym zwierzem szarpnęło, z boku poleciały ryże kłaki i krew. Mutant jednak nie porzucił swego miejsca w korowodzie, jak gdyby nie czując bólu.

– Uwaga, zaraz będą... – Budda nie dokończył.

Większość psów biegła dalej, a cztery rzuciły się na ludzi, każdy z innej strony. Tolik wiedział, co się zaraz wydarzy, a mimo to atak go zaskoczył – uwagę odciągały inne, wciąż krążące wokół stwory. Przegapił ułamek sekundy, potem chlasnął serią, ale za późno. Psa sięgnęły dopiero ostatnie kule, w tym czasie inny skrócił mocno dystans i skoczył.

Huknął obrzyn, ale Skrzypek nie miał możliwości obejrzeć się i sprawdzić, co się dzieje u Buddy – cały świat zasłonił mu lecący wprost na niego ryży mutant. Tolik machnął karabinem, kolba trzasnęła prosto w rozdziawiony pysk, zbiła psa z trajektorii. Mutant poleciał na ziemię, chłopak przygwoździł go krótką serią i od razu polał ołowiem biegnące wprost na nich stado. Budda walnął z drugiej lufy, któryś z psów zaskowyczał, potem trzasnął sucho pistolet. Nie było jak się odwrócić, każdy z nich walczył o własne przeżycie, próbując nie marnować amunicji.

Psy nagle odskoczyły, zaczęły rejterować. Budda kłął i wrzeszczał tak, że w końcu Tolik zerknął przez ramię. Budda lał kolbą obrzyna i kopał jednego z psów, który

musiał prześlizgnąć się przez ich ogień i teraz wbił zęby w rękę leżącego na noszach rannego stalkera. Mutant warczał i szarpał, rzucał się, Budda flekował go ile sił, lecz durny pies nie rozwierał paszczyki, zapewne mając nadzieję na wyrwanie kawałka mięsa... Tymczasem wzmocniony kombinezon nieprzytomnego stalkera ani myślał puścić.

Tolik wycelował, huknął pojedynczym i odstrzelił nachalnego mutantą. Wypiął magazynek, zmienił, rozejrzał się. Trzy psy leżały nieruchomo, czwarty rzucał się i drapał łapami ziemię, kłapał zębiskami i skowyczał. Pozostałe wróciły do biegania po okręgu, na razie nie zaciskając pętli.

Budda podniósł obrzyn, który wypadł mu z ręki, złamał i przeładował. Zmienił magazynek w makarowie, zaproponował na wydechu:

– Ruszamy powoli?

Miało to sens, bo stado mogło przecież połazczyć się na ustrzelonych niedawnych pobratymców, a zostawić ludzi w spokoju. W końcu jedzenie to jedzenie, a jeśli się nie rusza, to znaczy, że da się zjeść... Psy nie żywiły sentymentów.

Towarzysze ostrożnie, nie opuszczając broni, przykucnęli nad leżącym stalkerem, nie patrząc, nałożyli pasy nośne i podnieśli zaimprovizowane nosze. Stalker leżał lekko przekrzywiony, ręka zwisała luźno, ale żaden nie miał możliwości ani czasu, żeby układać go znów w wygodniejszej pozycji. Powoli, krok za krokiem ruszyli z powrotem ku nieznannej anomalii.

Idący z tyłu Tolik obracał się i kręcił, maszerował niemalże bokiem, żeby trzymać psy na celowniku – a te,

jak na złość, zdecydowały się na jeszcze jedno podejście. Stado znów zaciskało swój krąg, ale tym razem mutanty nie działały już tak agresywnie. Kilka sztuk wyłamało się z korowodu, potruchtalo ku leżącym w trawie świeżym trupom. Widać było, że zapach krwi wierceł im w nozdrzach, nie dawał spokoju.

Budda zauważył anomalię i zaczął obchodzić ją z prawej strony, chcąc wejść pomiędzy nią a drzewa. Jakiś mutant – zapewne młody, niedoświadczony szczeniak – rzucił się wprost na niego, niczym ryża strzała. Ślepy pies kilkoma długimi susami skrócił dystans, rzucił się człowiekowi wprost pod nogi, chcąc złapać zębami za kostki. Budda zakwicział ze strachu i dał ognia, śrut rozorał grzbiet mutantą, ale ten przeleciał między nogami grubego i złapał upatrzony cel – zwisającą z noszy rękę. Zawarczał i szarpnął łbem, przy okazji ciągnąc ciało stalkera i bujając całą konstrukcją.

Tolik poderwał karabin, ale bał się strzelać, żeby nie trafić przypadkiem człowieka, tym bardziej że jego też wytręcały z równowagi szarpnięcia zawieszonymi na pasach noszami.

Budda lewą ręką wyciągnął pistolet, niezgrabnie okręcił się, dał ognia – raz, drugi, trzeci! Strzelał niemalże z przyłożenia, pies skowyczał, warczał i miotał się... W końcu ostatni strzał przebił mu żebra, szarpnął raz jeszcze i poleciał na bok, ostatnim wysiłkiem ściągając rannego z noszy.

Obydwaj – i człowiek, i pies – polecieeli prosto w półprzezroczystą soczewkę drżącego okręgu.

Powietrze w anomalii nagle zgęstniało, podniosły się ciemniejsze strumienie dymu. Psy zawyły przeraźliwie,

Tolik pociągnął po nich długą serią i odwrócił się, szarpiąc za poplątane pasy noszy, wyciągnął rękę – ale Budda już chwycił nieprzytomnego stalkera, wydobywając go z dziwnej półsfery. Ślepy pies, który wpadł w anomalię, zerwał się i jakimś cudem o własnych siłach wyskoczył z niej, popędził, jak gdyby przed chwilą nie przestrelono mu łap... Ale towarzysze nie patrzyli już na niego, tylko czym prędzej wtoczyli rannego na nosze i ruszyli jak najdalej od feralnego miejsca. Psy odstąpiły, na chwilę albo na dobre – trzeba było korzystać z szansy.



Odeszli od miejsca potyczki na paręset kroków, kiedy Budda splunął ze złością w trawę.

– To żeśmy sobie, bratku, odpoczęli w cieniu.

Gruby znów sapał i dyszał jak kowalski miech, ale tempa nie zwalniał, zbyt ryzykownie byłoby pozostawać w tej okolicy dłużej.

– Weź, jeszcze kawałek – zaproponował Tolik, patrząc na rannego, który poruszył się i zachrypiał cicho.

Wzięli jeszcze kawałek. Przetoczyli się przez niewysoki pagórek, przecięli zarośniętą krzakami polanę... Krajobraz był mocno jednostajny, aż w końcu wyszli na starą drogę. Z asfaltu nie zostało prawie nic, teraz wiła się tu wydeptana przez stalkerów ledwie widoczna ścieżynka, na poboczu leżały puszki po konserwach i jakieś inne śmieci.

– Stąd na północ – zachrypiał Budda – to już droga do tych ruin, co do nich idziemy. Tam ferma była albo jakieś

obory, albo inne rolnicze cholerstwo. Tędy.

Ranny znów jęknął, tym razem głośniej. Tolik poczuł, jak po ciele nieznanego przebiega dreszcz, bo drzenie przenosiło się na nosze i pasy.

– A może postój...? – mruknął Skrzypek.

Ostrożnie opuścili nosze na ziemię, przykucnęli nad stalkerem. Wyglądało na to, że ten odzyskuje przytomność. Jego usta poruszały się, pod powiekami widać było ruch gałek ocznych. Budda znów sięgnął po manierkę, spróbował go napoić. Mężczyzna, o dziwo, przełknął nawet kilka łyków. Otworzył w końcu oczy, spojrzał na nich w miarę rozumnym wzrokiem. Zacharczał, chyba próbując coś powiedzieć.

– Leż, ziomuś, nie napinaj się – poradził mu Tolik. – Już niedługo. Dojdziemy na miejsce, wtedy pogadamy.

– Gdzie...? – zachrypiał ranny. – Gdzie to...? Gdzie to wszystko...

– Nic i nigdzie – zapewnił go z uśmiechem Budda. – Ty się nie ekscytuj, bo tak naprawdę nie ma nic. Kontroler cię omamił, rozumiesz? Kontroler. O cokolwiek pytasz, nic nie było. Mara, iluzja, miraż. Masz, łyknij se jeszcze wody.

Stalker przełknął, przymknął oczy. Budda zakręcił manierkę, mruknął:

– Tak w zasadzie to wszystko inne też nie istnieje. To jest nic nie istnieje. Jestem tylko ja, wszechświat i dzieląca nas pustka. A wszystkie bezcielesne byty, którymi ją próbuję zapełnić, są... No dobra, ale potem o tem. Trzeba typa będzie nieść, chociaż... A weź no poczekaj.

Budda wyjął z kieszeni PDA nieznanego, sprawdził

jeszcze raz mapę i zapiął z powrotem na przedramieniu właściciela.

– O, widzisz. Teraz można iść.



Maszerować po drodze było zdecydowanie łatwiej. Tolik i Budda zdołali złapać rytm, idąc w nogę, nosze bujały się miarowo do taktu. Stalker znów odpłynął, nie odzywał się ani nie poruszał..

Po niespełna godzinie w końcu zobaczyli przed sobą ruiny – w zasadzie bardziej ściany nośne, bo poza nimi niewiele zostało. Płot z betonowych prefabrykatów ledwie stał, jakimś cudem trzymało się jedno skrzydło pospawanej z rur bramy.

Co prawda nad ruinami wiła się strużka dymu, więc byli tam ludzie. Przyjaciele od razu poweseleli, czując rychłą szansę na cywilizowany odpoczynek. Tolik jednak zastanowił się, jak ich tam przyjmą. A jeśli od razu zaczną strzelać? Kto wie jak ludzie zareagują tutaj na ich mocno prawidłową stylówę?

– Kto nie ryzykuje, tego po twarzy biją gałęzie – zauważył Budda filozoficznie. – Kałasza na wszelki wypadek miej na podorędziu, ale nie pokazuj, że cię ręce świerzbią. Głowa do góry, patrz jak gdyby nigdy nic.

Weszli z noszami przez bramę, rozejrzeli się. Już stąd było widać, że kompleks nie był aż tak zniszczony, jak to wyglądało z drogi, w kilku miejscach zachowały się nawet dachy. Wszystko, jak okiem sięgnąć, było zawałone śmieciami.

– No patrz, jaki syf – skwitował Budda. – Czyli

miejscówka jest popularna, ludu nie brak. I żyją sobie wesoło.

Wnosząc po miejscach, gdzie leżały sterty odpadków, można było określić, które z budynków są zamieszkane. Najwięcej ogryzków i foliowych opakowań walało się przy wejściu do niskiego, betonowego budyneczku, i to właśnie tam przyjaciele skierowali swoje kroki. Przy drzwiach nikogo nie było, ale wcześniej, kiedy przechodzili przez obozowisko, wyjrzało kilku ludzi. Sprzęt mieli najprzeróżniejszy, jeden był nawet w czarnej niby-skórzanej kurtce. Tolik nieco się uspokoił.

– Ej, patrzcie! – nagle odezwał się głośno jeden z miejscowych. – Gil! To przecież Gila niosą!

Stalkerzy ożywili się, Tolik i Budda stanęli, rozejrzeli niepewnie i powoli położyli nosze. Wokół nich już zbierał się tłumek... Jeden z ludzi od razu doskoczył do ranego, zaczął oglądać go, załamywać ręce.

– Gil, Giluś, żyjesz, braciszku!

Gil otworzył oczy, z trudem przekręcił głowę i wycharczał:

– Ruchał cię mięsacz, gnido...

Budda skinął Tolikowi, odsunęli się we dwóch nieco na bok. Gruby wziął się pod boki, pokręcił głową.

– Panowie, ja tu widzę, że jest jakiś ból dolnej części pleców, a to przecież nie moja sprawa. Tego tutaj, o, weźmiecie do siebie? Kontroler go prowadzał... Znacie? No to weźcie się zaopiekujcie, bo mnie już od filantropii w krzyżu łupie.



Pojawienie się Buddy i Tolika okazało się wydarzeniem, które poruszyło całe nieco do tej pory senne obozowisko. Oczywiście w Zonie nie było dnia, w którym coś by się nie działo. Każda taka historia przyciągała uwagę, obrastała niewiarygodną ilością równie niewiarygodnych szczegółów, po czym toczyła się od baru do baru, od obozu do obozu. Ale zupełnie czym innym jest, kiedy taka historia pomiędzy ludzi przychodzi – a czym innym, kiedy od nich właśnie może wyjść! Nowo przybyłych od razu zaprowadzono do baru, zaczęto wypytywać... Nosze z leżącym na nich Gilem chwycili, ponieśli do pomieszczeń dawnej chłodni pod ziemią.

Jak się okazało, Gil był jednym z miejscowych handlarzy. Może nie jakimś wielkim kupcem, ale miał własny skład w Śnieżynce, nawet kilku ludzi dla niego pracowało. Tolik, jak to on, na większość pytań wołał milczeć; Budda za to nadawał na kilku kanałach jednocześnie. Ten opowiadał wszystko, co było, i sporo tego, czego nie było: o napaści kontrolera w opuszczonym gospodarstwie, o ślepych psach, co za nimi już tydzień szły, o tym, jak Gila znaleźli, w końcu, jak go ratowali, co chwila ryzykując zdrowie i życie, ofiarnie niosąc przez pola anomalii i zagony mutantów... Chociaż i tak używał, jak na niego, mocno ograniczonego słownictwa. Pewnie się zmęczył, pomyślał Tolik.

– Wyrodek – pokiwał głową jeden ze słuchaczy, ponury i zarośnięty niczym zbój. – Myśmy tego kontrolera Wyrodkiem ochrzcili. Chytre bydlę! Gdyby nie on, akurat przez gospodarstwo by się szło, a tak przez niego trzeba naobkoło dymać.

– Prawda! – odezwał się inny. – Celowo tam siedzi Wyrodek, bo miejsce jak znalazł! Siedzi tam i dybie na świeżaków, jak wy dwaj.

– Razem by pójść, dygnąć go raz na zawsze... – mruknął ktoś.

– Jak chcesz, młody, to se idź – zgasił go nieogolony. – A ja do Wyrodka na strzał z karabinu nie podejść.

Budda zmienił temat:

– A jak tutaj u was w ogóle sprawy idą? Jakie porządki, kto główny jest? Zanocować można? Chabaru trochę zrzucić?

– A nocuj se – wzruszył ramionami jego rozmówca. – Póki jeszcze się da. Mówią, że zielone ludki z Wolności się na naszą bazę szykują, tylko czekać, jak swoje nieporządki zaprowadzą. Ale póki nie ma Wolności, to jeszcze mamy wolność. I towar znajdzie się komu opchnąć... Na dole popytaj, w chłodni. Tam zawsze się jakiś kupiec kręci.

– Ejże, ejże, panowie bracia, powoli – odezwał się znów młody stalker, ten, co chciał iść na kontrolera. – Jak Gil dojdzie do siebie, to do niego walcie od razu. Przecież mu życie uratowaliście chyba, nie? To i zniżkę da.

Dwaj druhowie w końcu wykręcili się z towarzystwa, poszli szukać miejsca na nocleg. Pochodzili, popatrzyli, wreszcie znaleźli kąt w starym budynku z resztkami dachu. Niebo pod wieczór zaciągnęło się chmurami, tylko patrzeć, jak lunie wypatrywany deszcz.

Potem, już przy wspólnym ognisku, miejscowi opowiadali im historie o Wyrodku, kulawym kontrolerze, który ledwie chodził, ale brał ludzi na sposób. Pewnie duża część tego była zwykłymi

bajaniem, ale jedno było pewne: gospodarstwa wszyscy się bali. A może bali się właśnie przez te opowieści? Możliwe.

Tak czy inaczej, Tolika i Buddy kontroler nie wziął – co za dużo, to i mięsak nie zezre.



Z samego rana dwaj towarzysze ruszyli do lokalnego baru. Przywitano ich tam, ochoczo wytłumaczono, gdzie znajdują się włości Gila. Zresztą w Śnieżynce nie dało się zabłądzić – prosty korytarz, po bokach ślepe klatki pomieszczeń handlarzy i warsztatów, na końcu bar. Był jeszcze jeden niższy poziom, gdzie kiedyś stał osprzęt chłodzący, ale tam już goście nie chadzali; to były prywatne pomieszczenia właściciela Śnieżynki, czyli niejakiego Włada. Ten z kolei niemalże nie pojawiał się wśród mieszkańców, nie mieszał w ich sprawy i zajmował wyłącznie unikaniem zakusów Powinności oraz Wolności, ostrzających sobie zęby na Śnieżynkę.

Przy wejściu do boksu zajętego przez Gila przestępował z nogi na nogę ten sam stalker, którego półprzytomny Gil nazwał gnidą.

– A, to wy.

Budda stanął na palcach, zajrzał tamtemu przez ramię.

– Jak szef, doszedł do siebie?

– Tak, lepiej mu już. Słaby tylko, ledwie stoi... Więc sklep zamknięty.

Pomocnik Gila sam miał nietęgą minę – widać musiał być wśród tych, którzy zostawili ранego stalkera

nieopodal gospodarstwa, a teraz cudowne ocalenie spisane na straty kłuło go w okolicach sumienia. Poza tym pewnie już schedę po handlarzu też zdążyli pomiędzy siebie podzielić.

– Pomówić z nim musimy. Może i siedzieć, byleby gadał.

Do tamtego chyba dotarło, że Budda nie odpuści, więc westchnął, robiąc krok w bok i przepuszczając ich głębiej.

– Was i tak przyjmie.

Przeszli przez pomieszczenie z kontuarem, z za którego Gil skutecznie prowadził swój handel, przez drzwi w samorobnej ścianie wkroczyli na zaplecze. Pośród półek, regałów i skrzynek leżały tam zrzucone na stertę materace, na których spoczywał sam właściciel.

– No, chłopcy... – Gil mówił z trudem, zdarte gardło przyczyniało mu widocznego bólu. – Nawet nie wiem, jak wam dziękować. Patrzcie, myślcie, wybierajcie co tylko chcecie z towaru. Dogadamy się.

Tolik uśmiechnął się.

– Nie no, my nie po to przecież... Tak, z ludzkiego współczucia.

Budda kopnął kolegę w kostkę, odchrząknął.

– Tak prawdę mówiąc, to my tu nowi jesteśmy. Miejsca nieznane, zaczynamy całkiem od zera. Niejedno by się przydało, ale przede wszystkim to dobra rada od właściwego człowieka.

Handlarz pokiwał głową.

– Co tylko będę umiał, podpowiem. Oj, chłopcy, czyste złoto z was. Zona mi świadkiem, że za nogi mnie z tamtego świata wyciągnęliście. Wam teraz dopomóc to

sprawa święta... – Gil odkasznął z trudem, skrzywił się. – A mnie te moje patałachy zostawiły, wyobraźcie sobie. Z towarem szliśmy, khe-khem... No i dym się zaczął, ja dostałem. Trzymałem się ile sił, potem słabo się zrobiło... No i jak na złość.

– Pod samym gospodarstwem – podpowiedział Tolik. – Tak się domyśliliśmy, że ci drewna nanieśli i zostawili.

– Tak było. Jak zrozumieli, że za dnia daleko ze mną nie zajdą...

– Dawno?

– Sześć dni temu. No a wyście... Nawet mojego PDA wam do głowy nie przyszło ruszyć!

Tolik zerknął na kolegę. Teraz już rozumiał, dlaczego Budda założył komputerek prawowitemu właścicielowi przed wejściem do obozu. Ot, frant na cztery nogi kuty.

Gil posmutniał, potem zacisnął pięści: na jego twarzy przeblysnęła złość.

– A ci moi się zwykłymi kutafonami okazali, khe, khe, he... Chociaż na ich miejscu... – zamyślił się.

– Było, minęło – machnął ręką Budda. – Sami święci nie jesteśmy, uwierz. Ty co, myślisz, że sam nie miałem myśli: o, typek prawie sztywny, i tak się nie wylize, a jaki ma sprzęt? Miałem, a jakże. Słowo daję.

Kąciki ust Gila zadrgały, w końcu rozciągnęły się w prawdziwym, szerokim uśmiechu.

– Kombinezon twój. Jak was zwą w ogóle?

Tolik już otwierał usta, ale poczuł kolejnego kopniaka.

– Ja jestem Budda – odpowiedział gruby z powagą. – Ale nie podoba mi się to przezwisko, więc bez potrzeby nie ma co powtarzać.

Potem zaczął gadać z Gilem o ich niewielkim dobytku,

który zabrali ze schronu. W końcu poszli z Tolikiem po rzeczony chabar, który handlarz wziął od nich w całości, hurtem, nawet bez targowania. Skrzypek miał wręcz wrażenie, że uratowany handlarz był zadowolony, że wykręcił się w zasadzie sianem, i chyba tylko kombinezonu było mu żal. Nie rozumiał też, dlaczego Budda ma tak niskie wymagania? Ale zakładał, że ten ma jakiś plan i bez sensu byłoby mu przeszkadzać.

Wreszcie gruby wyciągnął znaleziony przez nich artefakt.

– Gil, ty jesteś człowiek bywały, na artefaktach się znasz. Widziałeś takie cudo kiedyś?

Budda nachylił się nad niedomagającym, pokazał mu artefakt i z tej, i z drugiej strony. Tamten pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co to takiego. To w ogóle artefakt? A co robi?

– A tego ci, wybac, nie mogę powiedzieć. – Budda schował znalezisko do pojemnika. – Ale chciałem się upewnić, że eksponat nie jest znany nauce. No dobra, to teraz dopiero do rzeczy. A gdybyśmy mieli, panie dzieju, przynieść ci nie to barachło, które dopiero co od nas wzięłeś, ale realny, konkretny chabar? Chyba że podpowiesz, do kogo się zwrócić, do poważnego człowieka z poważną kasą.

Gil zaczął opowiadać o co większych handlarzach Zony, wciąż kaszląc i popijając wody. Wyglądało na to, że jeśli wyłączyć Wolność, której nie do końca dało się ufać, to do porządnego handlarza trzeba było iść na fabrykę Rostok, do bazy Powinności. Tolika trochę to gadanie nudziło, widać było, że Gil już się zmęczył, ale Budda nadal zasypywał go pytaniami o ksywy, przekonania,

zwyczaje znaczniejszych handlarzy. Przy co ważniejszych rzeczach gruby spoglądał w sufit, poruszał ustami i powtarzał bezgłośnie, żeby lepiej zapamiętać. Skrzypek nie nadążał – po co im to?

W końcu Gil pomachał ręką.

– Chłopaki, dość. Odpocząć muszę.

– To jutro przyjdziemy z towarem, tak? – przypomniał Budda. – Zrzucimy tobie, no a potem... – Odwrócił się do Tolika, popatrzył znacząco. – Potem w drogę bez niepotrzebnego obciążenia. A ta rozmowa zostaje tutaj, tak?

Tolik tylko wzruszył ramionami. Często tak właśnie reagował: znakiem obojętnej zgody.

Ruszyli do baru, a Tolik ledwie powstrzymywał się, żeby nie zacząć zadawać pytań. Zupełnie nie łapał, co takiego umyślił sobie Budda! Pytać jednak nie było kiedy, bo błyskawicznie trafili w samo centrum uwagi, jako że przybyło kilku nowych gości, którzy historii ratunku Gila jeszcze nie słyszeli, i trzeba było im wszystko opowiadać na nowo. Nie mieli ani jak, ani kiedy na spokojnie się rozmówić, więc Tolik swoim zwyczajem wcisnął się w ciemny kąt. Nawet Budda odpowiadał półsłówkami: no tak, o kontrolerze nie wiedzieli, poleźli w ruiny, poczuli, co się święci, dali w długą. No tak, oni strzelali, Wyrodek się wystraszył, zdołali uciec. Znaleźli Gila, wywlekli. No fart, no. Tak, jakby za nimi mutant polazł, to marny ich los. Tak, kulawy jest, słyszeli już...

W końcu dali im spokój, rozmowa zeszła na starsze opowieści i wydarzenia związane z Wyrodkiem. Z opowieści wyłaniał się obraz bestii niemalże mitycznej, ale zapewne stalkerzy sami tłumaczyli w ten sposób

własne lenistwo – no poszliby, ale tamten taki straszny, że nie da rady... O wiele wygodniej bajki opowiadać, niż przyznać się do własnej bezsilności.

Tolik wyczuł chwilę, szepnął:

– Budda, co ty kombinujesz? Co to była za gadka z Gilem?

– Po drodze wytłumaczę – odparł gruby półgębkiem. – Sam jeszcze do końca tego nie przemyślałem. Dziś wieczorem poświęcę się medytacji, poszukam w wieczności odpowiedzi. No a jak będziemy już dalej... – rozejrzał się – to ci powiem, co i jak. A tutaj ludzi dużo, tylko pożytku z nich mało. To co, napijmy się!

Wieczór rozwinął się i zakończył bardzo podobnie, jak wiele poprzednich. Budda wygadywał wszelakie mądre bzdury, Tolik przytakiwał sennie. Tym razem jednak filozof przeszedł sam siebie, a lekko już wciętemu Skrzypkowi było w to graj.

– Wolność! – gardłował grubas. – Dowolna kwestia prędzej czy później sprowadza się do swobody. Dowolny nasz postępek, jakkolwiek dziś zdawać by się mógł dobrym bądź złym, godnym pochwały czy nagany, dowolne działanie – w istocie rzeczy jest pytaniem! Dlaczego właśnie tak, a nie inaczej postąpiliśmy? „Zdawać się”, mówię, bo przecież jutro może wszystko odmienić. Naganę zamienią na chłostę, a za dobro jeszcze w pysk dostaniesz. Zmienia się koniunktura, wraz z nią płynie i moralność. A czyn przecież jakim był, takim i pozostaje. I kiedy zrzucić z siebie skorupę ocen moralnych, pozostaje tylko jedno pytanie: dlaczego? Zawsze, zawsze jest wybór... Ale działamy tak, a nie inaczej. Dlaczego? Orzeł czy reszka, na kogo wypadnie,

na tego bęc, ot, i całe życie człowiecze. Być czy też nie być? Oto jest pytanie...!

– No i? – Tolik podniósł głowę znad szklanki. Zdawało mu się, że Budda już któryś raz powtarza ten sam zestaw frazesów i jeśli go nie puknąć, to będzie tak nawijał do omdlenia. – I dlaczego niby tak właśnie postępujemy?

– Bo uważamy, że tak jest słusznie, rozumiesz? Wolność jest uświadomioną koniecznością! Nawet przecież w Zonie walczą ze sobą te dwa, prawda? Wolność i powinność, i każdy pomiędzy nimi się tak czy inaczej buja... He, dobre, dobre...! – Pokiwał głową nad własną mądrością. – Chociaż na dobrą sprawę ideologicznie mają tę samą zawartość. Powinność to właściwe rozumienie wolności; wolność z kolei to dobrowolne czynienie swej powinności.

– Bystre. – Tolik wydał usta z uznaniem. – Tylko że i jedni, i drudzy za takie w twarz biją.

– Ale pójdźmy o krok dalej. Czymże jest wolność? Z jednej strony wolnym jest jedynie Bóg, człowiek zaś z racji słabości swojej nieustannie zależny od świata. Z drugiej jednak strony, stworzono nas na obraz i podobieństwo... Zatem nie jesteśmy ani mniej, ani bardziej od Boga wolni. Tak, tak... A co robi człowiek? Tworzy golema na swój obraz i swoje podobieństwo! Czyli, w rzeczy samej, wolność jest powinnością! Ale zaraz, zaraz...! Skoro człowiek tworzy golema na obraz i podobieństwo swoje i inaczej nie potrafi, czy aby nie było tak, że i Bóg musiał Adama stworzyć? Ha! Nie postąpił inaczej, bo postąpić nie mógł! Zatem i on wie, że tak naprawdę wolność jest powinnością!

– No, to samo wczoraj tłumaczyłeś. Tylko że nie łapię,

do czego ty pijesz?

Budda czknął, potarł czoło i dokończył:

– A do tego, że mutanty to nasze golemy. Wyhodowane w sekretnych laboratoriach, na obraz i podobieństwo...

– Przecież to potwory!

– Bo i przez potwory hodowane! – warknął Budda.



Z samego rana wyprawili się do Gila. Przyjął ich ten sam typek, pomocnik handlarza, o którym wiedzieli już tyle, że zwali go Muchą.

Gil odzyskiwał siły w imponującym tempie, tego dnia wyglądał już zdecydowanie lepiej, nawet próbował żartować. Przyjął wszystko, co zgodnie z ustaleniami znieśli, zapłacił żywą gotówką. Budda od razu puścił część pieniędzy z powrotem w obieg, dokupił konserw i racji żywnościowych, żeby na jakiś czas uniezależnić się od punktów handlowych.

Kiedy zakończyli z drobnicą, handlarz zawołał Muchę:

– Dawaj!

Pomocnik wszedł, westchnął ciężko i przekazał Buddzie równiutko złożony kombinezon. Sprzęt był wyczyszczony i wyprany... Jak nówka! Kawał pięknej rzeczy. Tolik tak sobie pomyślał, że aż zbyt pięknej dla nich dwóch. Budda jednak wziął z miną taką, jakby mu się należało jak psu zupa. Gil pokiwał głową, skinął na grubego.

– Słuchaj, a co do tego artefaktu... Tak sobie myślałem, że był podobny przypadek. Słyszałeś może o „sercu Osamy”?

Budda i Skrzypek wymienili spojrzenia.

– A było takie coś – ciągnął Gil. – Znaleźli nasi chłopcy artefakt, przy czym nie jeden, a parkę. Podobny do tego waszego, ale w środku nie niebieskawe, a czerwone mocno. Macie drugą połówkę? A, nieważne zresztą. I też tak było, że jakby złożyć razem, to wychodziła kula. Był kiedyś taki obóz stalkerski, Sztandar Rewolucji...

– Nie znam – wtrącił Budda.

– No bo właśnie był, a już nie ma. Znalazł się jakiś geniusz, co chciał sprawdzić, co będzie, jak się te połówki połączy. No i nie ma obozu, zamiast miejsca dziura w ziemi taka, że dworzec autobusowy by się zmieścił. Dlatego nazwali „serce Osamy”, no bo dwa były... I dziura została...

Popatrzył po nich, czekając na reakcję, potem machnął ręką: nie to pokolenie już.

– No dobra – rzekł Budda. – Jeśli znajdziemy parkę, to wiemy, żeby nie składać. Dzięki za radę.

– E tam, nie ma za co dziękować. To co, ruszacie pewnie?

– Ano, komu w drogę...

– A nie myśleliście, żeby tutaj zostać? Ja wam robotę dam. Wolę was niż tych...

Mucha głośno westchnął za cienkim przepierzeniem.

– Nie. – Budda zdecydowanym ruchem wstał z zydła, przyciskając do piersi podarowany kombinezon. – Osiadły tryb życia to nie dla nas.

– Idziemy – potwierdził Tolik.

– No, jakby co, to ja tutaj jestem. Przychodźcie, zaglądamy, na cenie was nie skrzywdzę. A jak nie na handel, to tak po prostu, w gości.

Budda założył nowy szpej od razu w węźle sanitarnym baru – w kombinezonie wyglądał na konkretnego, doświadczonego stalkera! Wzmocnione płytami pancerza barki i napierśnik skutecznie zamieniały kształty dotychczas obłe w kanciaste, na usta zaś zamiast „gruby” samo cisnęło się „masywny”. Niby nadal powolny, ale już bardziej jak czołg.

Jakoś samo z siebie tak wyszło, że kombinezon wzięła właśnie Budda. Tolikowi nawet do głowy nie przyszło prosić o coś dla siebie.

– Konkretnie wyglądasz – skomplementował towarzysza.

– Aj, szkoda, że lustro nie ma – westchnął Budda, a potem nagle posmutniał. – Ojjoj, co ja gadam? Co ja najlepszego wyrabiam! Sam sobie nakładam kolejne więzy, sam do postronka szyję podstawiam! Oto przywiązałem się do tego łoża padołu, odziewając w proch i marność doczesną... Jedyne, co pociesza, to że nie dla chwały własnej i próżnej, a dla sprawy.

– Budda, jakiej znów sprawy? – zdziwił się Skrzypek.

– Wyższej. Naszej, czyli mojej i twojej. Chodź, opowiem ci w końcu.

Niosąc sflaczałe, niemalże puste plecaki, dwaj przyjaciele opuścili gościnne progi Śnieżynki. Tolik czekał, aż Budda wyłuszczy mu swój plan, ale on zamiast tego zagłębił się w rozmyślania.

– „Serce Osamy”! Tak sobie myślę, że to bardzo, bardzo trafna nazwa. No dobrze, jeśli cały obóz, gdzie te dwie połówki połączyli, zrównało z ziemią, to nikt nie przeżył?

– Ano.

– A skoro nikt nie przeżył, to skąd wiadomo, co tam się

naprawdę stało? Może to wcale nie te artefakty, tylko ktoś tam inną wiązkę zmajstrował. A może i materiały wybuchowe po prostu... „Serce Osamy”, ha! Wiesz co, weź mi daj ten drugi artefakt.

– Po co ci?

– Dawaj, dawaj. Popatrzeć chcę.

– Budda, weź ty ich tylko nie składaj, co?

– Toluś, no coś ty, druhu?! Co ja, nienormalny jestem? Osama Osamą, a ja przecież sam na sobie eksperymentować nie będę.

Tolik niechętnie podał mu swoją połówkę. Budda przyjrzał się półsferom, cmoknął z zachwytem, patrząc na lśniącą błękitną powierzchnię cięcia.

– No śliczne, śliczne. I powiem ci, bardzo dobrze, że ich nikt nie zna. Nawet Gil, taki niby światowiec, a nie zna.

– I jaki z tego pożytek?

– Ano taki, że jeśli czegoś nie znają, to i nie wiedzą, ile może być warte.

Budda nagle stanął, Tolik niemalże wleciał na niego.

– Ej, co się stało?

– Poczekaj, moment. Nadeszła niepokojąca chwila, gdy muszę wziąć na swe barki odpowiedzialność nadania imienia temu cudeńku. „Serce Osamy” nie jest złe, ale potrzebne nam coś innego. „Serce Hitlera”? Nie, nie to...

Gruby bawił się artefaktami, przekręcał to tak, to owak, układał, obracał w tę i we w tę. Błękitna struktura kryształu pobłyskiwała na słońcu. W końcu ujął je dłońmi za zewnętrzną, wypukłą część.

– A jeśliby tak? – Przyłożył w miejsce własnych oczu.

– „Cycki małpy na twarzy”? – zaryzykował Tolik.

– Nie, czekaj... To tak! – Obrócił w drugą stronę,

kierując wypolerowaną powierzchnią na zewnątrz. Nagle okrągłe, dobronurzne lico Buddy z błękitnymi, chłodnymi taflami błękitu zamiast oczu wydało się Tolikowi złowieszczy i zimnym.

– Uch ty... – sapnął Skrzypek.

– Nazwę je... – Budda wziął oddech. – Nazwę je... „oczy diabła”!

– Wiesz co, weź ty je zabierz – zaniepokoił się Tolik.

Gruby opuścił ręce, znów zamienił się w poprzedniego, jowialnego Buddę.

– Nie bój się, ziomuś. Trzymaj.

Tolik z ulgą odebrał swoją połówkę artefaktu i czym prędzej schował z powrotem do pojemnika. Budda jeszcze chwilę pozachwycał się swoim egzemplarzem, w końcu też wrzucił do ekranowanej kieszonki.

– Ej, a dokąd teraz idziemy? – wreszcie zapytał Skrzypek. – Wczoraj obiecałeś opowiedzieć, dzisiaj obiecywałeś... A zamiast tego się bawisz tymi swoimi „oczami diabła”.

– Skoro obiecałem, to już mówię – odrzekł Budda. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy, że pora zmienić profil działalności?

– W sensie?

– No przekwalifikować się z rozbójników na aferzystów. We dwóch napady robić to tak trochę niepoważnie, a i skuteczność niska. Tak więc ogłaszam restrukturyzację naszej miniorganizacji przestępczej ze skutkiem natychmiastowym. Zaczynamy... już.

– Ty no, ale co zaczynamy? I dokąd idziemy w ogóle?

– Tolik, weź nie udawaj głupszego, niż jesteś, co? Na Rostok idziemy, tam się konkretnych ludzi szuka. Na sto

procent kogoś tam wkęcimy... Proponuję zacząć od wałka na „technikolor”.

– Czego? O czym ty mówisz?

– Skrzypek, nie łam mi serca! Przecież sam mówiłeś, że dwa wyroki masz? I o „technikolorze” nie słyszałeś?

– Ej no, ale ja, ten... Za wybryki, znikoma szkodliwość...

– A zatem... – Budda zrobił poważną minę, przyjmując ton iście mentorski – wygląda na to, młody chwieju, że muszę cię nieco w grypserze podszkolić, żeby z cyca porządnego człowieka zrobić. Zapomnij o tym, co ci chomąty chuligańskie mówiły, i mnie się słuchaj. Ja cię ćwierkać nauczę, otworzę przed tobą drzwi do nowego, lepszego, prawidłowego świata przekrętów!

Rozdział 4

Droga na Rostok zajęła im bity tydzień. Mogliby tam dojść, szczerze mówiąc, w kilka dni, ale Budda jak gdyby celowo się nie spieszył, mówiąc, że muszą się przygotować. Ponadto dwaj towarzysze unikali spotkań, a miejsca były dość ludne.

Przede wszystkim gruby zapuścił brodę, twierdząc, że trzeba zmienić wygląd i cechy charakterystyczne. Odkupił od kogoś po drodze nożyce, wyostrzył nóż na brzytwę i zanim weszli na ziemię Powinności, z pomocą Tolika podgolił sobie porośnięte szczeciną policzki. Skrzypek nie mógł wyjść ze zdumienia, jak szybko może zmienić się człowiek! Sam by teraz ubranego w nowy szpej Buddy nie poznał. Co ciekawsze, ten zmienił też zachowanie – przestał cały czas gadać, trzymał się spokojnie, mówił oszczędnie i w ogóle wchodził w rolę. Pouczał też Tolika:

– Nie patrz na mnie, bo ja tutaj robię za odpicowanego uberstalkera, jasne? Ja tu jestem elita, a ty udajesz półgłupka.

– Ej, co ja, cwelem mam być? Nie chcę...

– Nie no, że cwelem od razu. Murzynem do tyrki, i tyle. Prostym takim, nijakim. Nie musisz się poniżać za

bardzo, ale też nie strugaj pawiana. Skromniejsza postawa... jeszcze trochę skromniejsza, o. I zgarbić byś się mógł. No i karabin ja biorę. No mówię ci, no, że musisz udawać frajera, co już w ogóle jest na wylocie!

– Budda, no weź...

– Frajera na wylocie, mówię. I ten artefakt to twoja ostatnia szansa, żeby się od dna odbić. Chcesz maksimum z niego wycisnąć, jak najwięcej wziąć! I nie dlatego, że chciwy jesteś, ale dlatego, że to może być wszystko, co w życiu kiedykolwiek dostaniesz.

– Ty to filmy kręcić powinienes. Normalnie gadasz jak w scenariuszu.

– A co, ja nie dam rady? Jeszcze zobaczysz, jaki film nam zmontuję. Zaczniemy od „technikoloru”.

Ostatnie dwa dni przesiedzieli na miejscu, gdzie szlifowali i polerowali swoje role. Budda co prawda trochę zbyt wczuł się w swoją i zaczął dawać Skrzypkowi do zrozumienia, że nie ma się co szczególnie silić na aktorstwo, byle się zachowywał naturalnie i nie udawał lepszego, niż jest. Tolikowi z początku zrobiło się niemilo, że towarzysz uważa go za cieniasa i frajera, ale potem zacisnął zęby i przyznał sam przed sobą: tak właśnie jest. Frajerem się urodził, frajerem pozostał. I prawdę powiedziawszy, był dumny z tego, że dzięki znajomości z Buddą wreszcie to zrozumiał.

W końcu gruby zdecydował. Są gotowi.

– Widzisz, ziomek, „technikolor” się powinno z kilku ujęć kręcić, klienta trzeba najpierw trochę podkarmić... I kilku statystów by nam się przydało, żeby cenę podbić, ale na to nie mamy możliwości. Zatem działamy szybko i sprawnie, klienta dojeżdżamy na raz. A, i jeszcze jedno,

połowę sprzętu musisz zdjąć.

– Że co znowu...?

– To, co słyszysz. Dodatkowa, a w zasadzie ujemna kostiumologia. Zrobimy skrytkę, zostawisz, co nie pasuje.

Przed wejściem na terytorium Powinności rozdzielili się i przeszli przez dwa różne posterunki. Od tej chwili nie znali się.

Jako pierwszy poszedł Tolik. Wyglądał... Jak by to ująć, żeby nie skłamać i bohatera nie obrazić... No, wyglądał naprawdę jak półgłupek. W starym, znoszonym waciaku, z najtańszą maską gazową w ręku. Wetknięta za pas urzędnicza dwururka, rozklapane buty – no po prostu bieda-wersja stalkera Pietrowa. Napakowani powinnościowcy w serwopancerzach patrzyli na niego z obojętną pogardą, nawet mówiąc nie do, a obok niego.

Skrzypek zgodnie z instrukcją nie patrzył nikomu w oczy i długo grzebał po dziurawych kieszeniach, próbując uciuć opłatę za wejście. Jako ksywkę podał wymyślane miano „Kalosz” – imię totalnie debilne, ale doskonale pasujące do wyglądu i zachowania. Strażnicy aż wyszli ze swojej budki, żeby popatrzeć na przygłupa. Dowódca warty, kawał opancerzonego chłopca, wstukał w komputer podaną przez Tolika ksywkę, pokręcił głową.

– Kalosz, powiadasz... Czyli nie Łapeć, nie Kłapek, a Kalosz... I po co tutaj przyczłapałeś, Kalosz?

– Chabar rzucić, szpeju znaleźć... – odburknął Tolik.

– Szpeju. No tak, Kalosz, to ci się przyda – parsknął powinnościowiec. – A skąd masz maskę, Kalosz? Pewnie zdobycza, ze snorka zdjęta?

– Takiego już tygodniowego! – roześmiał się inny.

– Co to za śmiechy, kapralu?! – huknął dowódca. –

Baacz-ność! W lewooo... patrz! Nasz gość, pan Kalosz, przechodzi. Prrrezentuuj... broń!

Tolik ponuro przetuwał obok wartowników i ruszył na terytorium zakładu, czytając wymalowane na ścianach napisy. Nawet nie był na tamtych zły, na ich miejscu pewnie tak samo by się zachował, żartując z oberwańca... A teraz szukał baru Sto Radów, przy czym nie chciał nikogo pytać o drogę, bo śmiechy tamtych wciąż jeszcze niosły się ponad zabudowaniami. Jedną rzeczą jest robić z siebie pajaca w imię czegoś większego, a zupełnie inną zgarniać od każdego po drodze ładunek pogardy. Nie, da sobie radę sam, nie będzie ryzykował zbędnych obelg.

W końcu wypatrzył drogowskaz ze strzałką. Irytacji w duszy nazbierało się wystarczająco dużo i sam chyba dojrzał już do tego, żeby odegrać rolę – swoją własną rolę! – skrzywdzonego przez życie frajera, który chce jak najwięcej wycisnąć z być może pierwszej i ostatniej dużej szansy.

Zszedł do baru, stanął na progu. „No wejdz, nie stój tak” – warknął ochroniarz na świeżaka. Ten rozejrzał się niepewnie, ruszył w kierunku kontuaru. Wytatuowany barman skinął mu na przywitanie.

– E... – zaczął Tolik i umilkł, tak jak to z Buddą ćwiczyli. Teraz barman powinien zareagować irytacją na przeciąganie nie wiedzieć czego. Tolik nie myślał nawet, dlaczego tak ma być: tak mu powiedział Budda.

– Wódeczki? – w miarę grzecznie zapytał barman.

– E... towar bym zrzucił – wymamrotał Tolik.

– No to wykładaj, co tam masz – uśmiechnął się z nieskrywaną wyższością kupiec. Widać było, że już

ocenił i wycenił nowo przybyłego, po czym zdecydował się zagrać dobrego wujaszka. Nawet z półgłówka może z czasem wyrosnąć klient, szczególnie jeśli przyuczyć go, że handluje się właśnie tutaj, w barze. A jak nie, no cóż – i tak przeżyje jeden na tuzin, więc różnica żadna.

– Coś rzadkiego mam – powiedział Tolik z pewną dumą. – Jeśli właściwemu klientowi pokazać, to można zarobić nieźle.

Budda kazał Tolikowi unikać grypsery i prawidłowych gadek, więc ten nie bez trudu składał koślawe zdania z cywilizowanych słów. Barman westchnął. Widać, że słyszał takie głodne kawałki codziennie. No, ale co zrobisz? Świeżak, pewno wytrych, myśli, że Gospodarzy Zony za nogi złapał... A potem i tak cenę dostanie taką jak wszyscy.

Tolik rozejrzał się, otworzył pojemnik i ostrożnie wytrząsnął z niego „oko diabła”. Barman w pierwszej chwili zainteresował się, ale potem zobojętniał: artefaktu nie znał, więc i ceny nie było gotowej, a jak nie ma ceny, to i przebicie nie wiadomo jakie. Odbiorcy by trzeba szukać, głowę zawracać... Dużo roboty, zysk niepewny.

– No i co to ma być, kolego?

Tolik jeszcze raz obejrzał się przez ramię – tak jak pan Budda powiedział! – i szepnął konspiracyjnie:

– „Oko diabła”!

– Niechby nawet i ucho od śledzia – parsknął barman.

– I co, ile za to coś chcesz?

Trafiali się przecież i kolekcjonerzy z Dużej Ziemi, którzy zbierali wszelkie dziwactwa. Można by i z tym całym „okiem diabła” spróbować.

– Pięć koła – szepnął Tolik, oblizując usta. Półgłówek,

którego maskę założył, właśnie przeraził się swoją bezczelnością, ale potrzebował pieniędzy na szpej.

– Oho. A dziesięć może być? – zainteresowanie barmana gwałtownie spadło do zera.

– No chętnie, bo z pieniędzmi krucho – przyznał Tolik, starannie nie reagując na drwinę. – A jakby dwanaście się dało, to w ogóle super. Nabojów mało wato, maska się rwie, to chociaż taśmą skleję, ale filtr nowy trzeba.

Barman westchnął ciężko, od serca.

– Kolego sympatyczny, posłuchaj mojej rady. Weź się, jak cała reszta, za proste rzeczy na początek. Pójdź sobie na Wysypisko, tam się naucz, co i jak, pogadaj z ludźmi. Ogarnij ceny i towary. No a potem zapraszam, pohandlujemy, tylko nie tym barachłem.

– Nie to nie. – Tolik udał obrażonego, zgarnął artefakt do pojemnika. – Paczkę naboje poproszę w takim razie.

– Koleżko – barman westchnął jeszcze raz, wykładając pudełko na ladę – zrozum mnie jak należy, ja ci mogę za to twoje „oko” setkę dać, i pięćdziesiąt na drogę jeszcze. I to tylko dlatego, że cienko przedziesz, a ja widzę. Czysto po ludzku bym dał i jeszcze na tym stracił.

Tolik nie odpowiedział, tylko rzucił na blat pieniądze, zgarnął naboje i odszedł. Swoją część pracy wykonał, teraz planowo miał pojawić się Budda. Wybrał sobie najgorsze, ciemne miejsce, żeby nikt mu przez plecy nie zaglądał, i wystukał wiadomość do przyjaciela. Pora była znaleźć miejsce do spania.

Samotnicy przeważnie siedzieli przy wspólnych ogniskach w starych halach warsztatowych, więc Tolik wybrał sobie niezbyt bogato wyglądającą grupę i po prostu się przysiadł. Posłuchał, jak jeden ze stalkerów

brzdąka na rozstrojonej gitarze, pokiwał głową przy stalkerskich bajkach... Noc przyszła i minęła, nastał ranek – i tak nie miał co robić. Połaził po zakładzie, obejrzał sobie Arenę, popatrzył, jak wartownicy w czarnych pancerzach trzepią plecaki wchodzących przez posterunki. Czuł się trochę jak w zoo – ot, przyszedł sobie i zwiedza, ogląda frajerskie życie normitów.

W końcu jakoś po południu zdecydował, że wystarczy, i ruszył w drogę powrotną. Na posterunku warta zmieniła się już któryś kolejny raz, nikt nawet nie zwrócił uwagi na smętnego dziadkę z głupią ksywą.



Podczas gdy Tolik odgrywał swoje przedstawienie, Budda nadłożył drogi, aby obejść cały Rostok i zjawić się przez południową bramę. Nic nie mogło ich łączyć, więc nawet czas wejścia i ksywy będą raportowane z zupełnie innych posterunków.

Gruby wcale nie wyglądał teraz na grubego. Ha, kto by go powiązał z cieciem Kaloszem! Doskonalej jakości kombinezon, solidny karabin... Takiego na posterunkach przepuszczali jak porządnicę, jak swojaka. Oczywiście, że powinnościowiec nikogo nie uzna za równego sobie, ale na pewno już nikt na Buddę się prześmiewczo nie odważył spojrzeć: ot, szanujący siebie i szanowany stalker, takich w Stu Radach z otwartymi ramionami przyjmują.

Nawet i barman przywitał go wręcz kordialnie:

– Powitał, stalkerze! Pierwszy raz u nas?

– A witam, witam. Tak, pierwszy raz, ale też na krótko. Sprawy, sprawy... – Budda rozłożył ręce gestem udawanej bezradności.

– Sprawy to w prokuraturze – uśmiechnął się barman.

– Problemy jakieś, pomoc z czymś? Skoro nietutejszy jesteś, może w czymś doradzić?

– Hm, hm. Jest jedno takie, fakt... Ale pewnie nic nie wiesz o tym, bo to mocno wąska informacja.

– Spróbujmy – zaciekawiał się gospodarz.

– Nowa anomalia się pojawiła, a razem z nią nowy artefakt. Bardzo, bardzo rzadki, pojedyncze egzemplarze! Takie coś jak orzech kokosowy, ale mniejsze. Szorstkie z wierzchu, brązowe, a w środku... w środku, jak by to powiedzieć... Jak połówka piłki tenisowej, ale przeciętej i pełnej w środku, a ten środek...

– ...błękitny – szepnął barman, któremu nagle zrobiło się cokolwiek gorąco. – „Oko diabła”.

– No, no! – ucieszył się Budda. – O, to ja widzę, że kolega zna się na swoim fachu. Artefakt póki co słabo zbadany, ale podobno bardzo, bardzo ciekawy! I cenę można skosić z acną. Tylko rozumiesz, to przynajmniej na tę chwilę taka koniunktura, bo podobno tylko z jednej anomalii wyłazi to cudo. A za tydzień, kto wie? Może jak grzyby po deszczu się rozpleni, rynek się nasyci i po gorączce złota. No więc ja, rozumiesz, lecę tutaj, na północ, mało butów nie pogubię, i szukam!

– Tak, tak, no tak... A co do ceny, kolego? Po ile takie „oko diabła” teraz chodzi?

– Na razie po nic nie chodzi, ale ja mam kupca na sześć.

– Uuu, to solidny pieniądz! A powiedz mi, kolego...

– Sześć dych.

Barman poczuł, jak robi mu się słabo.

– Sześć...dziesiąt? Tysięcy?

– Ano.

Tamten dziadyga, jak mu było... Kalosz! Kalosz chciał za swój egzemplarz pięć. Jakby przycisnąć, to wzięłby trzy.

Dwudziestokrotne przebicie.

Barman zacisnął dłonie na krawędzi kontuaru, przywołał na twarz najbardziej jowialny i szczery z wywiczonych latami uśmiechów.

– Jak cię zwą, kolego stalkerze?

Budda spojrział barmanowi w oczy. Całe życie się z niego śmiali, że wygląda jak betoniarka. A on przecież zawsze lubił chodzić na place budowy i patrzeć, jak pracują maszyny. I zawsze marzył o tym, że wszyscy koledzy z klasy leżą związani na ziemi, a on ich...

– Spychacz – powtórzył ksywę, którą raz już podał na posterunku.

– No, pasuje, nie powiem. Posłuchaj, Spychacz, zrobimy tak: ja zaraz twoje zapytanie w obieg puszczę, a nuż gdzieś coś wypłynie. Do nas tutaj ludzie przychodzą zewsząd, i z północy dalekiej nawet, kogo tylko Wolność tam nie zwerbowała. No i zobaczymy, tak? A nuż się uda pomóc. Na razie przysiądź, odpocznij sobie, przekąś co nieco.

– A dziękuję, chętnie. Słuszna słuszność, kiedy znowu okazja będzie, żeby jak biały człowiek się sponiewierać? Co kuchnia serwuje?

Barman mrugnął do niego szelmowsko.

– Spesjalite de la mezą: oko pseudomięsa

w majonezie! Próbowalesz kiedyś takich specjałów, Spychacz?

– Brzmi papuśnie. Niech będzie oko, może i drugie się znajdzie!

Barman schował się do kuchni, po drodze kiwnął na ochroniarza. Ten odczekał przepisową chwilę, ruszył za nim.

– Ignac – zaszeptał barman – Ignac, pamiętasz, taki oberwaniec tutaj wczoraj był, co kupił pudełko naboju do strzelby? Znajdź typa. Znajdź i powiedz mu, że jestem gotów jego towar wziąć. Powiedz, że dzień miałem dobry, że jestem lekko wypity i mam humor akurat, żal mi się go zrobiło i chcę pomóc. Łapiesz?

– Łapię, szefie – odparł Ignac, który faktycznie w lot chwycił zamiary pracodawcy.

Poszedł, wrócił po półtorej godziny. Obszedł dokoła całą fabrykę, znalazł nawet typków, z którymi stalker o ksywie Kalosz nocował. Ale po samym oberwańcu nie było nawet śladu. Niby był, potem chyba sobie poszedł, skoro go nie ma, ale pewności nikt nie miał. Bo to mało się ludzi tu przewija? Dziś świeżak jest, jutro go nie ma, juchociągi karmi. Kto by uwagę zwracał...?

Budda tymczasem zjadł, wytarł reszkę sosu pajdą chleba. Skomplementował kunszt kucharza, rozliczył się, dał napiwek – jak dla barmana, szczodry; jak dla niego, wręcz bolesny – i przystąpił do pożegnań.

– Pora w drogę, surma wzywa na bój. Wiadomość dostałem właśnie, że gdzieś ktoś coś takiego widział. Pobiegnę, sprawdzę.

– Spychacz, weź no posłuchaj. – Barman nachylił się przez kontuar. – Jak dwadzieścia mi kopsniesz, to towar

znajdę. Poczekaj do jutra.

Budda zmarszczył brwi, udając, że myśli. Potem jednak potrząsnął głową.

– Nie da się. Dwadzieścia, no spoko, cena uczciwa... Chociaż miałem nadzieję, że taniej dorwę, za jakieś siedemnaście, osiemnaście maksimum, tyle bym mógł dać, żeby drobne w kieszeni zostały. Ale czas, czas, czas nagli! Już chłopakom odpisałem, że idę, czekają na mnie. Trzeba się spieszyć, bo pierwszy zgarnia pulę!

– Skoro tak, to ty biegnij, a mnie zrzuć tylko adres. Jakby co, odezwę się – zdecydował barman.

– No, a ja i tak tutaj w drodze powrotnej zajrzę, to na pewno! Oko pseudomiesaka w majonezie jest tego warte, nawet tylko dla niego wpadnę!

– Powodzenia, kolego!

Barman patrzył w ślad za wesołym, kasiastym Spychaczem i przeliczał. Przeliczał hrywny na euro, euro na ruble, ruble na dolary... Piątkę, no czwórkę może wciśnie się frajerowi Kaloszowi. Spychacz łyknął dwudziestkę jak pelikan, bo się spieszy... To co, szesnaście na cztery... Czteryście procent zysku. Czterokrotne przebicie, minus drobne na znalezienie tamtego dziada, niech będzie, że trzykrotne.

Wypłacalność Spychacza nie podlegała dyskusji. Zamówił, co mu polecono, o cenę nawet nie zapytał, jeszcze pochwalił... A barman naprawdę był ze swego kucharza dumny, na pomysł z majonezem zaś wpadł sam. Jak to miło, kiedy się w końcu ktoś mądry na dobrym pozna.

Ignac ogarniał okoliczności nie gorzej od szefa, więc kiedy barman spojrział na niego wyczekująco, od razu

wyszedł z inicjatywą:

– Znaleźć za wszelką cenę?

– Tak. Zasuway do czarnych, pytaj o niego. Jeśli na posterunku wypłynie, mają go zhaltować i dzwonić. Ja pokrywam koszty.

Żołnierze Powinności w podobnych sytuacjach zawsze współpracowali, w końcu bar był częścią ich bazy, a i ludzie w nim nie obcy. Zdarzało się, że jeśli ktoś z barmanem się nie rozliczył jak należy, albo coś po prostu nie tak było, to sprawca spadał nocą z żelaznych schodów. Słowem, Powinność pilnowała i chroniła, co prawda nie za darmo, ale współpraca była korzystna dla obydwu stron.

Kiedy pomocnik barmana ruszył na teren fabryki, Budda już ile sił w nogach zasuwał ku północno-zachodniemu posterunkowi, skąd wcześniej przyszedł niejaki Kalosz. W końcu stamtąd musiało wziąć się też „oko diabła”, zgadza się?



Tolik za to nie spieszył się nigdzie. To przecież na Spychacza czekali, to Spychacz miał umówione spotkanie, a Kalosz szedł sobie powoli, własnym tempem, łąził wokół każdej anomalii, patrzył, czy może przypadkiem nie wyleci z niej akurat artefakcik. Zatrzymał się tu i tam, wrócił, poszedł dalej... Dopiero pod wieczór, otrzymawszy umówioną wiadomość od partnera w zbrodni, podszedł pod wysunięty południowy posterunek, gdzie od razu go rozpoznano.

– Kalosz jesteś, nie? – Powinnościowiec poświecił mu

w twarz latarką. – Poczekaj no chwilkę.

– Ej, co jest...? Panie władzo, ja nic nie tego...

– Sprawa jest do ciebie, nie trzęś portkami.

Oczywiście, wartownik nie miał pojęcia, na co komu taki Kalosz. Może komuś winien, a może właśnie ktoś jemu? Dlatego na wszelki wypadek traktował Tolika bez ekscesów, jakkolwiek mógł do nich skłaniać ubogi wygląd samotnika.

Kiedy Tolik zaczął dawać do zrozumienia, że nie podoba mu się takie traktowanie, wytłumaczono mu dosadnie: nie rzucać się, bo w dziąsło. Powinnościowiec skontaktował się ze swoim porucznikiem, ten z kolei znalazł pomocnika barmana, przekazał wiadomość z posterunku... W końcu udało się nawiązać kontakt na linii bezpośredniej. Wartownik zawołał Tolika, który siedział sobie na zydlu, obwieścił:

– Ej, ty, jaki ci tam... Kalosz! Dobrzy ludzie chcą kupić to, co im proponowałeś.

– Ha, czego ja nie proponowałem! Kiedy to było przecież! Co to ja, każdego handlarzynę mam pamiętać po drodze?! – rozindyczył się Tolik. Takie było założenie, że szczególnie bystry stalkerzyna, poczuwszy, że rybka wzięła, powinien zacząć się panoszyć i mędrkować. Powinnościowiec od razu spojrzał na niego bykiem.

– Słuchaj, ciulu, nie wiem, o co chodzi, ale lepiej pilnuj gadki. Mówię ci, ty do barmana się ładnie uśmiechaj i nie fikaj, żeby potem płaczu nie było. Już tutaj idzie człowiek, niesie pieniądze. Tak że szanuj, buraku ze wsi, że dla ciebie porządny, solidny człowiek nocą lezie, kasę przynosi! Ty u nas na noc zostaniesz, pod ochroną,

w ciepłku. Pasuje?

– A co mam zrobić?! – prychnął Tolik, wciąż niby obrażony, ale też już jakby mniej hardy. – I tak już za dnia do Wysypiska nie dojdę.

– No i jesteśmy dogadani! – szczerze ucieszył się powinnościowiec, już kombinując, co sobie zamówi na koszt barmana pod pretekstem karmienia gościa. I tak coś pewnie jeszcze skapnie za wyhaczenie poszukiwanego, więc podwójna korzyść! Tolik dla zasady pomarudził jeszcze trochę, ale w końcu przystał na nie do końca dobrowolną gościnę. Wartownicy podzielili się z nim jedzeniem, nalali wódeczki. Nawet z bieda-szpeju nikt otwarcie nie szydził.

Zrobiło się ciemno, nad posterunkiem zapłonął reflektor. Ruch zmalął niemalże do zera, przy czym wszyscy szli w kierunku bazy, wracając przed nocą i bez dwóch słów płacąc myto za przejście. Większość trzymała broń w gotowości, rozglądając się na boki, gdy oddalali się od umocnionego punktu i znikali w ciemnościach.

Tolik zebrał się na odwagę i zapytał:

– Niebezpiecznie tutaj nocą?

– Nie gorzej jak na Wysypisku. Umocnienia mamy, jakby coś, to damy radę.

– Co, często mutasy podchodzą?

– Zdarza się. A czasami i bandosy potrafią się zapuścić. Tam siedzą, za zakładami remontowymi. – Powinnościowiec machnął ręką. – Próbują szlak na Agroprom kontrolować, czasami i tutaj poleżą.

– Jasne. – Tolik aż się wzdrygnął, wyobrażając sobie, że to on wyprawiał się z idiotycznym zamiarem

szturmowania posterunku. Albo odważni, albo głupi musieli być tutejsi. Przecież ich dawna brygada nawet by o czymś podobnym nie pomyślała. Powinnościowiec jednak odebrał to drgnięcie inaczej.

– Co, zimno ci? Ano, kurtki nawet nie masz porządnej. To nic, nie bój się, przyjdzie człowiek od barmana, kasę przyniesie, to coś sobie wynajdziesz.

Na dworze było już zupełnie czarno, na niebie migotały gwiazdy, pokazał się sierp księżyca. Zona poza kręgiem światła bynajmniej nie spała, zewsząd niosły się szelesty, skrzypienie i niegłośne szmery. Powinnościowcy przechadzali się z bronią w ręku wzdłuż betonowych przegród, wypatrując oczy w mrok. Gdzieś daleko na południu wyły ślepe psy, sfora szła na łowy.

Zapisał PDA na przedramieniu – nowa wiadomość. Tolik przycupnął na schodkach do żelaznej budy, zaczął czytać: jego towarzysz minął już posterunek na północnym zachodzie i opuścił ziemie Powinności. Niemalże wyobraził sobie, jak tamci próbują go przekonać, żeby został, Budda w żartach się miga, machając na pożegnanie, odchodzi w noc i znika z pola widzenia... Afery aferami, a nocą w tych okolicach bywało niebezpiecznie. Tolika naszła ochota napisać przyjacielowi coś dla dodania otuchy, wstukał: „Ty tam weź uważaj na siebie”. Nic lepszego do głowy nie przychodziło, Tolik nie od słów był specem.

Odpowiedź przyszła niemalże od razu: „U mnie klancyk. Ty się trzymaj hardo! Od ciebie wszystko zależy. Powodzenia!”. Tolik aż się uśmiechnął, będzie dobrze. Będzie przezajechujecie.

Przymknął powieki, oparł się o żelazną ściankę. Przed oczami miał nieznaną anomalię, tę przedziwną soczewkę, w którą wpadł Gil. W jego wyobraźni anomalia rosła, puchła, zbliżała się ku Tolikowi, a z jej wnętrza patrzyły na niego błękitne, zimne ślepie, niczym styczniowe niebo... I przedziwny szept niósł się znikąd, wołał go:

– Jesteś, tu jesteś... tu jesteś...

Tolikowi nie podobał się ten sen, choć wiedział, że to sen. Anomalia rozrastała się, on próbował się cofnąć, jednak zrozumiał, że ten półprzezroczysty, przelewający się kształt będzie rósł i rósł, aż wypełni całą Zonę. Błękitne oczy patrzyły w duszę, szept nie milkł.

– Tu jesteś, tu...

We śnie Tolik chciał się schować, skryć, przeczekać, aż się obudzi, mara zaś zniknie, ale nie było gdzie, bo trawa, drzewa i kamienie... wszystko miało błękitne oczy.

– Tu jesteś...

– Tu jest! Tutaj!

– Tu jest! – rozległo się głośno i wyraźnie nad Tolikiem, który aż podskoczył i obudził się.

– Kalosz, pobudka! – Powinnościowiec zaglądał mu w twarz, potrząsając za ramię. – Powstań!

– E? Co, kto...?! – Tolikowi przed oczami wciąż wirowały podnoszące się w ogromnej anomalii pasma dymu.

– Ignac idzie, dał znać, że zaraz już będzie.

– Ignac? Jaki znów Ignac?

– Człowiek od barmana. Bar Sto Radów? Fabryka Rostok?

– Aaa... – Skrzypek przeciągnął po twarzy dłonią. –

Tak. Już łapię.

Rzeczywiście, Ignac zjawił się po niespełna kwadransie. Przywitał się, podszedł do Tolika – nie wyglądał na szczególnie wniebowziętego po nocnym spacerze przez niespokojną okolicę, więc i do sprawcy całego zamieszania nie żywił ciepłych uczuć.

– Dawaj towar. – Wyciągnął rękę.

Tolik, milcząc, gapił się na człowieka z baru, nijak nie mogąc znaleźć pasującej repliki.

– Ej, weź nie ciśnij chłopaka. – Powinnościowiec ujął się za obdartusem. – Daj mu się obudzić chociaż.

– A po co? – mruknął Tolik.

– Gościu, weź ogarnij bazę, co? Barmanowi artefakt chciałeś sprzedać, nie? Kasę dla ciebie mam.

– Chciałem. – Tolik wydał policzki. – Ale się rozmyśliłem. Mam lepszego kupca.

Powinnościowiec obrócił się do niego bardzo, bardzo powoli. Delikatnie ujął za ramię.

– Kolego sympatyczny, czyś ty z byka spadł? Z barmanem w kulki sobie lecisz? I z nami też?

Jeszcze dwóch żołnierzy podeszło do nich, skrzyżowało ręce na piersiach.

– Panowie, ale jakie kulki? – Tolik rozłożył ręce. – Przyniosłem do Stu Radów towar. Dla barmana ichniego. Słyszałem, że facet się zna na rzeczy, że ogarnięty. On nie chciał, to ja ogłoszenie w sieć wrzuciłem, ktoś się zainteresował. Akurat na południe szedłem, żeby się z kupcem spotkać, a tutaj mnie wasi zatrzymują. Ciemno dokoła, nie chciałem z dwururką tylko iść, to tutaj na noc zostałem. No tak było przecież?

W tym momencie powinnościowiec, który zajmował

się gościem, zrozumiał: fakt, tamten ani słowem nie zgodził się na interes. Co gorsza, on też mu nie powiedział, czego od niego chcą... No fakt, kazali mu zostać, to i został, ale na tym się skończyło. Spojrzał na niekumatego szmacciarza ze złością, wynikającą głównie z gniewu na samego siebie.

– Kalosz, do cholery, to my cię tu jak człowieka...

Tolik milczał.

– A jeśli ja w tej chwili każę ci pocztę twoją pokazać, cwaniaku? – zapytał Ignac. – I nie będzie tam ani słowa o kupcu z południa, to jak myślisz, co ci zrobię? Jak się okaże, że tylko cenę podbijasz? Co wtedy, dupku żołądny?

– A jak sprawdzisz i będzie? To co wtedy? – Tolik przekrzywił głowę, przedrzeźniając go. – Sam se zważaj. Ja już komu tylko mogę, wszystkim napisałem, że mnie bez powodu zatrzymaliście i nie puszczacie dalej. No, dawaj, zabierz mi na siłę komputer. Zobacz, jaki się jazgot podniesie w okolicy.

Ignac zacisnął pięści, odetchnął głęboko.

– Dobra. Co to za klient, ten z południa? My z nim temat ogarniemy.

Tolik demonstracyjnie odwrócił się bokiem, nikt go nie zmusi, żeby cokolwiek powiedział.

Ignac przestępował z nogi na nogę, coraz bardziej pąsowiejąc, powinnościowiec sapał i nerwowo bębnił palcami po karabinie. Chętnie by przybłądzie obydwaj włomotali, ale w tym wypadku bezzasadne użycie siły mogło się rozejść zbyt dużym echem.

– Dobra, łachudro. Ile ci dają za to „oko diabła”?

– Siedem i pół.

– Siedem ci dam teraz.

– Nie no, nie mogę tak. – Tolik spuścił z tonu, przestał mędrkować i odezwał się niemalże błagalnie. – Panowie, no ja bym chętnie, przecież rano pięć bym wziął... Ale jak tak, co ja teraz? Temat dogadany, i co? Z gęby cholewę zrobię, nakręconego klienta bokiem puszczę?

Budda zabronił używania żargonu więziennego, ale Tolik w ogniu dyskusji nieco się zapędził... No trudno, słowo poleciało. Chyba nikt jednak nie zwrócił uwagi.

Ignac gorączkowo myślał. Co dalej? Napisać teraz do barmana, wytłumaczyć, czekać na odpowiedź... Szef się wkurzy, poza tym pewnie już śpi. Do rana czekać? Rano to on już powinien z artefaktem w zębach czekać pod drzwiami baru, bo pewnie i do Spychacza już wiadomość poleciała, że mają towar...

– Dobra, biorę za siedem i pół – mruknął Ignac. – Dogadane?

– Dogadane! – ucieszył się Tolik. – No to już, pokazuj kasę. Trzeba policzyć dobrze, przy piętnastu tysiącach to się już pomylić można.

– Eee... Jakie piętnaście? – potrząsnął głową powinnościowiec. Matematyka nigdy nie była jego silną stroną, ale nawet on wyczuł, że coś nie ten rząd wielkości.

– No jak to jakie? Siedem i pół za sztukę, to piętnaście para.

– Jaka para?! – Ignac wytrzeszczył oczy. – Człowieku, przecież o jednym mowa była!

– E, no co wy, żarty sobie robicie? Ja przecież parkę mam. – Tolik zrobił minę, wyrażającą zarazem zdumienie i rozczarowanie. Już, już wszystko

domówione było, a tutaj takie nieporozumienie! – Przecież ode mnie mój kupiec bierze parę, na co mu jeden? „Oczy diabła”, łapiecie? Oczy są dwa!

Westchnął Ignac i zamyślił się. Niech to Zona pochłonie! Nikt się przecież tego przybłędy nie pytał, ile ma „oczu”, a oczy rzeczywiście chodzą parami! Pokazał w barze jedną sztukę na próbę, a może i mówił barmanowi, że dwa są? W końcu Ignac słuchał rozmowy tylko jednym uchem, a nie dwoma. No właśnie, dwoma.

W końcu podjął męską decyzję. Popatrzył na powinnościowców, zapytał:

– Panowie, portfele macie przy sobie? Gotówka potrzebna, najdalej pojutrze oddam. Wiecie, że u mnie jak w banku.

Odmówić Ignacowi? Nie wchodziło nawet w rachubę. Żołnierze bez słowa zaczęli grzebać po kieszeniach... Zebrali w sumie, zawoławszy jeszcze czwartego wartownika z patrolu, około czternastu tysięcy.

– Resztę amunicją dosypiemy – zaproponował sierżant. – Chociaż do twojej pukawki to raczej nie ten kaliber.

Tolik machnął ręką.

– Niech będzie już, niech będzie. Byle tylko porządna sowiecka amunicja, nie to natowskie dziadostwo... Oj, powiem wam, już mi się gorąco zrobiło. Tak patrzę na was, myślę: zaraz mi w łeb dadzą i koniec pieśni.

Sierżant spoważniał, wyraźnie urażony w swej dumie.

– Wypraszam sobie. To w Wolności dzikusy i anarchiści siedzą, a u nas porządek, uczciwość!

Powinnościowcy pokiwali głowami. Oj, tak, tak, jacy to oni byli jedyni sprawiedliwi.

– No fakt, słusznie, dobra. Ale ostrzegam, panowie: jak klient mi na łeb wsiądzie, to ja mu dokładnie opowiem, jak było.

Napięcie wyraźnie odpuściło, wszystkim zrobiło się lżej na sercu. Wspólnymi siłami rozwiązali problem! Tolik oddał artefakty Ignacowi, który od razu chciał ruszać w drogę powrotną, ale sierżant ubłagał go, żeby dał popatrzeć na nieznany twór Zony, przez który taki kipisz im wypadł na warcie. Ignac uchylił wieko pojemnika, dał zajrzeć.

– No już, panowie, czas nagli!

Faktycznie, powinnościowcy patrzyli, dziwowali się. Nikt nigdy nie widział czegoś takiego! Któryś przypomniał sobie o „sercu Osamy”, zaczęli się zastanawiać. Chyba stara opowieść jednak miała w sobie ziarno prawdy!

– Tylko razem ich nie trzymaj, dobra? – upewnił się sierżant.

– Jeszcze czego! I ten, no... Panowie, taka prośba. – Ignac spojrział na żołnierzy. – Nie opowiadajcie ludziom, że dwa od niego wzięłem, co? Barman zamawiał tylko jeden. O tym drugim, no... Nie musi wiedzieć. Okej? A kasę wam oddam z procentem.

Powinnościowcy popatrzyli po sobie, kiwnęli: jasna sprawa, nie ma o czym mówić!

Ignac pochował chabar do pojemników, pożegnał się i wymaszerował, odprowadzany przez dwóch żołnierzy. Wkrótce kroki ścichły, posterunek znów otaczała pełna szelestów i szmerów ciemność. Tolik przysiadł w kącie, zaczął pisać wiadomość do Buddy: Ignac własny biznes kręci.



Żołnierze zawrócili w końcu do siebie, Ignac został sam. Przykucnął pod drzewem, też otworzył PDA i wstukał kilkanaście słów do tego samego adresata.



Budda nie ryzykował łożenia nocą po nieznannej okolicy. Znalazł sobie ciche, spokojne miejsce i przycupnął tam, trzymając karabin pod ręką. To zapadał w sen, to budził się, ale dookoła panowała cisza. Zwierza nie było słyhać, bo żołnierze z posterunków wystraszyli większość mutantów, ale stalker i tak spał czujnie, otwierając oczy na każdy szelest.

W końcu dopiero po północy zasnął głębiej, ale wtedy zbudziło go piszczenie PDA – przyszła poczta.

„Powitał, Spychacz!” – pisał nadawca z nieznanego adresu. „Ignac jestem, widzieliśmy się w Stu Radach przy barmanie. On jutro się odezwie, bo już towar mu niosę. Tylko uważaj, mam drugie »oko diabła« do pary. Oddam taniej, tylko barman nie wie, że ci zniżkę daję. Ciszej jedziesz, dalej będziesz, jasne? Artefakt ma parę, specjalnie dla ciebie szukałem. Dobra?”

Budda nie wytrzymał, aż prychnął z rozbawieniem. Ha! No aż tego się nie spodziewał, że pomocnik barmana będzie chciał własnego łoda na jego śmietanie ukręcić. Dosłownie chwilę później przyszła wiadomość od Skrzypka. Tolik może i siadł do pisania wcześniej od Ignaca, ale nadal nie radził sobie z małą klawiaturką

komputera.

Gruby przeczytał niezgrabny, siermiężny raport wspólnika, pokiwał głową i szybko wstukał odpowiedź: „Ignac już do mnie pisze, zniżkę daje. Łatwo nie swoim się rządzić. Zuch chłopak, Tolik, brawo! Pięknie go nakręciłeś, chylę czoła. Są nasi. Teraz tylko nie przeciągaj, skoro świt znikaj stamtąd”.



Tolik odczytał wiadomość od Buddy, zamknął pocztę. Zauważył, że sierżant patrzy na niego, powinnościowiec musiał usłyszeć sygnał przychodzącej poczty.

– Rypie mnie jak burą sukę – wyjaśnił ponuro Skrzypek. – Kupiec mój niedoszły. On też już swojego klienta miał na artefakt ustawionego. I teraz, że wszystko moja wina.

Sierżant poklepał go po ramieniu.

– Wina nie wina, za to pieniędzy wpadł. Doszpejujesz się, sprzęt porządny znajdziesz. Będzie gites!

Gites to już było, pomyślał sobie Tolik.

Ledwie wstało słońce, a on już pożegnał się z wartownikami i ruszył precz. Najpierw poszedł starą drogą z Wysypiska na Kordon, potem, jak tylko posterunek zniknął za zakrętem, rozejrzał się w lewo, w prawo i dał dyla w krzaki. Musiał teraz przejść się średnio przyjemnym kawałkiem drogi przez Wysypisko. Maskę miał przecież szmelcową, a jak wiatr zawieje mocniej, to ciągnie radioaktywny pył z rozgrzanych słońcem hałd starej techniki... Poza tym budziły się już obozowiska, pojawiali się stalkerzy.

Przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej minąć okolice cmentarzyska maszyn.



Ignac dotarł do fabryki Rostok o poranku i od razu poszedł do baru.

Szef już nie spał, powoli zbierali się klienci – co noc ktoś imprezował, a nad ranem suszyło, więc przychodzili na klinika.

– Masz? – rzucił barman.

– Mam. Chłoptaś co prawdę cenę podbił, musiałem mu siedem i pół dać.

Barman dla zasady warknął: trzeba było się targować, dałby taniej. Ignac tłumaczył się bez przekonania... Sytuacja była jasna, w końcu pomocnik powiedział krótko: było tak i tak, po nocy nie chciał budzić, załatwił najlepiej jak umiał. Z tym barman się zgodził, w końcu po to miał człowieka, żeby samemu nocą nie musieć się z każdym pajacem bujać.

– Dobra – mruknął szef. – Kimnij sobie, zasłużyłeś. Marnie wyglądasz.

– Cała noc na nogach. Zaraz, posiedzę, odsapnę i pójdę do siebie.

Wcale nie spieszył się do łóżka, bo chciał poczekać, aż barman napisze do Spychacza. Na swoją wiadomość nie dostał odpowiedzi, więc już zaczynał podejrzewać, że sprawa może być trefna... Barman dokończył obsługiwać klienta, na szybko wstukał i wysłał wiadomość. Ignac siedział i patrzył. Szef wyczuł to spojrzenie, pokręcił głową.

– Milczy na razie, śpi jeszcze pewnie. Ignac, idź i ty odpocznij. Przydasz mi się jeszcze dziś.



Budda spędził resztę nocy spokojnie – to jest na tyle, na ile to w Zonie możliwe. Umościł się w jamie pod korzeniami na wpół zwalonego przez wiatr dębu, niemalże niewidocznej z daleka... Gdzieś daleko wyły psy, raz coś przedzierało się przez las. Nad ranem z oddali słyhać było strzały, i tyle. Spokój.

Rano przeczytał wiadomość od barmana, od razu napisał Tolikowi: „Gdzie jesteś, co tam? Wyszedłeś z posterunku?”.

„Wszystko gra. Łażę po Wysypisku” – odpowiedział Skrzypek.

Budda uśmiechnął się, poprawił sprzęt. Przewiesił karabin przez ramię i niespiesznie ruszył na zachód.

Ha, udało się, temat załapał. Teraz żeby tylko Tolik w nic się nie władował po drodze... Budda pomyślał, że niegłupio będzie w miarę regularnie do przyjaciela pisać i trzymać kurs na spotkanie z nim. Im mniej będzie Skrzypek chodzić samopas w swoim śmieciarskim sprzęcie, tym lepiej i bezpieczniej.

Słońce wspinało się na błękitne niebo, zwiastując kolejny upalny dzień. Humor miał gruby taki, że hej! Już układał sobie w myślach kolejne zabawne numery, jakie mogliby we dwóch ze Skrzypkiem wywijać, słowem – rozmarzył się. Szedł jak po swoim, z przyjemnością oddychał rześkim powietrzem poranka, omijał anomalie do wtóru popiskiwanie detektora.

Nawet kiedy zza pagórków rozległa się kanonada, z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków, dopiero potem zamarł i nastawił ucha. Strzelało co najmniej kilka sztuk broni, przy czym drobniaczka, głównie pistolety. Jeśli to z mutantami problem, to raczej marne mieli szanse, no a jeśli jakieś porachunki, to...

Rozmyślenia przerwał suchy terkot karabinu.

Budda rozejrzał się, ostrożnie ruszył ku pagórkowi, za którym strzelano – ale nie zdążył dojść do wierzchołka, bo nagle ziemia pod nogami podskoczyła, las i błękitne niebo aż się zatrzęsły, nad głową zadudniło głucho.

– Oho... – szepnął sam do siebie stalker. – Tego jeszcze nie grali.

Rozdział 5

Kuląc się i przypadając do ziemi, Budda dotarł na szczyt pagórka. Po drugiej stronie rósł zagajnik, zasłaniający widok, ale PDA pokazywał trzy sygnały. Zatem trzech ludzi, jeden karabin. Skromnie.

Teraz wybór był prosty: albo ostrożnie podać tyły, albo jeszcze ostrożniej sprawdzić, co tu się w ogóle odwala. W lesie działo się coś poważnego, Budda widział, że korony drzew trzęsą się, jak gdyby jeździł pod nimi czołg... Znów zadudnił karabin, coś zaryczało donośnie, potem rozległ się stłumiony wybuch. Ziemia ponownie zatańczyła pod nogami, miarowo zadudniła – coś zbliżało się do pagórka!

Między drzewami przesunęło się różowawo-brązowe cielsko. Dało się słyszeć wizg, potem ryk – pseudogigant musiał gonić kogoś, kto aż piszczał ze strachu. Budda zerknął na PDA. Jeden sygnał zbliżał się, dwa zostały z tyłu.

Ciekawość przeważała nad ostrożnością, gruby ruszył w dół zbocza, na spotkanie nieszczęśnikowi, za którym laźł mutant. Widnokrąg od razu zawęził się, najbliższe drzewa zasłoniły widok... Pseudogigant był coraz bliżej, drzewa z trzaskiem pękały pod naporem potężnego

cielska. Budda kilka razy zauważył ruch gdzieś w oddali, ale nadal nie rozumiał, co się dzieje. Niby kogoś zauważył, ale po prawej przemknęła jeszcze jedna postać, mimo że komputer wskazywał pojedynczy sygnał.

Znacznik dotarł niemalże do centrum monitora, Budda stanął na skraju polany i szarpnął dźwignią przeładowania karabinu. Niech się tylko pokaże... Z zarośli wypadł jednak człowiek, odwrócił się, zapiszczał głośno i rzucił się na łeb na szyję przez polanę – prosto na stalkera. Za nim wyleciał spomiędzy zarośli jeszcze jeden – Budda zauważył, że ten drugi nie ma doczepionego do maski filtra i biegnie jakoś dziwnie, bokiem i na czworaka, od czasu do czasu skacząc ponad krzakami – snork!

Uciekinier potknął się, potoczył po trawie, jego prześladowca zwinął się w kłębek, a potem niczym sprężyna rozprostował, wybił w powietrze, lecąc wprost na ofiarę. Człowiek wystawił przed siebie ręce desperackim gestem bezsensownej obrony, ścisnął pistolet, którego zamek już dawno został w tylnej pozycji po wystrzeleniu ostatniego naboju – ale za to równo zaterkotał kałasznikow. Budda złapał snorka idealnie w najwyższym punkcie lotu, długa seria szarpnęła mutantem, bryznęła krew; stwór rozrzucił szeroko łapy i bezwładnie, niczym worek kartofli, spadł na uciekiniera.

W tym momencie trzasnęła łamana brzoza, na polanę wytoczył się pseudogigant. Budda po prostu obrócił się do potwora i nawet szczególnie nie celując, wypuścił długą serią resztkę naboju. Oczywiście karabin dla

takiego monstrum to żadne zagrożenie, ale trafienia mimo wszystko musiały boleć – pseudogigant zaryczał, huknął łapą o ziemię, która zadrgała z głuchym jękiem, drzewami zachwiało. Potwór zwrócił się ku Buddzie, który ledwie dał radę zmienić magazynek, już, już miał strzelać, ale tamten tupnął znowu. Fala uderzeniowa szarpnęła lasem, Budda stracił równowagę, cofnął się o krok, potknął i upadł w krzaki.

Zaczął kręcić się i rzucać wśród gałęzi, spróbował podnieść na nogi, ale karabin zaczepił o coś, a stalker nijak nie mógł uwolnić się z kolczastych objęć. Z przerażeniem oczekiwał, że w każdej chwili pojawi się nad nim ohydne cielsko... Tymczasem pseudogigant ryczał i chrypiał, a mimo to nie atakował.

Budda w końcu zdołał wstać, wyszarpnął karabin spomiędzy gałęzi – mutant kiwał się z boku na bok, to skłaniał, to unosił łeb, niczym w jakimś przedziwnym tańcu, machając łapami w powietrzu. Budda jak zaczarowany patrzył na stwora, trzymając palec na spuście; nie miał odwagi strzelić, tym bardziej że i tak mutant nie powali, a po co go złościć, póki nie atakuje? Ucieczka też nie była mądrym pomysłem, pseudogigant słabo widzi i reaguje właśnie na ruch. Budda otarł twarz dłonią, próbując wziąć się w garść i znaleźć wyjście z niebezpiecznego położenia.

Mutant zaryczał ponownie, uniósł przednie kończyny i obrócił się. Wtedy Budda zrozumiał przyczynę jego dziwnego zachowania: na grzbiecie bestii siedział drugi snork! Musiał wskoczyć na niego, celowo albo przypadkiem, kiedy tamten zatrzymał się pod ostrzałem, i teraz zajadle rwał i gryzł bezbronno olbrzymia.

Wielkolud nie był w stanie go strząsnąć, krótkie łapy nie sięgały do zwinnego przeciwnika, pseudogigant rzucał się i ryczał, wściekły, na wpół oszalały z bólu... Nijak jednak nie mógł pozbyć się pasażera na gapię.

Budda złożył się do strzału, celując w pysk monstrum. Jakby tak trafić w oko... prosto w oko... ale nie zdążył dać ognia, bo zagrzechotał karabin. Budda popatrzył zdziwiony na swoją broń. To on strzelił? Ale potem zrozumiał: nie, to tamci, z drugiej strony polany! Przecież na PDA były jeszcze dwa sygnały, więc zapewne przybyła odsiecz. Znowu zerknął na polanę, wrzasnął i rzucił się w bok – potwór pędził wprost na niego!

Seria z karabinu trafiła pseudogiganta prosto w plecy – posiekała, przebiła na wylot wiszącego na nim snorka, wniknęła w mięso i kości. Ogromny stwór zakręcił się, łamiąc drzewa, trzasnął łapami o ziemię. Cała polana zadrżała, podskoczył rzucający się w konwulsjach snork, zastrzelony wcześniej przez Buddę – jego samego zaś znowu cisnęło w krzaki. Pseudogigant przebiegł tuż obok, niczym walec prąc przez zarośla, rycząc i miotając się wściekle, na jego grzbiecie jak strzęp szmaty podrygiwał zwisający bezwolnie snork. Mutant zahaczył młodą brzoźkę, która trzasnęła jak zapalka, a zielona korona przechyliła się i nakryła Buddę, niczym kołdra.

Leżący pod gałęziami stalker widział, jak na polanę weszło jeszcze dwóch ludzi – jeden najemnik w szarobłękitnym kombinezonie, drugi w dobrym, drogim sprzęcie z cyfrowym kamuflażem. Ten pierwszy trzymał dymiący karabin, więc to pewnie on strzelał, jego towarzysz machał rękoma, wykonywał dużo nerwowych ruchów i coś chyba krzyczał, ale zza

zaparowanej maski słycać było tylko wibrujące wysokimi nutami membrany dudnienie.

Dwójka nieznanomych rozejrzała się i pobiegła śladem pseudogiganta, po wyrwanej i wydeptanej przez lasek ścieżce, szerokiej niczym pasmo autostrady. Buddy pod drzewem nawet nie zauważyli, a i on nie zamierzał być zauważonym... Poczekał, aż łomot i hałas ścichnie, wyplątał się i wyczołgał spod liści. Jakoś wyciągnął karabin, w końcu wstał i wyszedł na polankę. Popatrzył na PDA. Dwa sygnały oddalały się od centrum monitora, najwyraźniej tamci wciąż ścigali giganta.

– No i tak – skonstatował, kiwając głową. – Oto i przemknął obok mnie korowód życia, pohukując radośnie w pogoni za doczesnością. Marność nad marnościami, ech...

Zastrzelony przez niego snork, leżący do tej pory nieruchomo w trawie, znów się poruszył. Budda chwycił karabin, już miał wypalić – na szczęście nie strzelił. Przecież tam, pod mutantem, ktoś jeszcze leżał! Stalker zupełnie o nim zapomniał, a teraz tamten próbował uwolnić się spod truchła. Budda podszedł bliżej, poprzyglądał się chwilę, jak nieznanomy usiłuje zrzucić z siebie mutanta. Puknął łeb snorka czubkiem buta, spróbował zepchnąć na bok, ale nie pomogło. Zarzucił w końcu karabin na plecy, złapał ścierwo za nogę i ściągnął na bok. Potem pomógł człowiekowi wstać, otrzepał kombinezon z krwi.

Mały tamten był. Wręcz mikry. I chyba nieźle przestraszony.

– Dziękuję – zadudnił spod maski.

Nie, nie „zadudnił”. „Zapiszczał”, bo miał wysoki głos,

który unosił się do zdyszanego dyszkanciku.

– Nie no, jakby normalna rzecz. Taka moja praca, żeby mutanty ciągać tu i tam. Coś ty za jeden?

– Żenia.

Budda uniósł brew.

– Żenia to takie mocno bezpłciowe imię. Rodzaj męski czy żeński?

– Żeńska Żenia – przyznał z westchnieniem tamten, albo raczej tamta. – Mogę zdjąć tutaj maskę? Bo ty przecież nie masz.

– Ja wielu rzeczy nie mam i staram się mieć jak najmniej. Ale możesz, jeśli moje pozwolenie coś znaczy – rzekł Budda, patrząc na tego-tę Żenię. – W końcu to Zona, a więc kraina naprawdę wolna. Tutaj możesz, co tylko chcesz. Nawet z pustym pistoletem biegać, chociaż ja bym tak nie robił.

Żenia popatrzyła na pistolet ze smętnie sterczącym w tył zamkiem, spróbowała wyjąć magazynek. Podczas gdy ona szukała przycisku zwalnicza, Budda myślał. Myślał. Okoliczności były mocno nietypowe, a on nie wiedział, co zrobić i jak się zachować. Z jakiegoś powodu nie podobała mu się ta sytuacja. Ludzie w nowiutkim sprzęcie, najemnik, snorki, pogoń za pseudogigantem... Za to dziewczyna go zaciękała. Niby ledwie żyje ze strachu, a zachowuje się spokojnie. Powściągliwie wręcz.

W końcu, zmieniawszy magazynek, Żenia ściągnęła maskę i zdjęła kaptur, pod którym miała przepoconą czapkę. Zerwała ją też, przegarnęła mokre, zmierzwione kudły.

– Mangowo – mruknął Budda, patrząc na jej niebieskie włosy.



Ignac zjawił się w barze dopiero pod wieczór. Barman był nie w sosie. Oczywiście przeważnie był na coś zły, ale Ignac umiał odróżniać odcienie tej złości. Ta była niepokojąco prawdziwa.

– Spychacz milczy? – zapytał. Od razu wiedział, jaka będzie odpowiedź, bo sam od rana na próżno co pięć minut sprawdzał pocztę.

– Milczy.

– I co robimy?

Ignac za późno złapał się na potencjalnie katastrofalnym błędzie – nie powinien był używać liczby mnogiej, bo przecież dla barmana nie było żadnych „nas”. Ten jednak nic nie zauważył, zatopiony we własnych myślach.

– Poczekamy – zdecydował. – Bo to on jeden na świecie? W końcu mogła mu nawet bateria paść. Jeśli do jutra nie odpowie, to będziesz musiał go poszukać.

Ignac pokiwał entuzjastycznie. Miał w tym przecież swój biznes i gotów byłby tamtego szukać nawet teraz, zaraz, już...! A szef niech myśli, że to o jego kasę pomocnik tak się troszczy.

– Sprawdziłem już, tamten na północny zachód poszedł, w kierunku Ryżego Lasu – mruknął barman. – Już dopytałem, że przez posterunek Kamyszowa szedł. A tam przecież obok Wolność siedzi, dzikusy, juchociąg ich całował. Kasy też miał przy sobie Spychacz niemało, mogli go capnąć. Kto wie, kto wie...

Ignac znów kiwnął. Barman rzeczywiście był człowiekiem Powinności, więc odsądzanie

wolnościowców od czci i wiary było na bazie w dobrym tonie. Tak naprawdę to obydwaj doskonale wiedzieli, że w każdym ugrupowaniu ludzie są i tacy, i inni, a szansa na to, że ktoś kogoś „capnie”, nie do końca zależała od rzekomej ideologii czy koloru kombinezonu.

– I patrz, on pod wieczór wyszedł przecież. Już ciemno się robiło. Różnie to mogło być.

Barman uspokajał takim gadaniem sam siebie, próbując znaleźć logiczne wyjaśnienie. Co mogło się stać z wesołym, dzianym stalkerem Spychaczem? Było już czuć swąd zgnilizny.

– To ja jutro z samego rana ruszę – zaproponował Ignac. – Jeśli będzie trzeba.

– Jeszcze pogadaj z Kablem. Wczoraj przysiadł się do Spychacza, jak tamten żarł.

Kabel był handlarzem informacjami, więc na pewno zainteresował się tak dobrze sytuowanym klientem. Ignac ruszył ku stolikowi w rogu, gdzie zazwyczaj zasiadał informator.

– Nic ciekawego. – Tamten z żalem pokręcił głową.

Gdyby miał o Spychaczu cokolwiek ciekawego, to na pewno dałby chociaż do zrozumienia, a tak żal był nieudawany – brak ciekawostek to brak gotówki.

– To dawaj nieciekawe – nie ustępował Ignac.

– No przysiadłem się, zaproponowałem to i owo. A on wszystko na nie: czego innego szuka, konkretnego, nic nie chce. Ja nic dla niego nie miałem, i tyle. Koniec pieśni.

– A czego szukał?

Kabel na chwilę zamilkł, jak gdyby zastanawiając się, czy wypada mu skasować Ignaca na chociażby symbolicznego rubla za taką informację... W końcu

zdecydował, że nie ma co dziadować.

– Podobno nazywa się to „oko diabła”, nowy artefakt. Sam o tym nie słyszałem, no więc na tym się skończyło.

– Opisywał to coś?

– Jakby okrągła taka kulka, paskudna z zewnątrz, przecięta na pół. Od środka równe cięcie, błękitne. Od razu mi się „serce Osamy” przypomniało, tamten się ucieszył, mówi: o, no, no, podobne, ale inne. I tyle, Ignac, więcej nie mam.

– No, dobre i to... A co byś o nim powiedział?

– Rozsądny typ. Nie jakiś szpaner, ale i nie frajer, przynajmniej z gadki. A tak, to kto go wie...



– Człowieku, o czym ty mówisz? – Żenia spojrzała na Budę, jakby się z choinki urwał.

– No, jak w anime. Tam co druga ma włosy niebieskie.

– Hę? A, diabli... Czapka zafarbowała.

– I tak się to kończy...

– Że co?

– Widzisz nagle na jawie coś, do czego niejedną nocą wzdycha, tuląc do siebie mokrą od łez poduszkę. Piękny byt, niczym ręką rysownika stworzony... I słyszysz: o, do diabła, czapka farbuje.

Żeńka parsknęła śmiechem, pokręciła głową.

– Zabawny jesteś... No właśnie, masz imię?

– Z początku byłem Siddartha Gautama z rodu Śakjów, potem przewali mnie Oświeconym... ale to długa historia. Teraz wystarczy Budda. Skąd się tu wzięłaś?

– Snork gonił...

– Nie no, to widziałem. I jak na świat przyszłaś też się domyślić mogę. Średnioterminowo pytam, skąd w Zonie?

– Ekspedycja. Tata mój jest biologiem... był.

– Wyrazy współczucia.

– Nie, nie w tym sensie! Był, bo poza zawodem. A jako biologa go zaprosili, tak przynajmniej uważa. Jego, i mnie z nim.

– Jak to: uważa? Czyli ty uważasz inaczej. – Budda wyciągnął bagnet, kilka razy trącił nogą ubitego snorka.

– No inaczej uważam. Jaki tam biolog z niego? Od pięciu lat nie może doktoratu skończyć. Ej, a co ty robisz?

– Będę się w rozbieranie mięsa bawił, od dawna już rzeźnikiem chciałem zostać... A, bo ty nie wiesz nawet! Stopę snorka można sprzedać za niezły grosz. Nie patrz, jak obrzydliwa jesteś, a najlepiej to okolicę obserwuj, dopóki ja będę ciachał.

– Na szpicy postać?

– Ano, coś w ten deseń... Zona niech łaskawa będzie, pierwszy raz snorka będę kroił. To co, mówisz, tatuś jest niby-biologiem?

– Aha. Ojej, fuj, jakie paskudne.

– Mówię: nie patrz. I co z tym tatusiem?

– No, mówiłam. Czyli biolog, ale skilla ma zbyt niskiego, żeby... Wiesz co, to tak dziwnie wyszło...

– Żenia, a ja wiem, po co cię wzięli na ekspedycję.

Dziewczyna spojrzała na niego, zaskoczona.

– Los tak chciał – uśmiechnął się Budda. – Było nam pisane się poznać. Podobasz mi się.

Przy całej swojej gadatliwości Budda jakoś nie miał odwagi do dziewczyn i zapewne nie umiałby powiedzieć czegoś takiego, stojąc przed Żeńką i patrząc jej w oczy.

Skoro jednak on akurat piłował snorka, a ona patrzyła w inną stronę, to mógł sobie na to pozwolić.

Żenia milczała. Słyszała już podobne wyznania, no... no nie częściej, niż on piłował snorki.

Budda pomęczył się dłuższą chwilę, zerknął na PDA.

– Ktoś tu idzie. Dwóch ludzi. Kto z tobą tam był? Jeden w podobnym sprzęcie jak twój, drugi chyba najmus?

– Tata i Sierdiukow. Wracają, pewnie mnie szukają.

– Lepiej na PDA by popatrzyli. Weź napisz ojcu, że na polanie zostałaś. Napisz, że tu jestem, żeby mi najemnik kulki na dzień dobry nie posłał.

– Aha.

Żenia wysłała wiadomość, punkciki na PDA na chwilę zamarły, a potem ruszyły ku centrum ekranu, idąc prosto na Buddę. Po kilkunastu minutach zza połamanych krzaków ukazały się dwie postacie. Mężczyzna w kamuflażu rzucił się ku dziewczynie.

– Żenia! Żeniuś, cała jesteś, zdrowa? Byłem przekonany, że uciekałaś, ja z panem Serdiukowem ruszyliśmy za mutantami...

– Tutaj byłam, snork mnie przygniół. On mi pomógł.

Ojciec Żeni podszedł do Buddy, wyciągnął rękę.

– Młody człowieku. Doprawdy nie wiem, jak wam dziękować...

– Może odpuśćmy sobie część oficjalną – uśmiechnął się Budda, nieco zawstydzony.

– Tatku, przedstawiam Buddę.

– Magister Klincow – przedstawił się ojciec. – Piotr Siergiejewicz. Och, przepraszam, nauczycielski nawyk patronimikiem się przedstawiać. „Piotr” wystarczy.

Najemnik skinął zdawkowo, potem mruknął:

– A mówiłem przecież, od bazy nie odchodzić! Zaraz dam znać naszym... I wynosimy się stąd, idziemy z powrotem.

Stalker zajął się swoim PDA, Budda zaś ponownie schylił się nad snorkiem: została jeszcze druga noga... Potem Żenia i jej ojciec zaprosili go, aby ruszył z nimi, a on... On nie odmówił. Po drodze Żenka co rusz pociągała nosem, zerkając na Buddę, a Piotr Siergiejewicz opowiadał, jak to martwił się o córkę. Twierdził, że to rzekomo jego wina.

Podobno nocą pod obóz ekspedycji naukowej podeszły ślepe psy. Wartownicy odgonili je strzałami, ale Piotr Siergiejewicz zapalał zawodową ciekawością i umyślił sobie, że chce przyjrzeć się mutantom z bliska. Najemnik Serdiukow w dodatku chlapanął, że jednego z psów na pewno trafili, więc daleko nie odejdzie i padnie... Od słowa do słowa Klincow poszedł śladem. Wraz z nim ruszył najemnik oraz córka. Kiedy znaleźli psa, okazało się, że już dorwały go snorki...

– No i sam pan rozumie! – Klincow wciągnął się w opowieść. – Snorki! Pies to jedno, ale snork...! To przecież niezwykle rzadki mutant!

– Już bez przesady – wtrącił się najemnik. – Mówiłem przecież, od razu w tył! Aj, dostanie mi się dziś za pana pomysły! Oj, już mi tam... Wasz szef mi łeb zmyje!

– A ja czytałem, że snorki są rzadkie – nagle zaoponował Piotr Siergiejewicz. – Przekopałem całą literaturę o faunie Zony, zebrałem bardzo szczegółowe komentarze. Spotkać snorka to czyste szczęście!

Budda mruknął pod nosem coś bardzo niegrzecznego w temacie rozumienia szczęścia.

– A tutaj dwa! Parka! – załamał ręce biolog. – Nawet się nie spłoszyły!

– Snorki się nie płoszą – warknął najemnik.

– Zajęte zdobyczą, w naturalnym habitacie... Szkoda, że nie widzieliśmy, jak polują.

– Właśnie widzieliśmy. Mówiłem: w tył, nie drażnić.

– Nikt nie mógł chyba przypuszczać, że pojawi się to chodzące trzęsienie ziemi...

– To pan magister się snorkami interesuje, dobrze rozumiem? – zapytał Budda, chcąc wy badać, co to za ekspedycja... i znaleźć pretekst, żeby pierwsze spotkanie z Żenią nie było zarazem ostatnim. Poza tym spodobał mu się sprzęt Klincowych, a jeśli organizatorzy mieli pieniądze na taki szpej, to może i jemu co skapnie? W końcu schowanie się przy naukowcach może być niezłym sposobem na przeczekanie, aż nieco opadnie kurz po rozkręconej przez niego i Tolika aferze z „oczami diabła”. – Tak myślę, może podzielić się jakimś spostrzeżeniem z własnego doświadczenia?

– Dajemy sobie radę – burknął Serdiukow. Najemnikowi nie podobało się to nagłe zainteresowanie obcego, tym bardziej że to jego grupie płacili za ochronę i zajmowanie się ekspedycją.

– Snorki interesują mnie osobiście – wyjaśnił Klincow.

– Nasz kierownik natomiast zajmuje się głównie tak zwanymi kontrolerami. Myślę, że w tym temacie mógłby pan coś mu powiedzieć. Och, proszę spojrzeć, to ten ślepy pies! To, co po nim zostało, w każdym razie. Więc i obóz już niedaleko.

Budda słuchał w milczeniu. Nie rozumiał jeszcze, co to za ekspedycja, ale jeśli potrzebny im kontroler...

Doskonale pamiętał o Wyrodku.

– Pseudogigant chciał zabrać snorkom pożywienie – odezwała się Żenia. – Zaczęły skakać, stawać dęba. Brrr, paskudztwa... Normalnie jak menele, co u nas na starej budowie mieszkali. Ale te jeszcze skaczą.

– Straszły go – wyjaśnił Serdiukow, zwracając się bardziej do Piotra Siergiejewicza. – Skaczą, pokazują się, robią zamieszanie. Myślały, że da spokój, nie będzie dla parchatego kundla iść w zwarcie. Ale przecież jak ten bezmózg żarcie poczuł, to...

Klincow pokiwał głową, popatrzył na córkę i kontynuował:

– Snorki odstąpiły, ale zaczęły biec prosto na nas. Czysty przypadek. Żenka krzyknęła, my też zaczęliśmy uciekać.

– I słusznie – uśmiechnął się Budda. – Z pseudogigantem nie ma co zaczynać, ten jak przejdzie, to za nim tylko asfalcjarkę puścić. A z bronią u was nie za bardzo, tak patrzę.

– Taką nam wydali. – Były nauczyciel wzruszył ramionami, najemnik tylko spojrzął na niego krzywo.

– Jeszcze czego, cywilowi do ręki coś poważnego dać. Tylko patrzeć, jak się nawzajem powybijacie. Już lepiej, jak z makarowami chodzicie, tylko mnie się słuchać! Przecież mówiłem...

– O tam, za tymi zaroślami. – Żenia pokazała ręką. – Już jest obóz.

– Ano, jest – zgodził się Budda. – Z daleka widać.



Obóz rzeczywiście wyglądał imponująco. Cztery ciężarówki ustawiono w kwadrat, nad stalowymi dachami wznosiły się czasze anten, w ścianach widać było wypukłe gniazda dla karabinów. Okna przykrywała żelazna siatka... Nie były to jeszcze wozy pancerne, ale przed większością mutantów musiały już dawać solidną ochronę.

Wokół stały metalowe trójnogi, jakieś ażurowe konstrukcje, słońce odbijało się od zwojów nowiutkiego drutu kolczastego. Widać było chodzących tu i tam ludzi w kombinezonach podobnych do tych, które mieli na sobie Kłincow i jego córka. Budda dostrzegł też kilku najemników, ale ci tylko spacerowali wzdłuż umocnień, czasami przystając w cieniu. Na dachu jednej z ciężarówek smażył się wartownik.

Serdiukow uniósł rękę, strażnik zasalutował w odpowiedzi.

– Teraz ostrożnie – ostrzegł Serdiukow. – Patrzcie pod nogi, idźcie za mną.

– A co, na anomaliach siedzicie? – zapytał Budda.

Nikt nie odpowiedział, grupa ustawiła się gęsiego – teraz prowadził najemnik, co rusz zerkając na PDA. Nawet nie odrywając wzroku od ekranu, przypomniał:

– Idzicie krok w krok za mną. Ty, stalker, w obozie ręce z dala od broni. Dyscyplinę trzymamy, więc ktoś zawsze będzie ci w plecy patrzeć.

Budda posłusznie dostosował się do instrukcji. Tu i ówdzie w trawie pobłyskiwał metal. Czujniki? Raczej miny. I aparatura na dachach też pewnie nie do telewizji satelitarnej, a jako monitoring okolicy albo i system zdalnego odpalania ładunków. Poważnie ktoś to

wymyślił. Już po drodze gruby zaczął myśleć, jak z takiego obozu się wymknąć, i doszedł do wniosku – najlepiej wcale. Podobnie zresztą wyglądałoby szturmowanie go; nie to, żeby miał taki zamiar, ale rozpatrywał możliwości.

Od obozowiska aż niósł się słodki, drażniący zapach zieleniny – zapach pieniędzy. A co jak co, ale apetyt to miał Budda niezły.

Przed wejściem do obozu Budda zarzucił karabin na plecy, starając się nie zwracać nadmiernej uwagi. I tak patrzyło na niego więcej ludzi, niżby chciał... I to patrzyli jakoś dziwnie. Stawali i gapili się, pokazywali palcami: ojej, patrzcie, prawdziwy, żywy stalker! Od razu znać, że żółtodzioby jakieś. Za to najemnicy przyglądali mu się uważnie, Budda też zerkał na nich. Doliczył się sześciu.

Kazali mu poczekać, więc klapnął sobie w cieniu, oparł o koło ciężarówki i przymknął oczy. Klincow i Serdiukow schowali się do środka, Żenia pokręciła się, postąpiła obok niego, w końcu też usiadła. Widać było, że chce pogadać. W składzie ekspedycji była najmłodsza, więc musiała się zwyczajnie nudzić.

– Ej, a co wy tutaj w ogóle robicie? – półgłosem zapytał Budda, spod przymkniętych powiek obserwując ruch w obozie. – Tak patrzę, że nikomu się nie spieszy.

– Ja się niczym nie zajmuję, na doczepkę jestem. A nie spieszą się, bo teraz mamy okres adaptacyjny, dwa dni.

– Co? Po co? Jaka adaptacja?

– No, żeby się oswoić. Pierwsze dwa dni w Zonie, tak? Przywyknąć, zobaczyć mutanty. Nauczyć się ostrożności.

– Powtarzam: co? Ludzie, jesteście w głębokiej Zonie, jaka znowu adaptacja? Do czego przywyknąć? Co wy,

z księżycy spadliście?

– No, prawie że. Śmigłowcami na Jantar nas przerzucili, potem krótkimi odcinkami tutaj w ciężarówkach. Tutaj na dwa dni stanęliśmy, żeby zaadaptować się do warunków. Tata jako jedyny dostał zezwolenie na wyjście, jako biolog. Serdiukow go ochraniał.

– A ty?

– A ja... ja nie dostałam zezwolenia. Samo tak wyszło. Ech, też mi się dostanie.

– Będzie gites, nie przejmuj się.

Zaskrzybiały drzwi, zadudniła żelazna drabinka – zszedł najpierw wykładowca, potem Serdiukow. Najemnik machnął na Buddę.

– Stalker, chodź, szef chce cię widzieć. Karabin zostaw, żeby ci nie zawadzał, ja popilnuję.

Budda puścił oko do Żeńki, oparł kałasza o koło i wdrapał do żelaznej krypy. Po jasnym świetle zalewającym obozowisko wewnątrz wydało mu się czarno-czerwone, ciemne... Musiał pomrużyć dobrą chwilę, żeby w ogóle zacząć cokolwiek widzieć.

Znajdował się chyba w apartamencie szefa ekspedycji. Czyściutko tu było, jak nie w Zonie. Równiutko przylegające do ścian składane łóżka, na jednej burcie książki, pojemniki na artefakty, aparatura. Na ziemi stały skrzynie z bronią i amunicją, wszystko przymocowane pasami, na swoim miejscu. Od razu widać, że gospodarz lubił ład i porządek. W dalszym kącie stało biurko z lampką, będącą tu jedynym źródłem światła.

Za biurkiem siedział mężczyzna – już w swoich latach, solidny, masywny, o twarzy jak wyciosanej z drewna.

Budda od razu zauważył, że nie wygląda najzdrowiej – cera ziemista, wory pod oczami... Obok niego stał drugi, młodszy, z przylizanymi włosami i idealnym przedziałkiem.

Ten starszy pokazał ręką na rozkładane siedzenie pod ścianą.

– Dzień dobry, pan siada. Wiktor Terentiewicz, miło mi poznać.

Budda pokręcił głową: nie trzeba, postoję.

– I nawzajem, że tak powiem.

– To mój sekretarz, Innocenty – gospodarz przedstawił młodszego. – A pan podobno zwie się Budda.

– U nas w Zonie prościej jest, ksywa wystarczy.

– Jakkolwiek pan powie, może być i Budda. Pragnę podziękować panu za pomoc. Słyszałem, że zjawił się pan w trudnej chwili dla moich współpracowników, uratował pannę Klincową. Nawet nie wiem, jak to możliwe, że Żenieczka była poza strefą chronioną... Przecież kazałem najemnikom jej pilnować! No cóż, młodość najwyraźniej ma swoje prawa.

Budda nie odzywał się, próbując zrozumieć, jakiego rodzaju człowiekiem był szef dziwacznej ekspedycji. Ni to naukowiec, ni to wojskowy. Mówi powoli, porusza się powoli, niby wielki, a siły w nim nie czuć. Mówi ładnie i do rzeczy, ale z jakimś minimalnym akcentem... A może nie, może po prostu naleciałość regionalna. Może z prowincji człowiek, bo tacy strasznie się trzęsą o poprawność języka, grzeczność, tytuły i temu podobne. A wszystko to ze strachu się bierze, bo w takim człowieku zawsze żyje brak pewności siebie chłopca ze wsi, który boi się, że w wielkim mieście słoma mu

wylezie z butów, a miastowa młodzież wyszydzi jego prostackie maniery. Więc puszy się człowiek, stara wyglądać poważniej i mądrzej, próbuje zasłonić się uprzedzającą grzecznością.

Budda takich ludzi nie lubił. Wiedział, że przy nich niebezpiecznie jest demonstrować własną wiedzę i kulturę, bo zawsze odbiorą to jako wywyższanie się i zareagują zawiścią. Tacy nie lubią, kiedy ktoś jest mądrzejszy czy lepiej wykształcony – bo sami musieli w pocie czoła harować na swoją pozycję, więc podświadomie nienawidzą tych, którzy doszli do tego samego mniejszym wysiłkiem.

Poza tym pod lampką leżała książka, a Budda zdołał przeczytać tytuł: „Stu wielkich uzdrowicieli poprzez wiarę”. Typowa komercyjna mielonka, takie rzeczy czyta bydło w pociągach albo paniusie w urzędach. Tak więc, Wiktorze Terentiewiczu, jakkolwiek możesz być tu szefem, mieć na to wszystko kasę i nawet umieć to ogarnąć – zwykły frajer z ciebie.

– Jestem tutaj nowy – mówił dalej Wiktor Terentiewicz. – I nie znam miejscowych zasad. Natomiast jeśli jest to akceptowalne, to pragnąłbym swoją wdzięczność wyrazić wymiennie. Innocenty...

Sekretarz położył na stole wachlarz z banknotów.

– Och, to zupełnie niepotrzebne, Wiktorze Terentiewiczu – zapewnił Budda, skrupulatnie zbierając pieniądze, bynajmniej niebędące niskimi nominałami. Niezły początek... – Ale niegrzecznie byłoby odmówić. To jest, jeśli z potrzeby serca ktoś daje, to nie wypada. Jeśli mógłbym do czegoś się przydać... Weteranem może sam się nie nazwę, ale jakiś czas w Zonie już jestem, tak

więc...

Nie dokończył celowo, dając rozmówcy szansę dopowiedzieć, w czym i jak może być pomocny Budda, tak dobrze znający przecież Zonę.

– No cóż, cieszę się z pana propozycji. Pozwoli pan, że w dwóch słowach opowiem o celu naszej ekspedycji... Tak na początek. Może jednak pan spocznie?

Budda posłusznie opuścił sobie siedzenie, usiadł naprzeciwko.

– Nie wiem, jakie są pańskie przekonania, i też nie jest to moja sprawa – powiedział Wiktor Terentiewicz. – Ale niech pan potraktuje moje słowa poważnie. Tak więc... Tak więc moja organizacja nosi charakter raczej wyznaniowy, religijny. Istnieje pewna teoria... przekonanie... stan świadomości... Niech nazywa to pan, jak tylko chce. Jest w każdym razie wersja głosząca, że Zona jest manifestacją pierwiastka boskiego w świecie doczesnym.

Budda miał na końcu języka co najmniej tuzin ciętych ripost, jednakże zmilczał. Nawet się nie uśmiechnął. Gospodarz obserwował go, zapewne bał się, że parsknie śmiechem... Ale przekonawszy się, że gość zachował powagę, mówił dalej:

– Moi bracia w wierze wykonali ogromną pracę, zaangażowali poważnych naukowców. Proszę mi wierzyć, że nie przesadzam, praca nosiła charakter stricte naukowy, zajmował się nią uczony światowej renomy, doktor Dietrich van de Meer... Rezultaty były wstrząsające. Podczas pobytu w Zonie doktor van de Meer wyleczył się z choroby powszechnie uznawanej za śmiertelną. Ja osobiście jestem zdania, że ten przykład

jest o wiele bardziej wymowny niż wyniki badań. Cudowne ocalenie człowieka podczas pełnienia misji w słusznej sprawie! To przecież namacalny dowód na to, że Najwyższemu miłe są nasze poszukiwania.

– I jest pan pewien, Wiktorze Terentiewiczu, że tamten był chory?

– Tak. Nawet osobiście spotkałem się z doktorem van de Meerem, nie poprzestawszy na jego raporcie. Jestem pewien, że to wszystko prawda.

– Wstrząsające. – Budda pokiwał głową, wkładając cały swój kunszt w niepokazanie, jak bardzo odmiennego jest zdania.

– W dodatku są świadkowie! Podczas ekspedycji doktorowi towarzyszyli dwaj stalkerzy, niejacy Ślepy i Kostikow...

– Ślepy? Byłem pewien, że to ksywa! Zdarzyło mi się jednego takiego znać.

Wiktor Terentiewicz położył na blacie cieniusieńką broszurkę, przełożył kilka stron i stuknął palcem w fotografię. Budda nachylił się, przypatrzył, mimo pośledniej jakości wydruku poznał Ślepego.

– Ha, ten sam. Ale to nie nazwisko, tylko... ksywa.

Budda trochę się zaniepokoił. Czy nie jest to jakaś machinacja, blef? Ale kto miałby wiedzieć o jego znajomości ze Ślepym i co by to miało dać? Sam będąc oszustem, gotów był węszyć fałsz bez mała wszędzie.

– Sam pan widzi! – gospodarz odezwał się pewnie, jak gdyby tylko na coś takiego właśnie czekał. – Czyż nie jest to widomy znak dla nas? Wiedziałem, że Najwyższy prowadzi nas do celu!

Odwrócił się do ulizanego sekretarza.

– Innocenty, sam powiedz! Czyż nie jest tak, że Pan prostuje ścieżki nasze?

Budda nie wiedział, jak zareagować. Ślepy coś tam mówił o jakimś van de Meerze, tyle pamiętał. Ale co konkretnie? No że jajogłowy, że z zagramanicy... i coś o jakiejś chorobie...

– AIDS! Van de Meer był nosicielem AIDS! – Budda złapał się na tym, że powiedział to na głos.

Wiktor Terentiewicz rozpromienił się.

– Ha! Słyszysz, Innocenty? Wszystko składa się w całość! Młody człowieku, rozumiecie, co to znaczy? Absolutnie nalegam, aby dołączył pan do nas. Nie przypadkiem trafił pan tutaj, wszystko jest od dawna zapisane, a my tylko musimy podążać za znakami.

– Eee, no dobrze... jasne. Tak w ogóle, to miałem spotkanie umówione, ale to nic takiego. Dam znać partnerowi, że ruszam z wami... tylko dokąd?

– Na razie nie mogę powiedzieć nic na pewno. Wiadomo, że doktor van de Meer dostał się pod wpływ kontrolera. Czy możecie pomóc nam znaleźć kontrolera, młody człowieku?

– Myślę, że tak... Akurat niedawno z jednym zawarłem znajomość, trzeba było uciekać. Karabin zostawiłem, szkoda broni... Miejscowi mówią, że kulawy jest i daleko się nie wypuszcza ze swoich ruin. Mogę was zaprowadzić, ale od razu ustalamy, że kontrolerowi do legowiska nie wejdem, i wam też odradzam. Już widziałem, jak wasi podopieczni do pseudogiganta z pistolecików na wodę strzelają, wystarczy. Nie mają właściwego szacunku dla mutantów, a to niedobrze.

Wiktor Terentiewicz znów zerknął na sekretarza. Ten

nie zawiódł pokładanej w nim wiary, bo uśmiechnął się szeroko i oświadczył:

– Zaiste, znak z niebios! Stalker wie, gdzie znaleźć kontrolera! To nie przypadek żaden, a zamysł, plan Boży!

Budda w myślach popukał się palcem w skroń. O, tu się weź... A zresztą, co go to obchodzi? Jeśli gotowi mu są płacić, to on może ich prowadzić. Jedno z dwóch: albo zarobi i odzyska karabin, albo przyjdzie potem i pozbiera sprzęt po tragicznie poległych w bratobójczej walce członkach ekspedycji.

Byle tylko jakoś z tego ambarasu Żeńkę wyciągnąć, a potem niech sobie i gęsiego do kontrolera leżą.

– A zatem, panie Budda? Możemy liczyć na pana pomoc w zbożnym dziele?

– No jasne! Zaprowadzę was do kontrolera, a jakże, bez problemu.

– Innocenty, proszę wydać stosowne rozporządzenia w zakresie zakwaterowania młodego człowieka. – Wiktor Terentiewicz z uporem godnym lepszej sprawy unikał nazywania Buddy jego ksywą. Pewnie mu Allah zabraniał. – I poproś do mnie Żenię. Ach, dziewczę, dziewczę niemądre... Trzeba będzie reprimendy udzielać, a wszystko dla jej własnego dobra!

– Niech jej tylko pan zbytnio nie ruga, Wiktorze Terentiewiczu – poprosił Budda, wstając. – Dzielnie sobie poradziła.

Wyszedł z ciężarówki, mrużąc oczy od słońca. Skinął Żeni, idącej już do środka: trzymaj się...! Usiadł, zaczął stukać wiadomość do Tolika. Na początek napisał: „Uśmiejesz się. Pojawiła się jedna taka”.

Odpowiedź przyszła niebawem:

„Nie uśmieję. Utknąłem tutaj. Bój na całego”.

Rozdział 6

Tolik mijał hałdy ledwie przysypanego ziemią żelastwa. Słońce było już wysoko, z obozu stalkerów na cmentarzysku maszyn wychodzili pojedynczo włóczędzy. Nie miał ochoty się z nimi spotykać, więc ruszył minimalnie szybciej. Nie mógł się za bardzo spieszyć, żeby nie zwracać uwagi. Poza tym filtry w masce z trudem przepuszczały powietrze, ciężko było mu oddychać... Najchętniej by ją zdjął, ale doskonale rozumiał, że teraz zwyczajnie mu nie wolno.

Przeszedł pomiędzy pagórkami Wysypiska, spojrzął w lewo, gdzie burożółtą plamą odznaczała się stara koparka. Tam, za nią, była kiedyś baza brygady Gieny Zwornika... A teraz brygady nie ma, wszyscy nie żyją.

Pomiędzy pagórkami była bura, gliniasta ziemia, przerośnięta chwastami. Tutaj wszystko widać jak na dłoni, a co było za hałdami? Tam na pewno miało być bardziej niebezpiecznie, tyle Tolik pamiętał. I stalkerzy się tam częściej zapuszczali, i prawilny ludek, bo anomalii było tam sporo, więc szansa na artefakt większa.

Teraz pora jak najszybciej przeprowadzić się na drugą stronę torów kolejowych i ruszać na północ. Tam, wśród

wzgórz, o wiele trudniej było lawirować pomiędzy gorącymi plamami podwyższonego tła promieniowania, ale i ludzi spotykało się zdecydowanie rzadziej.. A teraz towarzystwo było Tolikowi do niczego niepotrzebne.

Dolinkę pokonał bez przygód, rozejrzał się i gwałtownie przykucnął. Z zarośli przy starej drodze wysypywały się postacie w czerni. Któryś zauważył Tolika, błysnęły ognie wylotowe broni, huknęły wystrzały. A niech to Zona pochłonie, wpadł! Najwyraźniej jakaś ekipa chciała wbić na stare zakłady remontowe czy czymkolwiek były tamte hale. Tolika to nie interesowało, Zwornik trzymał się od tamtych budynków z daleka, bo podobno był tam obóz stalkerów. A ci tutaj nie bali się zaryzykować.

Tolik nawet nie odpowiadał na wystrzały, bo śrut z jego dwururki nie miałby szans dolecieć do przeciwników. Najpierw cofnął się kilka kroków, potem wystartował sprintem, chowając głowę w ramionach. Do wtóru potrzaskiwania licznika przebiegł przez pagórek – i zamarł. W jego stronę gnali czterej stalkerzy pod bronią i w pancerzach. Wprost na niego.

Strzelą, nie strzelą?

Serce waliło z nerwów jak młotem, ale Skrzypek wyczekał, aż grupa zrówna się z nim. Stalkerzy wyhamowali, biegnący na czele wyrzucił z siebie:

– Kolego, bandytów widziałeś?

– Widziałem. Strzelali do mnie.

– Uciekłeś? No i słusznie. Z twoim sprzętem lepiej się nie wychylać, tam zaraz będzie dym. – Obrócił się, machnął ręką na pozostałych. – Naprzód, włóczędzy! Pomożemy naszym.

No tak... Pewnie stalkerzy, siedzący w hangarze remontowym, wezwali pomoc, a ci odpowiedzieli na prośbę. Mają rację, po co on się ma wychylać? Począł, aż grupa uderzeniowa zniknie po drugiej stronie pagórka, potem zagrały karabiny, gdy atakująca zabudowania brygada ostrzelała stalkerów tak samo jak jego kilka minut wcześniej. Czym się taka potyczka zakończy, tego nie wiedział nikt. Brygada mogła odpuścić albo przyjąć bój, siedzący w hangarze mogli uderzyć z drugiej strony albo pasywnie czekać...

Zbyt dużo zmiennych.

Jakkolwiek na to patrzeć, teraz na północ się nie przedostanie. Na dodatek w brzuchu zaburzało, w końcu mało co ostatnio jadł! Zdecydował, że nie ma co na rympał iść. Odwrócił się na pięcie i powoli, spokojnie ruszył w kierunku starej bazy niegdysiejszej ekipy Zwornika. Szedł bez pośpiechu, rozglądając się, czy miejscówka aby nie przyciągnęła niechcianych gości, ale na porzuconym placu niedokończonej budowy było cicho i pusto. Wiatr szeleścił starymi gazetami, świszczwał w stosach poskręcanych drutem rur.

Skrzypek przeszedł po dawnej bazie, szukając śladów pobytu pseudopsów, które ostatnio zagnieździły się w okolicy – ale nie znalazł ani odchodów, ani sierści. Nie było też charakterystycznego smrodku... To jeszcze tropiciel Sania go uczył, że jeśli stado wybierze legowisko, zawsze je zaznacza zapachem. Tutaj psów nie było. Niewykluczone, że okazjonalnie stawali tu ludzie, ale też pewnie nie na długo.

Tolik zdecydował się nie palić ognia, żeby dym niepotrzebnie nie ściągał uwagi. Otworzył konserwę,

zaczął miarowo, bez entuzjazmu przeżuwać zimną papkę, osadzając się na zębach warstewką tłuszczu. Potem umościł się pomiędzy rurami i zaczął czekać. Godzina? No powiedzmy, godzina, żeby stalkerzy z bandytami się wystrzelali. Może dwie, żeby zdążyli się wykrwawić. Albo jedni, albo drudzy zyskają przewagę, przeciwnicy uciekną, zostawiając rannych. Inaczej być nie może.

Nastawił budzik, przymknął oczy.

Dwugodzinny okres karencji dobiegł końca, ale Tolikowi jakoś się nie chciało ruszać. Iść? Czekać? Do zmroku siedzieć tu nie będzie, bo nocami mutanty przybiegają starą drogą z Agropromu, więc iść trzeba za dnia. Ale jeśli tam jeszcze walczą, to głupiego robota...

Siedział tak, bijąc się z myślami i nijak nie mogąc zdecydować – i wtedy przyszła wiadomość od Buddy.



Otrzymałszy lakoniczną odpowiedź Tolika, Budda mocno się zaniepokoił. Kiedy jego towarzysz wcześniej napisał mu, że temat, jak to się mawia, zaskoczył, filozof wrzucił zupełnie na luz. Teraz Tolik gdzieś utknął, musiał jeszcze kawałek przejść... a on powinien ruszać mu na spotkanie! Co się tam w ogóle działo? Od razu nastukał nową wiadomość.

„Gdzie jesteś? Ilu wrogów?”

„Stara baza przy Wysypisku. Czekam, aż ucichnie. Sekcja kroi warsztaty kolejowe. Pamiętasz hangar przy tunelu?”

Budda potarł spocone czoło. Uff, czyli nie było tak źle...

„Tak. A ja spotkałem ekspedycję. – napisał Skrzypkowi. „Dziwny naród, ale kasiasty, płacą za byle gównno. Są perspektywy”. Potem zastanowił się chwilę, nie mając pewności, czy Tolik zrozumie, i dodał: „Mają szefa frajera”. Tak, tak będzie jaśniej... I jeszcze dopisał: „Jeśli trzeba, ruszę do ciebie”.

„Dam radę” – zwięźle odpisał Tolik.

Potem z ciężarówki wyszła Żenia, w ślad za nią przylizany Innocenty. W świetle dnia nie wyglądał już na tak napomadowanego, kombinezon tu i tam wisiał luźno na jego kanciastej figurze, a on sam okazał się nie tyle atletą, ile chudym dryblasem. Żenia miała w rękach swoją farbującą czapkę, wyglądając na cokolwiek zmieszaną.

Budda podniósł się, Klincow senior też wstał ze swojego miejsca, podszedł bliżej.

– Żenia, Żeniusia...

– Nic się nie stało, tato. – Dziewczyna machnęła ręką. – Jest okej. Dałam słowo honoru, że przemyślę swoje zachowanie i więcej nie będę robić tak nieodpowiedzialnych rzeczy.

Spojrzała z ukosa na Innocentego i dodała głośniejsz:

– Ale tak naprawdę to nic nie znaczy, bo jak składałam obietnicę, to o, tak robiłam. – Podniosła dwa skrzyżowane palce.

Sekretarz zignorował rzucone wyzwanie, zwrócił się do Buddy, uśmiechając blado:

– Jeśli nie zmienił pan zdania, to oprowadzę pana po obozie, to i owo wyjaśnię, odpowiem na pytania. Przede wszystkim przedstawię pana ochronie. Mamy tu bardzo ścisły regulamin odnośnie do obcych, więc od tego

wypada nam zacząć.

– Idę z wami – zadeklarowała Żenia, która najwyraźniej musiała odreagować stres. – Dawno już chciałam ogarnąć, jak to tutaj wszystko działa.

Serdiukow też poszedł za nimi niczym cień. Jakkolwiek szef uznał Buddę za legalnego, to oni nadal robili swoje, a nowy człowiek był po prostu nowym zadaniem.

Obeszli po obwodzie cały niewielki obóz. Innocenty po drodze wyjaśniał:

– Ta aparatura reaguje na ruch dużych obiektów w ramach dodatkowego systemu bezpieczeństwa. Ufamy naszej ochronie, ale członkowie ekspedycji są niedoświadczeni, bez przygotowania, więc...

– A na zewnątrz są miny? – upewnił się Budda. – Więc to tutaj to już druga linia obrony.

– Zgadza się, miny. Specjalna opcja obozu umocnionego w warunkach niesprzyjających.

– Aha. I co, tak je potem zostawicie, jak pojedziecie?

– Ależ bynajmniej.

Na tym wytłumaczenia się urwały. Budda domyślał się, że miny mają jakieś swoje markery, nadajniki albo coś w tym stylu. Jeśli można nimi sterować zdalnie, to pewnie na sygnał można je też odłączyć, znaleźć i zebrać... Ale jednym okiem zerkał też na kręcących się po obozie członków ekspedycji, ci – szczerze mówiąc – nie robili nic konkretnego. Jedynymi, którzy mieli określone zajęcie, byli najemnicy, przedstawieni im po kolei: Chrom, Kałuża, Kazbek, Lewak, Bosman... no i Serdiukow.

– Serdiukow – zainteresowała się dopiero teraz Żeńka.

– Stalkerzy mają te swoje pseudonimy czy tam ksywy. A dlaczego ty się z nazwiska przedstawiasz?

– Nie trzymają się mnie ksywy – odburknął najemnik ponuro.

– Ale... – Żenia nie odpuszczała, ale Budda pociągnął ją za rękaw.

– Daj spokój Serdiukowowi.

– Wracając do naszej ekspedycji... – nijakim, płaskim głosem mówił dalej Innocenty. – Może wydawać się dziwnym, że zjawiliśmy się w Zonie, nie posiadając wcześniejszego doświadczenia i odpowiedniego przygotowania. Niemniej Wiktor Terentiewicz nieustająco troszczy się o bezpieczeństwo i spokój każdego z członków grupy. Jak pan widzi, panie Budda, wszyscy są doskonale wyposażeni. Pierwszy etap trasy pokonaliśmy transportem lotniczym, omijając niebezpieczne odcinki terenu, teraz zaś ochroną obozu zajmują się wykwalifikowani zawodowcy.

– Jestem pod wrażeniem, naprawdę! – pochwalił Budda. – Doskonała organizacja! Wybitna wręcz!

– Przekażę pańskie słowa szefowi. – Innocenty kiwnął głową. – Ucieszy się, słysząc taką ocenę z ust doświadczonego stalkera. Bezpieczeństwo uczestników jest naszym priorytetem. Jako że do tych okolic nawet miejscowi docierają z niemałym trudem, nierzadko ucząc się na własnych błędach, wzięliśmy i to pod uwagę. Grupa pozostanie w obozie dwa dni, aby wszyscy przywykli do wyposażenia i zapamiętali zasady bezpieczeństwa i higieny w Zonie.

– Nie pozwalają nam masek poza obozem zdejmować – poskarżyła się Żeńka. – A okazuje się, że można!

– Bardzo słusznie nie pozwalają – odparł Budda. – Kiedy się nauczysz określać, gdzie można bez, a gdzie trzeba w, to będziesz sama decydować, co i jak. Panie Innocenty, jestem zobowiązany za wyjaśnienia, ale chciałbym dowiedzieć się więcej o celach samej wyprawy... O ile jest taka możliwość.

Innocenty znów przywołał na twarz profesjonalny uśmiech.

– Ależ naturalnie. Dziś wieczorem mówić będzie o tym Wiktor Terentiewicz. Nasi wszystko wiedzą, ale jako że mamy nowego towarzysza w pana osobie, to szef opowie w ogólnym zarysie o szykujących się zadaniach. Proszę zatem o cierpliwość, szef jest świetny w opowieściach. Spodoba się panu.

Zapięty na przedramieniu Buddy komputerki pisnął cicho: poczta. Stalker od razu otworzył skrzynkę, zaczął czytać – nie Tolik przypadkiem? A nie, to barman pisze do Spychacza... Budda uśmiechnął się tak słodko, że aż lekko. Akurat zakończyli swoją rundkę, Innocenty zatrzymał się.

– Panie Budda, muszę pana ostrzec. W obozie panuje nie to, że bezwzględna dyscyplina... ale mamy tutaj ludzi szczerze wierzących, ludzi zasad i przekonań. Uświadomionych, że tak powiem. Pokrótce, do szeroko pojętego łamania zasad prawa mamy stosunek wybitnie negatywny. Mam nadzieję, że weźmie pan to pod uwagę.

W tej chwili Żenię zawołał ojciec, a Innocenty stwierdził, że musi wrócić do szefa. Kiedy Budda i Serdiukow zostali tylko we dwóch, ten drugi powiedział półgłosem:

– Słuchaj, koleżko, ja ci tylko raz to powiem, a ty dla

własnego dobra zapamiętaj. Nie wiem, coś za jeden i po co im, nie moja sprawa. Widzę tylko, że do dziewczyny się kleisz, więc wbij sobie do głowy, że ona tu jest na szczególnych zasadach.

– W sensie?

– W sensie rączki przy sobie, języczek też. Przecież ten cherlaczyna, Innocenty, mordę Bosmanowi obił, jak tamten dziewczynę w żartach po tyłku klepnął. I groził, że zastrzeli. Wnioski wyciągnij sam.

Budda pokręcił głową. Bosman był przecież najbardziej nakoksowanym z najemników... Niczego sobie!

– To co, ten Innocenty sam do niej ten teges?

– Gdyby jeszcze. – Serdiukow westchnął ciężko. – On sam jej nie ruszy i innym nie da, jak pies ogrodnika. A i dziewczyna ani na niego spojrzy. Zona wie, co tam się dzieje i jakie są układy, ale po prostu pamiętaj o tym. A, i jeszcze coś: nic osobistego, chyba jesteś w porządku, ale za ochronę nam tutaj płacą. Jasne?

– Jak słońce. Ochroniajcie do woli!

Humor Buddy zaczynał gwałtownie się psuć. Coś tu było nie tak... Jego PDA znów zapiszczał: tym razem pisał Ignac. Gdyby chociaż w tej części historii wszystko szło jak należy, bez niespodzianek!



Ignac zjawił się w barze na przysłowiowej pełnej ladacznicy – w sprzęcie i pod bronią. Barman zmierzył go ponurym wzrokiem.

– Co, też tak czujesz?

Pomocnik kiwnął ponuro:

– Nie inaczej.

– No skoro masz wszystko, to naprzód, i powodzenia. Jak coś, daj znać.

Ignac kiwnął i wyszedł. „Jak coś”, ha! Już on wiedział, jak co, w każdym razie przypuszczał... Warianty mogły być najprzeróżniejsze, ale najpierw musiał przekonać się, że Spychacz wyszedł z terenów kontrolowanych przez Powinność, więc ruszył w kierunku północno-zachodnim. Parę godzin marszu jak obszył... Jeszcze po drodze dał znać dowódcy posterunku, że idzie, więc Kamyszow wyszedł mu na spotkanie.

– Ignac, kopę lat! Co za wiatry cię przygnały? Ja bym na twoim miejscu z waszej chłodnej, dobrze zaopatrzonej piwniczki nosa nie wyściubiał!

– Sam bym tak wolał, ale jest powód. Wczoraj przez wasz posterunek wychodził jeden taki, ksywa Spychacz. Było takie coś?

Kamysz zamyślił się.

– Czekaj, przecież łązi ich tutaj bez umiaru... Zaraz w rejestrze sprawdzę.

– W bazie już pytałem i wygląda na to, że tak właśnie było. W dobrym kombinezonie, pancernym. Konkretnie nabity taki, krępy, bystry. Bródka podgolona tak, o.

– A, pamiętam! – ucieszył się Kamysz. – Faktycznie, był taki. Myśmy go przekonywali, że nie warto po nocy łązić, że on w pojedynkę... A gdzie tam! Zasuwał, jakby go sam diabeł gonił.

– I co mówił, skąd taki pośpiech?

– Że niby klient czeka.

– Hm, hm. Jasne.

– A co się stało, Ignac? Zapomniał się rozliczyć?

– Nie, barman mu chce biznes zaproponować... biznes w każdym razie.

Ignacowi nie spieszyło się przyznawać, że ktoś wydymał nie tylko szefa, ale i jego – szczególnie przed samym sobą! Lepiej zachować pozór, więc i Spychacza szukał jako partnera, z pełnym szacunkiem. No i nie można było zrzucić zlecenia nikomu innemu, sprawa z wielu względów nie powinna wypłynąć na światło dzienne.

– No to wrzuc w sieć pytanie, może ktoś go widział. Czy...?

– Delikatna sprawa – skrzywił się Ignac. – Niepotrzebny nam rozgłos.

– Jasne. Jak tylko czegoś się dowiem, zamelduję.

– Dobra. No cóż, Kamysz, to na razie.

Ignac minął powinnościowca, ruszył ku drugiemu wyjściu z posterunku.

– E, Ignac, no coś ty? Też po nocy będziesz się szlajać?

Ignac obrócił się, już otwierał usta, żeby coś powiedzieć... Machnął ręką, poszedł dalej. Powinnościowcy odprowadzali go zdumionymi spojrzeniami, jeden popatrzył na drugiego, wzruszył ramionami, dziwne... Kiedy Ignac skrył się za zakretem, zwrócili oczy na dowódcę.

– Naprawdę srogi musi mieć biznes do tego całego Spychacza. – Kamysz podrapał się po policzku. – Tylko mnie się nie pytajcie, ja sam nic nie wiem.

– No, niektórzy to się potrafią zakręcić – pokiwał głową któryś z szeregowych. – Aż zazdrość bierze. My sterczymy tylko tutaj na miejscu, jak te kołki, a ludzie

sobie w tę i we w tę... I każdy ma ważne sprawy.

– A ja tam im nie zazdroszczę – mruknął Kamysz.



Skrzypek w zasadzie nie miał ochoty zostawiać po raz kolejny starej, dobrze znanej bazy, ale co począć? W końcu wstał, wygramolił się spomiędzy rur i ruszył przez porzucony plac budowy ku pagórkom. Aby nie rzucać się w oczy ani stalkerom, ani bandytom, trzymał się w cieniu, idąc tak blisko zbocza, jak tylko się dało. Oczywiście kiedy wszedł w rudą, ilastą dolinkę, licznik zaczął terkotać z irytacją. Tolik założył maskę, naciągnął na głowę kaptur i przyspieszył kroku.

Strzelanina ucichła, nad Wysypiskiem wisiała złota, gorąca cisza upalnego lata. Tolik przeszedł przez skażony fragment terenu i skręcił w lewo, trzymając się zarośli.

Był już niemalże przy drodze na Agroprom, kiedy wydało mu się, że w krzakach po drugiej stronie asfaltowej drogi coś się poruszyło. Bez namysłu przypadł do ziemi – i w tej samej chwili huknął strzał z pistoletu. Kula świsnęła mu wysoko nad głową, echo odbiło się od wzgórz i znów zapadła cisza.

Tolik na czworakach przeczołgał się za starą rurę, nastawił uszu... Cisza, nic, ani jednego dźwięku. Ale przecież gdzieś tam, za drogą, czaił się człowiek z pistoletem. Robiąc jak najmniej hałasu, przepełzł dalej, wzdłuż rury. Było już bliżej wieczora niż popołudnia, a tutaj nie było sensu zostawać do zmroku – więc musiał teraz, zaraz przedrzeć się pomiędzy wzgórz.

Doczołgał się do końca rury, odetchnął kilka razy,

zebrał w sobie... i pobiegł galopem. Trzasnął spóźniony strzał, kula z brzękiem zrykoszetowała od asfaltu daleko za plecami, Skrzypek zaś z rozbiegu rzucił się szczupakiem w krzaki, przetoczył i zamarł w bezruchu. Strzelec też się przyczaił, chociaż Tolik był przekonany, że tamten lada chwila powinien właśnie coś zrobić...

Minęło kilka minut napiętej ciszy, Tolik przeczołgał się za drzewo. Uspokoił oddech, wyjrzał ostrożnie. Jedno szybkie spojrzenie i schował się z powrotem, ale wystarczyło, by zobaczył człowieka. Czarna kurtka, pod nią białe bandaże i rozmazana plama krwi. Z daleka widać było.

– Ziomek, nie strzelaj! – krzyknął Tolik. – Nie ruszę cię! Prawilne słowo daję!

Chwila ciszy.

– Coś za jeden? – rozległo się.

– Tolik Skrzypek jestem! Z brygady Zwornika!

– Nie znam cię – odparł ranny z powątpiewaniem. – Zwornik, mówią, w kalendarz kopnął.

– Tak było! Dwa tygodnie raptem z nimi byłem, zanim brygada się nakryła. Nikogo nie zostało!

– Nawet Sania Zwierzak?

– Zwierzak, Mister, wszyscy! Słuchaj, ej! Ja na północ muszę. Pójdę dalej, okej? Ciebie nie ruszę. Ale jak strzelisz, to ostrzegam, kulkę dostaniesz!

Znów kilka minut milczenia, w końcu tamten chyba podjął decyzję.

– Dobra, Tolik, to ty idź! Ja klamkę na ziemi położę i grabie na widoku będę trzymać. Gra?

– Gra.

Tolik wyjrzał zza swojego drzewa – chłopak pokazał

rozczapierzone ręce. Trzymając obrzyna w gotowości, Skrzypek wypełził z ukrycia. Popatrzył na rannego.

– Dobra, weź już opuść. Widzę, że ci ciężko trzymać. Jak wołają?

– Dzwon, Jura Dzwon... – głos chłopaka zadrżał. – Widzisz, brachu, teges... Wzięli mnie moi i zostawili.

Bandos wyglądał naprawdę słabo. Bandaże przesiąkły juchą, on z kolei był blady jak ściana, twarz mokra od potu... Ledwie stał na nogach.

– Jura, weź, ja chociaż cię lepiej opatrzę, co? Tylko nie będziesz po broń sięgać?

– Nie będę, brachu, i po co. Ja czy tak, czy srak już jestem trup...

Tolik podszedł, przykucnął obok rannego, który po prostu osunął się na ziemię. Odłożył na bok jego pistolet, tamten nawet nie zareagował.

– Kto cię tak kijowo połatał, ziom? Weź się podnieś trochę...

Tolik zaczął zmieniać opatrunki, Jura opowiadał swoją historię. Dostali cynk, że do obozu na hali remontowej wszedł ktoś z konkretnym chabarem. Zanim zebrała się ekipa, ktoś ze stalkerów ich przyuważył, wysłał sygnał SOS... Dzwon dostał podczas strzelaniny, wczuł się w krzaki; tymczasem jego brygada wbiła się przez bramę do środka – prosto w krzyżowy ogień. Ponad godzinę do nich strzelali, ale o własnych siłach nie wyszedł ani jeden. Dzwon się opatrzył jak umiał, i tak siedział, czekając nie wiedzieć na co. Iść i tak by nie dał rady.

– Do swoich pisałeś?

– A jak... Grypsy poszły, nikt się nie odezwał. Jutro, może pojutrze chłopaki od Pietki Kędziora się zjawią...

chyba. A słońce zaraz zajdzie.

Popatrzyli obydwaj ku zachodowi – wielka pomarańczowa kula już dotykała wzgórza, przeciętego szarą wstęgą asfaltu.

– No to, ten, dzięki i w ogóle, Skrzypek – powiedział Dzwon słabym głosem. – Ruszaj swoją drogą.

– Posiedzę z tobą.

Tolik nijak nie mógł się zebrać, żeby zostawić chłopaka samego. Nocą... nocą było tu po prostu niebezpiecznie.

Siedzieli we dwóch, oparłszy się o drzewo, i patrzyli, jak słońce znika. Tarcza schowała się już do połowy, została go tylko trzecia część, raptem ćwiartka, cieniusieńki ogryzek... Potem stopniowo zrobiło się ciemno.

W półmroku rozległ się wysoki, wręcz delikatny skowyt pseudopsa.



Wieczorem członkowie ekspedycji zjedli kolację, Buddę też poczęstowali. Wyżywienie bardzo przypadło mu do gustu, w ogóle wszystko w obozie było dobrze poukładane, przemyślane... aż za bardzo nawet. Zbyt spokojnie, nie było czuć Zony.

Budda pomyślał sobie w pewnej chwili, że po prostu się czepia. Odwykł od niemyślenia, poczucia bezpieczeństwa... Siedział sobie i patrzył, jak obóz żyje własnym życiem. Ludzie w plamiastych kombinezonach tak samo niespiesznie snuli się pomiędzy maszynami, niby każdy coś robił, ale swoim tempem. Można wręcz

było pomyśleć, że ktoś im te zajęcia wymyślił tylko po to, żeby czymkolwiek ich zająć. W końcu aparatura, którą jedna grupa montowała, druga rozkładała i przenosiła gdzie indziej, najwyraźniej nie była do niczego potrzebna.

Kilka razy widział Żenię, zawsze z jakimiś przyrządami w rękach. Dziewczyna naprawiała, stroiła, ustawiała – widać było, że zna się na precyzyjnej elektronice.

Ściemniło się, zapłonęły jupitery. Obóz i jego najbliższą okolicę zalało ciężkie, mlecznobiałe światło, wszystko wypłowieło do czerni, bieli i odcieni szarego. Na centralny placyk zaczęli ściągać członkowie społeczności, każdy niósł składane krzeselko. Koło Buddy pojawiła się Żenka, też podała mu plastikowe siedzenie.

– No chodź, zajmiemy sobie najlepsze miejsca!

– Czyli?

– No coś ty, nie wiesz? Na samym końcu!

Nikt chyba nie podzielał upodobań Żenki, wręcz przeciwnie – cała reszta starała się znaleźć jak najbliżej środka placyku. Innocenty przygotował tam już miejsce dla szefa: stolik i fotel z podłokietnikami, rzecz jasna, obydwie też składane. Wszyscy w końcu rozsiedli się, ucichli.

Żenia szepnęła:

– Ej, a dlaczego Serdiukow nie ma swojego pseudonimu?

Czyli nie zapomniała.

– A pomyśl sobie, jaką mógł mieć ksywę.

– No jaką?

– Na przykład Śmierdziukow.

– Aaa... A taki Poruszczyk?

– A to kto?

– No szef przecież... O, patrz, jest.

Wiktor Terentjewicz wyszedł ze swego biura, sekretarz pomógł mu zejść po schodkach, ostrożnie podtrzymując pod ramię. Teraz, kiedy stał, zamiast siedzieć za biurkiem, widać było, jak bardzo jest ociężały i nieruchawy. W każdym jego ruchu odznaczał się autentyczny brak sił.

– On co, sam nie jest w stanie iść? – zdziwił się Budda.

– Chory jest. Rak, ostatnie stadium – zaszeptała Żenka.

– Siedzi tam u siebie, w tym gabinecie dowodzenia, rzadko kiedy wypelza. I jeśli już, to tylko wieczorem. I co wieczór takie o...

– Apel?

– Zebranie modlitewne. To sekta przecież jest, nie wytłumaczysz, że to bzdury. Kto naruszy regułę, od razu epitemia, w sensie kara. A przodownicy życia religijnego dostają pochwałę i pół wiadra płynnej skoncentrowanej łaski bożej. No to chodzą, modlą się, słuchają, mimo że nudne to do wyrzycania.

Klincow senior, który usiadł przed nimi, odwrócił się i syknął: „cicho!”. Żenia mruknęła coś, skrzywiła się, ale ucichła.

Poruszczyk usadowił się w fotelu, sekretarz stanął za jego plecami i potoczył po zgromadzonych wzrokiem. Wszyscy umilkli, przestali wiercić się na twardych siedzeniach... Tylko najemnicy dalej robili swoje, przechadzając się wokół obozu i wypatrując oczy w ciemność, z bronią na podorędziu.

– Bracia i siostry, umiłowani – odezwał się Wiktor

Terentiewicz – dziś mówić będziemy o rzeczach dawno wiadomych każdemu z was. Dołączył do nas jednakże ktoś nowy, kto powinien dowiedzieć się więcej zarówno o nas, jak i o naszej wielkiej wyprawie.

„Siostra” była jedna, czyli Żenia. Dziewczyna spuściła wzrok, nagle zainteresowana czymś w trawie, „bracia” zaś obrócili się wszyscy ku Buddzie. Ten wstał, skłonił się niezgrabnie. Spojrzenia były otwarte, pozbawione uprzedzeń, większość uśmiechała się do nowego – aż Budda się zaniepokoił. Oj, nie zdarza się tak w Zonie, nie powinno tak być. Skoncentrowana łaska boża, tak? Ano...

– A zatem. Kim jesteśmy, czego pragniemy? Co nas przywiodło do tej krainy? – Wiktor Terentiewicz popatrzył po swoich owieczkach z uśmiechem. – Pamiętajcie i wiedźcie, że poszukujemy prawdy! Chcemy znaleźć niepodważalny dowód obecności Bożej w tym przedsiönku krain poza zrozumieniem. Lecz po co? Po cóż nam dowód? Czyżbyśmy wątpili?!

Po zgromadzeniu poniósł się narastający szept – to bracia, oburzeni, protestowali przeciwko takiej potwarzy.

– Nie! Nie nam potrzebny jest ten dowód, bo nasza wiara silniejsza jest od tego, co wydaje nam się, że wiemy! Cóż znaczy tysiąc słów ze świata ciała przeciwko jednemu słowu ducha? Proch, marność nad marnościami, pył na wietrze. Po cóż zatem tutaj przybyliśmy? Kto potrzebuje dowodu... i o jakim dowodzie mówimy? Cóż moglibyśmy bez Jego woli, bez Słowa Jego? Zaprawdę nic. Co może dać nam, wierzącym, wiedza o doczesności?

Wiktor Terentiewicz umilkł. Ktoś zaszeleścił

nowiusieńkim kombinezonem w kamuflażu, inny odkaslnął. Żenia ziewnęła rozdzierająco.

– O nie, bracia i siostry – znów odezwał się Poruszczyk. – Nam nie są potrzebne dowody, bo my wierzymy. Ale to nie dla nas przeznaczony jest nasz trud. Musimy pamiętać bowiem, że nie wszyscy ludzie są tacy sami. Jedni przychodzą ku wierze drogą krótką i prostą, innym zaś sążnione jest błędzić długą i krętą ścieżką dokoła niej. A bywa i tak, że przez wiedzę ku wierze się przychodzi. Dlaczego...?

Mówca ciężko poruszył się w fotelu, przekręcił głowę – Innocenty od razu podał mu plastikowy kubek. Poruszczyk upił kilka łyków, doskonale słyszalnych w ciszy.

– Dlaczego tak właśnie jest? – powtórzył Poruszczyk. – Człowieka stworzono na obraz i podobieństwo Boże. Ale czy istota tak mała potrafi odzwierciedlić Go w całości? Jeden dostanie takie cechy, drugi wyróżnia się innymi. Tylko wszyscy razem, jako społeczność, jesteśmy Jego prawdziwym obrazem! Ale człowiek w zaślepieniu swym błąka się sam, w ciemności niewiedzy. To, co wiemy, jest ledwie okruczem Jego mądrości. Nasze słowa są tylko echem Słów Jego. Pomnażając wiedzę człowieczą, łącząc to, co wie każdy z nas, w jedną całość, dajemy radę z miriady pustych symboli zebrać pojedyncze litery Jego alfabetu. Gdy zaś poznamy litery, wyłoni się z nich Słowo... A kiedy Ono przebrzmi, wątpiący poznają prawdę! Ludzkość ponownie stanie się jednością, w końcu upodobniwszy się do Niego. I dlatego właśnie... ekhe, khe, khe...

Poruszczyk rozkaszał się, lecz po chwili mówił dalej:

– Do tej pory mówiłem o sprawach ogólnych, a teraz do konkretów. Jesteśmy niedoskonali, więc łatwiej nam pojąć część niż całość. Dlatego też, jeśli nasi bracia niewierzący muszą iść dłuższą drogą ku wierze, to naszym obowiązkiem jest im pomóc. Im więcej otrzymaliśmy sami, tym więcej oddać powinniśmy! Pomyślcie nad tym.

Stadko potulnie pomyślało, pasterz odezwał się znowu:

– Poszukujący Słowa, którego to bractwa macie zaszczyt być członkami, dokonali badań w Strefie Zamkniętej. Wykorzystali do tego wiodące osiągnięcia nauki, w pracy uczestniczyli przodownicy myśli i intelektu... zaś wynik zadziwił wszystkich! Doktor Dietrich van de Meer, którego zadaniem było sprawdzenie nowej technologii... Zadanie czysto rutynowe, nikt nie wiązał z nim szczególnych nadziei, ale wynik... wynik, bracia i siostry! Doktor van de Meer, cierpiący na chorobę, której nauka obecnie wyleczyć nie jest zdolna, powrócił ze swej wyprawy uzdrowiony! Nie jest tu istotnym, kim jest sam van de Meer, dość wiedzieć, że jego choroba była swoistą ofiarą. Ceną, jaką ten człowiek gotów był zapłacić za pomoc potrzebującym, za leczenie cierpiących i przynoszenie ulgi tym, o których inni zapomnieli...

– Człowiek taki zasłużył, bez wątpienia, na cud uzdrowienia – wtrącił Innocenty. – To jest, o ile wolno nam tak mówić. Nikt z nas nie zna Jego zamiarów.

– Tak, Innocenty, prawdę mówisz – pochwalił Wiktor Terentiewicz. – Doprawdy, ten skromny i prawy człowiek żył tak uczciwie i ofiarnie, że mógł zasłużyć na

łaskę. Ale, jeśli mielibyśmy używać logiki świata doczesnego, logiki świata nauki, to musimy wiedzieć: eksperyment uważać można za miarodajny tylko wtedy, gdy jego wynik da się powtórzyć.

– Czy powinniśmy jednak ulegać logice doczesnej? – zapytał jeden ze słuchaczy. – Wiktorze Terentiewiczu, przecież wiara silniejsza jest od wiedzy!

– To, co wyższe, odciska swój ślad na tym, co poniżej! – z gotowością odparował Poruszcuk. – Zaiste, jeśli wiedza ma prowadzić ku wierze, to pochwalmy każdego, kto podąża tą ścieżką! Czyż los doktora van de Meera nie jest doskonałym potwierdzeniem tej prawdy? Zajmował się przecież badaniami naukowymi. Był człowiekiem nauki i wiedzy, nie wiary, a mimo to właśnie on otrzymał widomy znak! Jednak to nie koniec historii, bo w wyprawie doktorowi pomagał niejaki pan Ślepy. Zapewne słyszeliście, jak bratu Klincowowi przyszło walczyć z miejscową fauną, gdy dziś rano prowadził swe badania poza bezpiecznym kręgiem naszego obozu? Tak! Bratu Klincowowi pomógł ten oto obecny tu młody człowiek, pan Budda. Czyż może być przypadkiem, a nie zrzędzeniem Najwyższego, że ten sam pan Budda zna, osobiście zna pana Ślepego i słyszał od niego na własne uszy historię doktora van de Meera?! Pytam się was, czy może być inaczej?! Otóż Pan ukazuje nam drogę, stawia na niej ludzi, a my musimy tylko czytać Jego znaki!

„Bracia” znów zaczęli szeptać między sobą. Poruszcuk dał im trochę czasu, aby przetrawili i przyswoili usłyszane. Żeńka mruknęła do Buddy:

– Ty, on to zmyślił czy jak?

– No... nie. Tak było – niechętnie przyznał Budda. – Jest

taki jeden, Ślepy. Porządny gość, swojak i faktycznie wspominał, że znał takiego naukowca. Twierdził, że bydlę z niego.

– Kurczę, a ja myślałam już, że zmyślał – zasmuciła się Żenia. – I że tylko ich tak wkręca. Że to taka religijna propaganda.

– Bracia w wierze! To spotkanie nie było, nie mogło być dziełem przypadku! Nawet to, co jawi nam się przypadkiem, jest zamysłem Opatrzności, której nie pojmujemy naszym ograniczonym umysłem. Wszystko zważono, zmierzono i podzielono przed wiekami! Bo jest czas na każdą rzecz pod niebem i na ziemi! Czas, aby rodzić się i umierać, płakać i śmiać się! Czas siewu i zbiorów, czas, aby milczeć i mówić, jako rzeczy Eklezjasta!

Budda poruszył się niespokojnie, mruknął coś pod nosem. Sam miałby ochotę wstać i też rzucić Poruszcukowi jakimś pasującym cytatem z jego – skądinąd lubianego – Eklezjasty... A poza tym niemiło mu było, że on, Budda, istota rozumna, nawet inteligentna i wesoła, miałby być tylko drogowskazem na skraju jakiejś tam drogi. Szczególnie prowadzącej ku czemuś, w co on sam aktywnie nie wierzył.

Tymczasem Poruszcuk mówił dalej. Budda uświadomił sobie nagle: spisał sobie to kiedyś, nauczył się na pamięć i w kółko to samo nawija.

– ...Bo najpierw było Słowo, a Słowo było u Boga! Słowo to jeden ze sposobów przekazu informacji, w informacji zaś znajdujemy przejaw, manifestację Najwyższego! Nasz wiek, nasze czasy nazywają właśnie wiekiem informacji, nie rozumiejąc nawet głębszego

znaczenia. A przecież nasz wiek jest wiekiem powrotu do Boga, wiekiem rozkwitu tak zwanej noosfery. Skoro zaś Zona jest przebiciem się noosfery do naszego świata, to Poszukujący wiedzą, wierzą, że to właśnie w Zonie możemy odnaleźć...

– Idzie na drugie okrążenie – westchnęła cicho Żenia. – Zapędza się tak cały czas i, w kółko czesany, na okrągło to samo kituje. Mówiłam ci, że nudy na pudy.

Klincow senior znów odwrócił się, zmarszczył groźnie brwi i potrząsnął głową, najwyraźniej westchnienie było nie dość ciche. Budda puknął dziewczynę łokciem, puścił do niej oko.

– Wykonując zbożne dzieło Poszukujących, doktor van de Meer miał kontakt z tak zwanym kontrolerem. Postaramy się powtórzyć jego doświadczenie, pójść w jego ślady! I jakże zdziwiłem się, bracia i siostry, gdy okazało się, że nasz nowy towarzysz w drodze ku prawdzie... – Poruszcuk wskazał na Buddę – natknął się już na taką istotę. Co więcej, wie, jak ją odnaleźć...!

– Znak! Zaiste, znak! – głośno odezwał się Innocenty.

– Tak, dziękuję ci, bracie. – Wiktor Terentiewicz skinął mu głową. – Sam miałem to właśnie powiedzieć. Rozmawiałem z naszymi ochroniarzami, ludźmi wysoce kompetentnymi. Zapewnili mnie, że poszukiwania kontrolera będą niełatwe... I oto mamy ze sobą przewodnika!

Zgromadzenie ożywiło się, bracia poruszyli się na swoich krzeselkach. Siostra siedziała, patrząc w jeden punkt i chyba trochę przysypiając.

– Jutro kończy się okres wyznaczony na adaptację – ciągnął Poruszcuk. – I ruszamy! Pragnę przypomnieć

wszystkim o środkach ostrożności. Niech nas Pan prowadzi, ale nie wolno narażać się na niebezpieczeństwo. Przyjmujemy Jego łaski z radością, ale też skromnie i pokornie, a wtedy niechybnie nagrodą stanie się koniec, wieńczący dzieło. Dlatego też, bracia, o ostrożność was upraszam! Teraz zaś zwróćmy serca nasze ku Panu, niech zajrzy On w dusze nasze...

Wszyscy skłonili głowy, zapadła cisza. Słysząc było tylko warkot generatorów i mrużenie aparatury, czasami brzęknęło wyposażenie któregoś z najemników.

Żenka drgnęła, wstrząsnęła się i rozejrzała cokolwiek nieprzytomnym wzrokiem. Pociągnęła Buddę za rękaw.

– Chodź, teraz już można iść. Zestaw obowiązkowy zaliczony, teraz będą się modlić, potem gadać, a kto chce, ten wolny.

Wstała, Budda ruszył jej śladem – zauważył jeszcze tylko, że Innocenty patrzy na niego bardzo, bardzo uważnie. Żenia ciągnęła go za ciężarówkę, co i tak nie byłoby miejscem spokojnym, bo wciąż widzieliby ich chodzący wokół obozu najemnicy, ale on zdecydował, że nie ma co na to sobie pozwalać. Stanęli pod ścianą jednego z przedziałów, akurat pod okiem reflektora: niby na widoku, a jednak w mocnym kontraście światła. Niech się ten smęt na nich nie gapi za bardzo.

Żenia nawet nie zauważyła tych manewrów, bardzo chciała porozmawiać.

– No i jak, widziałeś to? Co powiesz?

– No co niby? Wymyślili sobie drogę i nią idą. – Zwyczajowa gadatliwość Buddy gdzieś przepadła. Chyba problemem było to, że sam na sam z Żenią autentycznie zapominał języka w gębie. Do szczęścia wystarczyło mu,

że była blisko.

– No, ale to przecież głupota.

– Jak ci się nie podoba, to po co z nimi przyjeżdżałaś?

Żeńka sapnęła, odwróciła się plecami. Potem burknęła:

– Wyższa konieczność.

– Ojciec?

– Ojciec też, częściowo. Chociaż on tutaj rozkwita, jakby mu ktoś lat ujął... Za mutantami gania, każdą roślinkę ogląda, a wcześniej sam już był jak warzywo. Taki, wiesz, lekko zakurzony wykładowca. Nijaki.

– A tutaj co?

– Tutaj jest wielkim panem przyrodnikiem. Przepraszam, nie „panem”, tylko „bratem”. W dodatku nosicielem czarnej zarazy... No co, co się tak dziwisz? Przecież to jest sekta wyznaniowo-totalitarna, normalni prawosławotalibowie. Poruszcuk sobie siedzi jak tłusty pajak w centrum sieci, omotuje ich coraz bardziej.

– I co, doi te swoje owieczki? Zielone mleko waluty?

– No coś ty, właśnie na odwrót! Finansuje, wspiera. Kto się nie zapisze do jego sekty, każdemu pomaga. Ojcu też proponował, ale ten odmówił. Facet kasy ma jak lodu, łatwo przyszło, łatwo idzie. Pół miasta ma w kieszeni, i ta ekspedycja też za jego kasę idzie.

– No tego to się domyśliłem. Swoją drogą, sprzęt tutaj macie wyczesany.

– Poruszcuk to bandyta. Odsiedział swoje, a teraz...

– Teraz już nie daje się złapać? Oj, znałem takich, a jakże. Zdarzało się, że trafiali się pomiędzy nimi precudowni ludzie... Chociaż raczej jako wyjątki, a nie reguła.

– Mhm...

– Żenia, ja coś widzę, że ty tylko szukasz, do czego by się przyczepić.

– Jakbym ojca słyszała. No szukam, i co? Szukam, bo nie rozumiem, po co to wszystko? Mógł za te pieniądze wziąć, kogo tylko chce, tak jak ochronę. A on ze sobą ciągnie tych... braciszków mniejszych!

– Ej, ale czekaj, to oni wszyscy tak jak twój tatuś? Nauczyciel zamiast biologa, mechanik zamiast inżyniera?

– Nie no, chyba tylko on... Reszta to już jacyś poważni spece. Beze mnie jeszcze jedenastu: pięciu zawodowych kierowców, co prawda samochody cztery, ale jeden zapasowy – zaczęła liczyć na palcach. – Trzej lekarze, wiadomo po co. Poruszczyk, Innocenty.

– No to jasne, bez nich ani rusz – potwierdził Budda.

– Aha. No i tata, i ja. Lekarze po dziesięć razy wszystkich badali, sprawdzali stan zdrowia, brak zachorowań, nałogi... Normalnie nie ludzie, a aniołki niebieskie.

– I ciebie też sprawdzali?

– Aha... – Żenia dodała ciszej: – Nawet ginekolog.

– Aha. No dobra, to trochę przejaśnia temat.

– W sensie...?

– Teraz rozumiem, jak sobie ludzi dobierał. Wszyscy z jego sekty, jak sama mówisz, ale czysto funkcyjnie wybrani, a nie za dobre serduszko. Lekarze i kierowcy, żeby go przez Zonę przewieźć bezpiecznie, całego i zdrowego... Ochronę też wolałby mieć sekciarską, ale w tych zgromadzeniach świrów trzeźwo myślącego ochroniarza nie znajdziesz.

– Logiczne przecież.

– Ano, logiczne. Tylko że po co mu ty i ojciec? Na kiego grzyba?

– Sama się zastanawiam. I jeszcze wszyscy śpią w ciężarówkach, o, w tych. A doktor Zotow, tata i ja w wozie Poruszcuka.

Rozdział 7

Ciemność gęstniała, potem jedna po drugiej na granatowym niebie zaczęły zapalać się gwiazdy. Tolik wymacał chwyt wciąż leżącego na ziemi pistoletu, wsunął siedzącemu obok Dzwonowi do ręki. Dłoń bandyty była tak zimna, że aż się wystraszył.

– Marzniesz? – zapytał nieswoim głosem, mając nadzieję, że tamten nie umarł i odpowie.

– Krwi dużo straciłem – dobiegł go szept. – Nocą może i zmarzę. Jeśli dożyję...

Znów zapadła cisza. Pseudopies zaskowyczał gdzieś bliżej, musiał ich wyczuć, teraz nie odejdzie. Dobrze będzie, jeśli jest sam...

– Tolik...?

– Mhm?

– Jakbyś mnie zostawił, to ja bym zrozumiał. Nic osobistego przecież.

– Jasne...

Skrzypek sam siebie nie rozumiał. W kieszeni miał kasę za „oczy diabła”. Jego ziomek czekał, i to sprawdzony ziomek, czysty, nie trefny. Miejscówki nawet nie musieli szukać, Gil ich zawsze w Śnieżynce przytuli, bo ma u nich dług. Po kiego grzyba on został tutaj z tym

fajtłapą...? Ale no, ten... I nawet sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Gdzieś w ciemności znów odezwał się mutant, tym razem było już słycać, jak przedziera się przez krzaki.

– Brygadę Zwornika szlag trafił – odezwał się Tolik. Nagle zachciało mu się dokończyć myśl, powiedzieć, co na sercu leżało, nim pseudopies na nich skoczy. Rzadko kiedy w głowie Tolika, zwanego Skrzypkiem, pojawiały się mądre myśli, a tutaj nie wiedzieć skąd akurat jedna przyszła... I może nie zdążyć powiedzieć. Szkoda by było. – Dwóch nas tylko zostało teraz, ja i Budda. On jest konkret gość, łebski. W sensie, że on myśli. I ja, jak jest ciężka sytuacja... no, albo tam, nie wiem, jak wyjaśnić, ale zawsze myślę: a co by na to Budda powiedział? I pewnie teraz by właśnie coś w ten deseń, że... Widzisz, Jura, to... Czasami warto zrobić coś, czego się nie opłaca zrobić. Ej, szkoda, że Buddy tu nie ma, on by lepiej wyjaśnił.

– I jeszcze jedna pukawka by nie zaszkodziła. Słuchaj, ja latarkę mam. Jak włączę, to ty wal od razu. A nuż się pofarci?

Głuchy warkot rozległ się tuż, tuż, jak gdyby niosąc się echem z wnętrza czegoś wielkiego i przepastnego... Tolik zdążył tylko pomyśleć, że to aż dziwne, bo skowyczy ten pseudopies tak ładnie i delikatnie, jakby był puszysty i słodki, a jak zawarczy, to aż ciarki przechodzą! Dalej jednak nie było już czasu na rozmyślanie, Dzwon włączył latarkę, snop żółtego światła wyciął z mroku okrąg. Zobaczyli splecione w gęstwinę gałęzie krzaków, pień drzewa, a pomiędzy tym wszystkim dwa zielone, płaskie koła blasku, odbitego w ślepiach mutantu.

Tolik huknął z obydwu rur w tej samej chwili, kiedy mutant skoczył ku nim z zarośli. Podwójna wiązka śrutu chwyciła zwierza, obróciła w powietrzu niczym zakrwawioną szmatę, pies zaskowyczał i zwałił się na ziemię z podkulonymi łapami. Ani zipnął! Oj, rzadko się udaje takiego bydlaka z jednego razu, na rympał dygnąć, ale Tolik nawet nie zdążył się ucieszyć, bo ciemność rozskowyczała się wieloma innymi głosami. Skrzypek czym prędzej przełamał obrzyn, wyłuskał dymiące łuski i sięgnął do kieszeni po kolejne naboje.

– No, ładnie żeś go – pochwalił Dzwon, gasząc latarkę.

– Bateria słaba, oszczędzać będę.

Tolik odwiódł kurki, wolną ręką wsunął za pas pistolet.

Minuty ciągnęły się powoli. Zwabione odgłosem strzału ślepe psy podchodziły coraz bliżej, wyły, poszczekiwały, szeleściły gałęziami. Kiedy szczególnie głośno zatrzeszczały krzaki tam, gdzie padł pseudopies, Tolik, nawet nie czekając światła, huknął ze śrutówki na dźwięk – noc rozskiełczała się, rozszczekała dziko, strzał na mgnienie oka rozświetlił pięć ślepaków, podkradających się ku trupowi.

Tolik zaczął przeładowywać, Jura strzelał na oślep w krzaki. Potem znów on zaczął doładowywać, a Tolik stanął nad nim, wpatrując się w ciemność... Kilka razy włączyli latarkę, w świetle migały ryże boki i szczerzące zębiska mordy bez oczu. Ślepe psy nie były tak agresywne jak pseudopies, ale w końcu one też nie wytrzymały i rzuciły się do ataku.

Dwurrurka huknęła raz, potem drugi, posyłając śrut nieco w bok. Zatrzaskał pistolet Jury, Tolik przerzucił

wystrzeloną śrutówkę do ręki, jak maczugę, prawą wyszarpnął zza paska pistolet. Dzwon wrzasnął, rozległy się odgłosy szamotaniny, uderzeń... Latarka błysnęła i zgasła, znów zapłonęło światło, Tolikowi przed oczami popłynęły zielone plamy.

Rzeczywistość rozpadła się na kilka obrazów, w większości ciemnych. Ślepe psy rzuciły się jeden na drugiego nad ciałem postrzelonego mutanta. Dzwon tłukł latarką w łeb ryżego zwierza, który wpił mu się zębiskami w but, rycząc i warcząc wściekle. Nad Wysypiskiem wstał księżyc, przejrzał się w kałuży krwi. Skrzypek władował trzy kule w ryży grzbiet, ale pies nie chciał rozewrzeć szczęk i dopiero Dzwon zrzucił go kopniakiem razem z butem, wypuścił przy tym latarkę, zaczął po omacku przeładowywać pistolet. Z ciemności skoczył kolejny stwór, Tolik wywalił resztkę magazynka... Dzwon wyciągnął w końcu pistolet, strzelił mutantowi w łeb z przyłożenia, chwycił latarkę... Psy na chwilę odpuściły, Tolik jakimś cudem zdążył przeładować, Dzwon odpalił światło – bestie były coraz bliżej!

Rzuciły się na nich od razu trzy, basowy huk obrzyna i trzask pistoletu zlały się w jedno. Tolik wywalił z obydwu rur, w snopie światła przed nim miotały się wyleniałe boki i wyszczerzone paszczęki, więc złapał pistolet i zaczął palić raz za razem... Za szybko, zbyt nerwowo, naboje skończyły się nagle. Skrzypek rzucił się w tył, żeby przeładować, uderzył ramieniem o drzewo i wpadł na wyjącego dziko Dzwona. Niewiele myśląc, chwycił bandytę za kołnierz i pociągnął za sobą – wokół drzewa, w tył, w krzaki, ku chrzęszczącej, kłującej

plątaniu ciernistych gałęzi. Dzwon strzelał, walił ręką pistoletu, łomotał mutanta po łbie latarką i podciągał pod siebie bosą nogę. Obydwaj wrzeszczeli dziko, klnąc, wzywając wszystkich świętych, matkę, ojca, przodków i samą Zonę.

A potem nagle wszystko się skończyło. Upadli na ziemię, ciężko dysząc, w kolczastej gęstwinie. Nie tak znów daleko za nimi psy warczały, gryzły się i rzucały jeden na drugiego, walcząc o ciepłe trupy niedawnych współbraci.

– Kurwa... obrzyna... zgubiłem... – wycharczał Tolik.

Nie tyle zgubił, ile wypuścił, żeby wolną ręką chwycić Dzwona.

– Amunicja została?

– Pięć sztuk...

– Kijowo.

– Zaraz... – Tolik zmienił magazynek w pistolecie. – Chwila... I dalej spadamy.

Ściągnął pasek, przerzucił Jurze pod ramionami, zapiął i powlókł go dalej, plecami przedzierając się przez krzaki. Gałęzie chlastały rannego po karku i potylicy, ale ten tylko chował głowę w ramiona, próbując świecić latarką tak, żeby Skrzypek chociaż jako tako widział, dokąd obydwaj idą... Zdołali ujść może dwadzieścia, może trzydzieści metrów, znów stanęli. Tolik dyszał niczym miech kowalski.

– Jeszcze... zaraz...

– Aha.

Teren zaczął się podnosić, Tolik wywlókł Jurę na zbocze nasypu, pokrywającego wylot tunelu. Dalej nie było co iść, zatrzymali się, Skrzypek ciężko usiadł na

ziemi, potem w ogóle opadł na plecy.

Z początku było cicho, zdążyli złapać oddech i uspokoić walące dziko serca. Potem zaszeleściły krzaki, Jura od razu włączył latarkę. Kilka metrów od nich stał ślepy pies, dyszący ciężko, z zakrwawioną mordą i wywalonym długim, różowym jęzorem. Wypchane boki ciężko unosił się i opadały, pies był syty, ledwo się ruszał. Tolik już unosił pistolet, ale Dzwon rzucił krótko:

– Nie.

Pies postął chwilę, potem powoli odwrócił się i odszedł. Latarka zgasła. Potem, kiedy znów coś zaszeleściło, Jura włączył ją, przejechał plamą światła dokoła i wyłączył czym prędzej, żeby nie zwracać na nich niepotrzebnej uwagi. Poza tym żarówka ledwie już bzdziła, baterie zaczynały siadać ostatecznie.

Kiedy Dzwon po raz kolejny wyłączył światło, Tolik zdziwił się. Aż tak dobrze widział w ciemnościach? Potem zrozumiał, że noc już mijała, zbliżał się świt. Gwiazdy zbladły, księżyc prawie całkiem schował się za pagórkami. Potem na południu pokazały się hałdy Wysypiska, upstrzone dziwacznymi kształtami do połowy zakopanych w ziemi żelaznych konstrukcji. Świat z czarno-białego zrobił się szary, potem lekko różowawy, różowy – aż wreszcie nad hangarem pokazał się oślepiająco jasny rąbek słońca.

W pewnej chwili głowa Jury bezwładnie opadła na piersi. Tolik w pierwszej chwili wystraszył się, że Dzwon odwalił kite, ale zauważył, że ramiona tamtego drgały, on sam wydawał niegłośne dźwięki – ni to kaszał, ni to mamrotał... Tolik nachylił się, już chciał coś powiedzieć, kiedy zauważył, że spod powiek leciały łzy jak groch,

kreśląc jasne bruzdy na brudnych policzkach. Sam Skrzypek aż tak bardzo się sytuacją nie przejął, więc nie do końca rozumiał, o co tu płakać? Spać mu się raczej chciało.

– Jura, ja przymknę oko, co? Bo zaczyna mnie składać.

Tolik ułożył się na ziemi i po prostu zasnął. Nie było go może dwie godzinki, może mniej – obudziło go piknięcie PDA. Jura patrzył w swój komputer, uśmiechając się głupio; dwóch zębów po lewej mu brakowało, więc i uśmiech był cokolwiek krzywy, ale bandyta wyglądał na autentycznie szczęśliwego.

– Co tam?

– Kędzior pisze, że niedługo będą.

– To co, ja może pójdę już?

– Tolik, Toluś, ty, ten, no... wiesz, ja...

Skrzypek machnął ręką, zaczął schodzić z nasypu w kierunku drogi. Podniósł z trawy wypuszczoną dwururkę, znalazł nawet but Dzwona – co prawda w kilku kawałkach.

– Tolik, ej! Weź popatrz! – zawołał go jeszcze Jura, wyginając rękę, żeby pokazać monitor komputerka. – Koordynaty, widzisz? O, tutaj! Znalazłem przy jednym martwym typie. Tam musiał skrytkę mieć czy co... Weź!

– Daj spokój...

– Sam daj spokój! – obruszył się Dzwon. – Dają – brać, biją – spierdzielać! Wspominałeś tego zioma twojego, co do rzeczy gada, co nie? No to, ten, ja też nie jestem od słów artysta, co nie? No więc, no. Weź. Jasne?

Tolik wrócił się, przepisał koordynaty do swojego notatnika. Popatrzył na rannego.

– To co, Jura? Trzymaj się, ziomek...

– I tobie nie chorować, brachu. Powodzenia.

Tolik odszedł na północ, ani razu nie oglądając się przez ramię. Nie miał ochoty się z Jurą Dzwonem spotkać wzrokiem. Jakoś ciężko mu było na sercu... i lekko zarazem.



Budda i Żenia milczeli. On myślał nad sytuacją; ona z kolei biła się z myślami.

Korciło ją, żeby mu powiedzieć. Powiedzieć o helikopterze z kółka modelarskiego. O wizycie śledczego, jak mu tam, Iwana Iljicza... I już prawie zaczęła... ale nie, nie wolno jej. W myślach zbesztala sama siebie. Nie bądź idiotką, jak ta tępa dzida Katia! Byle facet i od razu...

Tyle tylko, że bardzo, bardzo chciałyby teraz być taką właśnie idiotką.

W końcu zawołał ich Innocenty. Modlitwa wciąż trwała, ale on zostawił szefa, podszedł do ciężarówki.

– Żenia, za pół godziny toaleta wieczorna, więc jeśli chce panienska się umyć, to proszę. Żeby potem mężczyzn nie blokować. Przepraszam, jeśli przeszkodziłem w czymś, panie Budda. Swoją drogą, pan też powinien znaleźć sobie miejsce na nocleg.

Żenia mruknęła coś o spokojnej nocy i poszła sobie. Obydwaj odprowadzali ją wzrokiem.

– Jeśli pan chce... – mówił dalej sekretarz – możemy znaleźć miejsce w ciężarówce numer dwa. Tam jest tylko trzech ludzi, co prawda mają sporo pakunków, ale jeśli trzeba, to...

Budda pokręcił głową.

– Proszę się nie kłopotać. Ja na dworze, z ochroną. Przywykłem.

Wkrótce czuwanie dobiegło końca, ludzie zaczęli rozchodzić się z placyku, zabierając ze sobą składane krzeselka. Innocenty pospieszył ku szefowi, żeby pomóc mu wejść do samochodu. Budda przeliczył sobie: dwanaście osób, pięć w pierwszej ciężarówce, w dwóch cztery i trzy, w ostatniej tylko sprzęt i wyposażenie. Wszystkie były tej samej wielkości, a mimo to Poruszcuk trzyma przy sobie sekretarza i jednego lekarza – to jeszcze zrozumiałe – a oprócz nich bezużytecznego biologa i dziewczuszkę! Boi się o nią? Chce od niej czegoś? Jeśli jest tak chory, to lepiej by wszystkich lekarzy woził...

Budda prychnął, na razie nie mógł rozwiązać zagadki, ale jeszcze zdąży. Zona była pełna tajemnic, które zawsze ciekawie było odkrywać.

Szczególnie jeśli miało to coś wspólnego z Żenią.

Bracia udali się każdy do swojego samochodu, zamykając drzwi – teraz aż do rana nikt z nich nie wyściubi nosa. Budda podszedł do ogniska najemników. Serdiukow spał, trzech odpoczywało, dwóch łąziło wokół obozu.

– Ej, panowie, można przy was się ułożyć? Nie przegnacie?

– Przegnamy kijami – radośnie wyszczerzył się ogromny Bosman. – Ale nie dziś. Siadaj, kolego, i opowiedz o tym kontrolerze. Jego ekscelencja Biskup na poważnie nas chce tej swołoczy przedstawiać... Warto by się dowiedzieć zawczasu.

– Biskup, co?

– Każdy ma jakąś ksywę, nawet jeśli o niej nie wie. Tylko ani się waż przy tamtych chlapnąć.

Budda usiadł, umościł się i pokiwał głową.

– Tak, tak, panowie kochani. Żeby człowiek nie chlapnął sam, to trzeba chlapnąć razem z nim. A jak nie ma czym...

– Wyszczekany – uśmiechnął się Bosman. – Masz, trzymaj szklanę, na razie pustą. A ja już, już...

Wyciągnął, odkręcił, nalał, wzniesli, opróżnili. Budda pokrótce opowiedział o swej znajomości na odległość z Wyrodkiem. Nie było to miejsce na koloryzowanie albo wyolbrzymianie, więc opowiedział dokładnie, jak wraz z Tolikiem próbowali uciekać, jak zgubił karabin... Opowiedział też o Gilu, nie szczędząc niemiłych szczegółów, i przemilczał tylko nieznaną anomalię, z której wyskoczyły „oczy diabła”. Po co niepotrzebnie mieszać dwie różne opowieści?

Bosman popatrzył po milczących kolegach, powiedział:

– Jeśli nie łcesz, to wychodzi na to, że zacny z ciebie gość. I z twojego towarzysza też. Z tamtego świata człowieka za nogi wyciągnąć, no, no, no... Nie łcesz?

Budda zachnął się, zaproponował, żeby wpadli do Śnieżynki i sami Gila zapytali. Pomyślał chwilę, dodał już spokojniej:

– Na poważnie, panowie, to może nie być głupi pomysł. Może tam coś więcej nam o kontrolerze powiedzą. Albo sam Gil, albo ktoś inny... Ja tego całego Wyrodka raz tylko nawet nie to, że widziałem, ale w głowie czułem.

Serdiukow, który wcześniej zdawał się spać, burknął:

– Jutro pogadam z szefem. Dobrze mówisz, zawiniemy do twojej Śnieżynki. Nie podoba mi się ta robota, chłopaki. Śmierdzi czymś, i nawet nie wiem czym, ale nie tylko dużą forsą.

– A ja myślałem, że śpisz – zdziwił się Budda.

– On się zawsze obudzi, jak bez niego piją– wyjaśnił Bosman. – To co, jeszcze po jednym?

Potem zmieniła się warta, Bosman ruszył wokół obozu, a Budda ułożył się spać. Tylko że sen nie przychodził, przez głowę galopowały warianty, opcje, wyjaśnienia i wytłumaczenia, co jedno, to mniej wiarygodne. Nie, nie, nie. Nigdy nie widział niczego podobnego do tej ekspedycji, ale...

Nie dociągnął myśli do końca, bo wreszcie zasnął.

Obudziła go detonacja. Po pierwszej eksplozji odezwała się druga i trzecia, potem obóz aż zatrzęsł się od głuchego ryku. Zawyla syrena, Budda zerwał się, chwycił karabin. Najemnicy byli już na nogach... Kolejny wybuch. Stalkerzy rzucili się w stronę, z której dobiegały odgłosy, jeden wdrapał się na dach ciężarówki Biskupa. Metal zadudnił pod ciężkimi buciorami najemnika, ten dopadł do reflektora i włączył światło.

Budda przeskoczył pomiędzy samochodami, wybiegł ku perymetrowi. W mlecznobiałym świetle stacjonarnych lamp kołysało się potężne cielsko: pseudogigant to wchodził w zasięg jupiterów, to z niego wychodził. W ciężarówkach zapalały się światła, widać było żółte pasma blasku pomiędzy stalowymi żaluzjami. W końcu stalker na dachu przekreślił reflektor – snop światła uderzył mutantą w ślepią, ten zaryczał, próbując

zasłonić się zbyt krótkimi przednimi kończynami.

– Ot, tępe bydłę! – warknął Bosman. – Wlazł na pole minowe i zejść nie chce!

Pseudogigant, którego musiały przywabić reflektory, wyszedł na zewnętrzną linię obrony. Czujniki nie mogły go nie zauważyć, zawyła syrena, a spłoszony mutant rzucił się biegiem. Był zbyt wielki, żeby wykończyły go detonujące ładunki, i teraz bujał się w tę i we w tę na zakrwawionych, poszarpanych kończynach, rycząc z bólu, szoku i wściekłości.

– Ognia! – krzyknął Serdiukow do swoich ludzi. – W łeb, w łeb celować!

Żołnierze zaczęli strzelać, snop światła zadrgał do taktu wystrzałom najemnika, bijącego ze stanowiska na górze. Budda aż przykucnął, zasłaniając uszy dłońmi – już czuł, co będzie dalej...

Mutant przechylił się, uniósł wysoko tylną łapę i przygrzmocił nią o ziemię. Wszystko podskoczyło, las zajęczał, ciężarówki zadudniły głucho, posypały się skrzynie. Na krótką chwilę przez opadające i wznoszące się wycie syreny dało się słyszeć, jak kraczą poderwane z gniazd ptaki, w samochodach zakrzyczeli przerażeni bracia.

Najemnicy z trudem zachowali równowagę, znów dali ognia. Pseudogigant zaczął się cofać, światło popełzło za nim... Znów wlazł na minę, huknęło, na wszystkie strony poleciała ziemia przemieszana z krwawymi ochłapami. Mutant znów uniósł łapę, chcąc wywołać falę grawitacyjną, uderzył o ziemię – ale coś musiało być już nie tak, odniósł zbyt poważne obrażenia, bo rzygnął tylko gęstą, burą mazią, odkaszlnął, potrząsnął łbem

i odwrócił się tyłem, idąc w kierunku lasu.

Gdy tylko wyszedł ze strefy działania sygnalizatorów, syrena umilkła.

– Przerwać ogień! – krzyknął Serdiukow. – Niech idzie...

Zauważył Buddę, ten wstał, otrzepał się z godnością.

– A ty czego nie strzelałeś? Życie ci niemiłe?

– Sam mi zakazałeś. – Budda zarzucił karabin za plecy.

– Jak to ująłeś? Że wy tu ochraniać, bo wam za to płacą, a ja żebym się nie wciskał? Że jako pasażer tylko jestem. Panowie, doprawdy, określcie się sami, czego właściwie ode mnie chcecie.

Serdiukow otworzył usta, zamknął. Kiwnął.

– Ano, co prawda, to prawda. Jedź sobie w takim razie na pasażera.

Budda ruszył z powrotem ku ognisku. Skrzypnęły zawiasy, otworzyły się drzwi ciężarówki, przez które wyjrzał Innocenty.

– Co się stało? Serdiukow, meldujcie!

– Atak mutantów odparty! – zaraportował najemnik. – Bez strat własnych!

Innocenty zachwiał się, drzwi otwarły się szerzej – spod ramienia sekretarza wyjrzała Żenia, przecisnęła się obok i wyskoczyła na dwór.

– Czekaj, Budda! Co się stało?

– A, takie tam nudy – głośno odpowiedział Budda. – Pseudogigant w szkodę wlaź.

– No cooś ty! Ten sam?

– Nie przedstawił się co prawda, ale pewnie tak. Nie tak często się je spotyka, a i na plecach miał świeże rany. Koniec przedstawienia, można spać dalej. – A potem

ciszej, żeby Innocenty nie usłyszał, szepnął, mijając dziewczynę: – Książka na stole szefa. Zobacz, na której jest stronie. Tylko ostrożnie, żeby nie widział.

– Okej – odszepnęła dziewczyna, potem podniosła głos:

– Ha! Jak tu spać, kiedy takie jebudut...!

– Twardo i spokojnie. To w Zonie norma, konserwa powszednia na nocnej zmianie.

– Żeniu! – zawołał Innocenty tonem tak słodkim, że aż mdłym.

– No już, biegnij. – Budda pokazał głową. – Zajmij miejsce wedle kupionego biletu.

Żenia przewróciła oczami, ale ruszyła z powrotem. Innocenty, niespuszczający z niej ani na chwilę wzroku, przepuścił ją w drzwiach i od razu, jak tylko weszła, zatrzasnął zamek. Budda oparł się o burtę ciężarówki, przysunął nieco bliżej drzwi – a nuż coś usłyszy? Na razie jednak najemnicy kłócili się i zakładali, czy mutant wróci, czy też nie. Potem Bosman zauważył, że w kałuży rzygowin coś błyszczy. Rzeczywiście, w świetle reflektora widać było coś niedużego, półprzezroczystego, jak gdyby ze szkła.

– Ej, co on, artefakt połknął? – pokazywał paluchem Bosman. – O, jak się iskrzy! Nie no, artefakt, jak mamę kocham!

– Okrągłe coś, fakt – poparł go Lewak.

Serdiukow popukał się w skroń.

– E, chyba nie... – powątpiewająco mruknął Kazbek, wiecznie ponury i skoncentrowany typ. – Się nie zdarza tak.

– No to pójdziecie we dwóch sprawdzić – rzucił Serdiukow.

Kazbek parsknął, ale Bosman zdążył już się nakręcić.

– A co, jak nie, jak tak? Kazbek, idziemy, co? Nie? No to nie, sam pójdę. A wy stąd ubezpieczajcie.

Odpiął od paska płaski futerał, otworzył z trzaskiem. Budda uważnie, chociaż kątem oka, przyglądał się, co robi najemnik, jakkolwiek zza szerokich pleców tego ostatniego nie widział zbyt wiele. Stukając w klawisze urządzenia, Bosman wyszedł poza obóz i ruszył przez pole minowe, patrzył to pod nogi, to na ekranik. Już przeszedł przez pas zaminowanej ziemi, minął błyszczące w świetle kałuże juchy, stanął... Schylił się, demonstracyjnie zaciskając nos dwoma palcami, wyprostował się i szybkim krokiem ruszył z powrotem.

– No? Co tam?

– A gucio. Maska pegazowa porwana, szkiełko się błyszczało.

– Czyli zeżarł snorka – skonstatował Serdiukow nie bez mściwej satysfakcji. – Dobra, koniec przedstawienia.

Budda pospieszył ku ognisku, żeby wyglądało tak, jakby siedział tam już od jakiegoś czasu. Ani historii z artefaktem nie słyszał, ani nic.

A na pewno już nie widział, jak najemnik przechodzi przez pole minowe.



Z samego rana wierne stadko Biskupa zaczęło zbierać obóz. Najemnicy w pełnym rynsztunku trzymali wartę – teraz, kiedy wyłączono czujniki i zebrano miny, ekspedycja nie miała innej ochrony. Świadomi tego doskonale, „bracia i siostra” pracowali w pocie czoła.

Żenia uczestniczyła w pracach na równi z innymi i już zdążyła pokazać, że elektronika to jej konik, więc ona też zajmowała się aparaturą. Dziewczyna nawet cieszyła się z tych obowiązków. Aż do niedawna nudziła się strasznie, a tak przynajmniej było się czym zająć.

Innocenty zaprosił Buddę do wozu szefostwa – Wiktor Terentiewicz pragnął kontynuować rozmowę.

A Budda z jakiegoś powodu nie pragnął. Dziwne wrażenie zrobili na nim ci nowi znajomi... Z jednej strony wszystko przemyślane, poukładane, owieczki pasą się spokojnie, Biskup czuwa nad nimi niczym przysłowiowy dobry pasterz. A ile kasy w to wszystko władował, aż strach pomyśleć! I mili wszyscy są, nawet najemnicy, chociaż do tej pory mało co dobrego o nich człowiek słyszał. No ludzie jak ludzie, w sumie w porządku, nie przesadzają z niczym.

Jednak zdawało mu się, że każdy miał tutaj jakiś swój ukryty interes. Nie wiadomo było, czego się spodziewać! Chudy, kanciasty, pozornie niewiniątko Innocenty (też niezłe imię!) potrafił spuścić łomot napakowanemu najmusowi. Klincow był takim biologiem jak Budda wykładowcą filozofii, do tego ci kierowcy, lekarze – i co? No i co, pytam się?! Nikt z nich nie widział, nie czuł, nie domyślał się tego, co Budda bez trudu odkrył przez raptem jeden dzień?! No przecież musieli widzieć i rozumieć, a zachowywali się, jak gdyby nigdy nic...

I tylko z jedną edyną Żenią wiadomo było, o co chodzi. Od razu widać, że dziewczyna nie skrywa żadnej tajemnicy. Gdyby miał Budda zrobić skalę sympatii-antypatii, to na jednym końcu byłaby ona, a na drugim Poruszczyk i jego sekretarz.

Dlatego też od razu, jak tylko wszedł do środka, Budda spróbował się od rozmowy wykręcić.

– Wiktorze Terentiewiczu, może potem porozmawiamy? Ja tak myślę, że przecież ludzie niedoświadczeni, na broni się nie znają, a obronę w większości sami rozmontowaliśmy. Stanę i ja z karabinem!

– Najemnicy sobie poradzą – spokojnie powiedział Poruszczyk.

– Za to właśnie im płacimy. Sowiecie płacimy, proszę mi uwierzyć – dodał Innocenty.

– Co do wynagrodzenia właśnie – znów odezwał się Biskup. – Przy wcześniejszej rozmowie nie poruszyliśmy tego tematu. Zobowiązał się pan zaprowadzić nas do legowiska kontrolera.

– I zaprowadzę – potwierdził Budda. – To przecież znak, prawda? Jak sam pomyślę, to aż się w pale nie mieści... W głowie, przepraszam. Chcę wziąć w tym udział, zobaczyć, czym się to zakończy.

Mówiąc to, podsunął się dwa kroki bliżej, próbując dojrzeć, na której stronie otwarta jest leżąca na biurku książka... Chyba na tej samej co wczoraj?

– Doceniam pański zapał, ale życie nauczyło mnie raczej wiary w motywację wymierną. Nie wiem, co jest panu już wiadome, ale lepiej, aby usłyszał to pan ode mnie. Otóż mam w swojej kartotece pewne ciemne strony, nie zamierzam tego ukrywać. Znam życie w jego pełnej rozciągłości, zostałem niesłusznie skazany, ale znalazłem w sobie siłę, aby nie upaść duchem i nie ześliznąć po pochylni w otchłań.

– No cóż, każdy od czasu do czasu w coś wdepnie –

zgodził się filozof. – Moim zdaniem? Dla Najwyższego człowiek prawy to to samo, co dla glin typ, na którego nie ma kompromatu...

– To niestosowne porównanie.

– Przepraszam.

Zawstydzony Budda spuścił głowę i tylko kiwał pokornie, a Wiktor Terentiewicz mówił dalej:

– Najwyższy obdarzył mnie bogactwami doczesnymi, ale nie to jest dla mnie ważne. Zaniemogłem ciałem i pragnę zdążyć... – Zakasłał, Innocenty od razu podał mu szklanekę wody. – Chcę zdążyć ujrzeć na własne oczy i pokazać światu prawdę. Spieszę się. Czas ucieka, a los nie da mi drugiej szansy. Dlatego też spieszę się, dzieląc się tym, co mam, i nie szczędząc środków materialnych, aby zdobyć nagrodę dla duszy. Oddaję lekką ręką to, co wkrótce nie będzie mi potrzebne... A zatem przyjmuje pan rolę naszego przewodnika. Będzie to wymagało od pana poświęcenia części jego czasu, bo przemieszczać się będziemy powoli. Na miejscu otrzymuje pan dwieście. Zgoda?

Budda przełknął ślinę.

– Nie odmówię. Ale to nie jest konieczne, i tak zmierzałem do Śnieżynki, żeby zrzucić towar handlarzowi, więc kierunek ten sam. A właśnie, czy będzie taka możliwość, żebym po drodze tam zajrzał?

Poruszczył potwierdził.

– Naturalnie. Powtórzę jednak: spieszę się, ale jechać będziemy powoli. Nie dopuszczę, aby moje marzenie miało kosztować życie kogokolwiek z moich podopiecznych.

– Bardzo słusznie. Te dwa dni adaptacji i tak nic nie

zmieniły, ludzie jak dyletantami byli, tak i pozostali. Do Zony w dwa dni się nikt nie przyzwyczai...

– Nie do Zony mieli przywykać, a do sprzętu ochronnego – uśmiechnął się Poruszczyk. – Cieszę się, panie Budda, że osiągnęliśmy porozumienie. Dziękuję za wizytę.

W niemalże rozmontowanym już obozie Budda natknął się na Żeńkę, zwijającą jakieś kable.

– Budda, ej... – szepnęła dziewczyna, zerkając na boki. – Zajrzałam do tej książki.

– I?

Budda aż sam siebie nie poznawał. Jedna głoska w ramach podtrzymania rozmowy? Gdzie jego złotoustość, gdzie kwiecista mowa?

– Rozdział „Uleczenie Arystochernesa”. Jakiś antyczny Grek czy coś.

– No, coś w pamięci świta, ale nie pamiętam. Miasta jońskie? Macie tej aparatury tyle, a do Internetu podłączyć się da? Spojrzałbym w światowych zasobach.

– Nie prościej książkę wziąć? Poproszę Poruszczyka, powiem mu, że się nudzę.

– Lepiej nie. Nie pokazuj mu, że się tym interesujesz.

– Aha. No dobra, to lecę dalej.

Budda zauważył kątem oka, że Innocenty przygląda mu się uważnie z wnętrza ciemnej ciężarówki.



Ignac szedł w zapadających ciemnościach dobre dwie godziny.

Najpierw okolica była mu mniej więcej znana,

wmontowany w PDA detektor sprawnie ostrzegał przed anomaliami. On sam szedł na czuja, próbując zrozumieć, jak na jego miejscu zachowałby się ten szczywany bydlak, Spychacz. Gdzie polazł? No przecież nie na Wysypisko i nie na Agroprom. No, na Jantar też raczej nie, bo tam barman ma znajomych, raz-dwa by go wyczaili. Dlatego też Ignac zdecydował się na jedną ze ścieżek wiodących na północny zachód.

Ignac nie bał się takich samotnych marszów. W barze pracował stosunkowo od niedawna, a i to zwykle w tak zwanym terenie. Wcześniej był stalkerem samotnikiem, jak i wielu innych – nieszczególnie fartownym, ale i nie ciamajdą, inteligentnym, uważnym, odważnym. Szef przyuważył go, zaczął ciągnąć ku sobie bliżej.

Teraz chciał jak najszybciej przejść wciąż gorącym śladem. Zona to nie Moskwa, tu nie ma tak, że ktoś za róg skręci i zniknie. Gdziekolwiek się pokazać, od razu człowieka widać, a wtedy on się o tym dowie.

Wtedy sobie z dowcipnisiem Spychaczem potańcuje po swojemu.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, włączył latarkę przy kapturze i nieco zwolnił. Ścieżka wiła się, omijała skupiska anomalii, to schodziła w dolinki, to podnosiła się na pagórkach. Tu i ówdzie widać było tropy: odcisnięty w błocie ślad podeszwy, rzucony niedopałek, wystrzelona łuska... Latarka była porządna, więc w białym świetle widać było, jak wirują liście w „ptasich karuzelach” albo jak pulsuje powietrze wokół „grawikoncentratów”. Gdzieś w oddali zawyły ślepe psy.

Ścieżka skręciła w zarośniętą dolinkę, a detektor wciąż popiskiwał. Czyżby to niedawno minięta „elektra” tak go

jeszcze denerwowała? Ignac zatrzymał się, wpatrzył w mrok. Coś mu się tam dalej nie podobało. Ciemność była zbyt gęsta, niemalże namacalna. Promień latarki grzązł w niej, tracił siłę i przepadał, nie sięgając tak daleko, jak powinien.

Ignac wyłączył latarkę, wyciszył PDA. Nastawił uszu. Gdzieś tam, na dole, coś ciamkało, chrzęściło i przesuwano się. Nie, nie warto schodzić na dół.

Włączył wszystko z powrotem, skręcił na prawo, w młody zagajnik. Naprawdę młody, pomyślał sobie stalker, przecież toto nie ma jeszcze dziesięciu lat, no może piętnaście! I tamta dolinka też zbyt regularna. Ktoś wybrał ziemię, odrzucił na bok, z czasem zarosło. Kto, po co? Nikogo to nie obchodzi. Chodzą ludzie po tej ścieżce, nawet się nie zastanowią. I on lepiej nie będzie o tym myślał, a już na pewno nie nocą.

No właśnie, co się nocy tyczy, to trzeba gdzieś się zatrzymać. Drzewa dalej rosły coraz wyższe, w końcu zamieniły się w regularny las. Pomocnik barmana wybrał sobie dogodny pień, wspiął się na gałęzie, poświecił wyżej. Idealnie. Wkaraskał się tak wysoko, jak dał radę, zawiesił plecak na sęku, usiadł i przypiął się paskiem do pnia. Młasnął raz i drugi, podrapał się po policzku. Zamknął oczy.

Noc minęła spokojnie, jeśli nie liczyć odległego, dudniącego huku. Ignac obudził się, bo całe drzewo aż zadrżało. Odruchowo chwycił karabin, otworzył oczy. Gdzieś daleko, ponad lasem rozbłysła łuna – raz, potem drugi. Poniósł się trzask wystrzałów. Posłuchał, posłuchał, potem zdecydował: nie jego sprawa.

Obudziły go pierwsze promienie słońca, bijące prosto

w twarz. Zlazł z drzewa, wyszedł na ścieżkę. W świetle dnia wszystko wyglądało zupełnie inaczej, i krzaki, i drzewa, i teren... Nawet anomalie zdawały się jakoś tak bardziej przyjazne. Zagajnik też był całkiem zwyczajny, i ścieżka nie taka kręta. Ot, miejsce, jakich wiele. Stanął na skraju dolinki, popatrzył. Rzucił dla zasady kilka śrubek. Poleciały jak należy, upadły w trawę. Jedna tylko brzęknęła o skryty gdzieś kamień, odbiła się w bok. Norma.

Zszedł na dół, przeciął dolinkę, wdrapał się na przeciwległe zbocze. Ot, klasyka – nocą nie łaź, zdrowszy będziesz. Ignac dokładnie tak też uważał i dla cudzych spraw, nawet w interesie barmana, po nocy by nie łaził.

Ale to nie barmana, a jego własny interes gnał go naprzód.

Bardzo chciał dorwać Spychacza jako pierwszy, zanim znajdzie go barman. Czy w złych zamiarach? Niekoniecznie. Ale właściciel Stu Radów rzadko kiedy nosił wszystkie jajka w tym samym koszyku, więc Ignac był pewien, że równocześnie z nim na poszukiwania wyruszyła jeszcze druga ekipa. Ot tak, na wszelki wypadek.

Słońce świeciło coraz mocniej, cienie skracały się. Ignac co rusz patrzył na papierową mapę, próbując zgadnąć, któredy mógł pójść Spychacz... I dlatego zauważył na PDA dwa sygnały dopiero, kiedy były niemalże obok niego. Nie miał już ochoty skręcać, żeby nie wzbudzić podejrzeń, więc twardo trzymał dalszy kurs na starą drogę.

Poza tym jego też zauważyli – obydwaj punkciki szły po stycznej. Czyli i tamci leżą po asfalcie, tak czy inaczej go

zauważą, jeśli zmieni trasę. Zatrzymał się, przykucnął za krzakami.

– Ej, stalker! – rozległ się młody głos. – Cho no do nas!

Ignac wyjrzał ostrożnie. Na drodze stało dwóch ludzi. Po kombinezonach wnosząc – Wolność? Hm, czyli jeszcze nie było źle.

– No hej! – krzyknął ten drugi.

Ignac też wyszedł na otwarty teren, pomachał. Nie zachowywali się wrogo, więc chyba lepiej będzie z nimi pogadać. A nuż spotkali jego ptaszka? Nawet jeśli nie oni sami, to może któryś patrol z ich ugrupowania.

– Dobrej Zony, włóczędzy!

– A no, niezgorszej – odpowiedział wolnościowiec. – Dokąd to droga i skąd?

Pytania też brzmiały zupełnie pokojowo.

– A tak sobie idę – odpowiedział Ignac. – Koleżki szukam. Miał się zjawić, a wziął i przepadł. W tej okolicy jakoś. Nie widzieliście może? Spychacz go wołają.

– Dawno zniknął?

– No, wczoraj miał już tu być. Może z rana.

Wolnościowiec pokręcił głową.

– Wczoraj nas tu nie było. Niedawno jakaś ekipa większa przejechała, samochody i w ogóle... Ten twój, sam był?

– Sam. Ekipa? Nic nie słyszałem...

– No więc nam też kazali sprawdzić. Jak tego twojego Spychacza spotkamy, co mu powiedzieć?

– Spychacza... Nie, nie kłopotcie się. Skąd ja mam wiedzieć, gdzie pod wieczór mnie zanieś? Jakby co, to tylko tyle, że go Ignac szuka. Niech pocztę sprawdzi.

– Niech będzie. Powodzenia!

– I wam lekkiej Zony.

Ignac kiwnął i ruszył drogą, wolnościowcy zostali z tyłu, nie spiesząc się nigdzie. Ciekawe u nich porządki: kazali sprawdzić, a oni jak na piknik... Był już kawałek od nich, kiedy jeden nagle zawołał:

– Ej, ty, Ignac! Czekał, chodź z powrotem!

Ignac zdecydował się zignorować okrzyk, zamiast tego tylko przyspieszył kroku. Zaraz minie porzuconą ciężarówkę, tylko dać za nią susa i...

Za plecami huknął ogniem karabin, Ignac wtulił głowę w ramiona i puścił się biegiem.

– Coś ty?! – wrzasnął drugi wolnościowiec. – Czego strzelasz, zgłupiałeś?!

– W powietrze przecież! Ignac, stój! Stój, bydlaku powinnościowy! Poznałem cię! Stój, bo strzelam...!

Ignac dopadł rdzewiejącego samochodu i skoczył za niego szczupakiem, potknął się o coś w zarośniętym rowie, poderwał i pomknął dalej, ani się nie oglądając za siebie. Tamci darli się, jeden udawał drugiemu, że Ignac przyszedł z Rostoku, z Powinności, czyli szpieg i sabotażysta... A przecież nocą strzelali, słyhać było wybuchy! Krzyki były urywane, na wydechu, a więc gnali za nim!

Odbiegł kawałek po asfalcie, zasłaniając sobie plecy sylwetką ciężarówki, rzucił się pod górę, na zarośnięte kłującymi chwastami zbocze. Detektor zapiszczał ostrzegawczo, stalker przyhamował, w samą porę, by nie wpaść w anomalię, skręcił w bok... I sturlał się do jaru.

Sturlał, na całe szczęście, dość fartownie – piaszczyste zbocze musiało osiąść niedawno, więc i ziemia była miękka. Próbował po drodze bezskutecznie chwycić się

kępek trawy i korzeni, ale nabrał już sporego impetu, doleciał do dna dolinki – i plasnął na coś miękkiego, ciepłego. Już miał wstawać, kiedy to ziemia podniosła się pod nim z głuchym, złym warkotem, stanęła dęba, zrzucając stalkera! Wydawało się, że to sam jar się poruszył, Ignac upadł na plecy – i zobaczył, jak nachyliła się nad nim potworny pysk. Ogromny, krzywy, paskudny. Wielkości solidnej beczki piwa.

Rozdział 8

Świt w Zonie to piękny moment, i Tolik też go lubił. Cicho, rześko, spokojnie. Mutanty z pełnymi brzuchami śpią w swoich legowiskach. Nawet anomalie zniżają aktywność.

Tym razem mało co spał, ale szło mu się lekko i humor też dopisywał. Za nim została straszna noc, ale dotrwał do rana – i on, i pechowy Jura. No, teraz sobie jeszcze chłopak pożyje...

Tolik przeszedł przez tory kolejowe, detektor nieustannie zanosił się trzaskiem, anomalie po lewej rozłożyły się tak gęsto, że były ich chyba ze trzy warstwy. Hangar, o który koleżkowie Dzwona wczoraj bili się ze stalkerami, był cichy i ciemny. Ciekawe, jakim wynikiem zakończyła się potyczka? Chociaż nie, w zasadzie to obojętne. Brygada pewnie dała się wybić, dociśnięta z dwóch stron, ale o takich rzeczach w piękny ranek nie chciało się Tolikowi myśleć.

Ruszył wzdłuż planowanej trasy rurociągu. Wykop był gotowy, rury leżały obok, a teraz po prostu rdzewiały sobie, nigdy nie popłynię nimi gaz... czy woda, czy co tam miało płynąć. Ponad trasą koparka zastygła niczym rdzewiejący dinozaur – gdzieś tam jest skrytka, o której

mówił Dzwon. Tolik zwolnił, zastanawiając się, jak dostać się do rury, już leżącej w wykopie. To musiało być gdzieś tam, tylko ciężko będzie! Powietrze drżało i falowało, nawet z daleka było widać przyczajone anomalie.

Skrzypek przeszedł się wzdłuż krawędzi wykopu, przykucnął, zajrzał: nie, stąd nie widać. Zresztą taka jest idea skrytki, żeby skryta była. Przeszedł nieco dalej, ale stanął, anomalii było za dużo. Przelazł ostrożnie na drugą stronę wykopu, żeby popробować tamtędy... Byłby plunął na to wszystko, no ale jak tak? Konkretny, solidny ziomek mu dał koordynaty, nie wypada, nie wolno nie wziąć! Pewnie nic poważnego tam nie będzie, ale Tolik nie jest jakimś tam frajerem, żeby się wystraszyć trudności.

I tutaj Tolika olśniło. Wlazł z powrotem na rurę, przeszedł po niej i stanął niemalże dokładnie tam, gdzie miała być wedle koordynat skrytka. Pod nim, w rurze, hm... Niby na dole anomalii nie było, ale detektor nie milkł ani na chwilę. Podobno stalkerzy w takich wypadkach rzucali śruby czy inne mutry, ale Tolik ich przy sobie nie miał. Prawilne ziomki nie łążą blisko anomalii, tylko biorą to, co na wierzchu leży.

Sięgnął do kieszeni, do drugiej... Wyjął kilka łusek i nabój do pistoletu, co do którego miał uzasadnione przypuszczenia, że może być trefny. Po kolei rzucił barachło przed siebie, patrząc z uwagą, jak spada na ziemię. No chyba normalnie, nie? W końcu sam zeskoczył, stanął przed ciemnym wylotem rury. Kusiło go, żeby od razu zajrzeć do środka, ale tak się przejął rolą stalkera, że pomyślał: nie. Stał chwilę, popatrzył,

zastanowił się... Czysto.

Przykucnął, no coś niby tam w środku jest! Ostrożnie wsunął do środka rękę, namacał i przyciągnął ku sobie pudełko. Pomocował się z wieczkiem, otworzył: dwa pełne magazynki do pistoletu, „krewkamień” i okręcona taśmą klejącą plastikowa torebka. Tolik obejrzał pakunek z tej, z tamtej strony, przeciął nożem, sięgnął do środka. E, co za żarty? Fotografia kobiety. Kobieta jak kobieta, nie to, że modelka, ale zwykła baba w średnim wieku. Gapi się w obiektyw i uśmiecha. Lekka jakaś bluzka, w paseczki taka, fotka pewnie zrobiona latem.

Matka czyjaś może? Albo i żona, jeśli właściciel skrytki był od Tolika trochę starszy. Z jakiegoś powodu zostawił to tutaj, w skrytce... Myślał pewnie, że wróci i zabierze. A zamiast tego Dzwon go zastrzelił. Ot, jak się złożyło.

Z jakiegoś powodu humor się Tolikowi popsuł. Niby nic, a smutno się zrobiło. Zakleił folijkę, włożył z powrotem do pudełka i wsunął z powrotem, najgłębiej jak tylko potrafił.

Wrócił tą samą drogą – na rurę, do końca i w bok. Co to za życie, ha? Ludzie się nawzajem zabijają, a tam w domu ktoś na nich czeka... Wcześniej o takich rzeczach Skrzypek nie myślał, bo i po co? Gdyby znów miało go spotkać coś takiego jak wczoraj, i tak by Dzwona na śmierć nie zostawił. Zrobił, co trzeba, i koniec. Resztę już życie poustawia, Zona wszystko widzi i każdemu odda wedle zasług.

Razem z humorem Skrzypka popsuła się też pogoda. Poranek był słoneczny, a teraz zaczęły zbierać się chmury. Jak to w życiu.

Ominął koparkę i ruszył ku wzgórzom, za którymi

leżała droga na Ryży Las. Budda czekał na niego.



Kolumna pełzła w iście ślimaczym tempie. Wszyscy wiedzieli, że w Zonie po prostej się nie chadza – ale ta prosta obiegowa prawda była po dwakroć bardziej prawdą, jeśli mowa o samochodach. Mało tego, że trzeba starannie omijać anomalie, to jeszcze przewodnicy zmuszeni byli wybierać trasę na tyle szeroką, by przejechały po niej ciężarówki!

Przed wozami szło dwóch najemników, lustrujących szlak i oznaczających anomalie dla kierowców. Jeśli na drodze wyrastały drzewa, pojawiał się parów bądź inna przeszkoda, to musieli skręcać i szukać objazdu. Dwadzieścia kroków za strażą przednią wlokły się ciężarówki. Czterej najemnicy i Budda szli albo obok, albo pomiędzy maszynami, pilnując skrzydeł i patrząc, czy kierowcy jadą równo po śladzie poprzedników. Kierowcy jednak radzili sobie doskonale, zapewne mając w pamięci opowieści o nienazwanych zagrożeniach Zony... Budda słusznie przypuszczał, że Poruszczyk wziął do ekspedycji naprawdę doświadczonych ludzi.

Tylko słowo „ekspedycja” nijak do tej wyprawy fanatyków nie pasowało. Kruczata dziecięca czy co? „Dzieci” to raczej nie były, „prostaczkowie”, jeśli już. Nawet słowa nie umiał na to znaleźć... Więc trzeba było powstrzymywać pogardliwy uśmiezek, zaciskać zęby i razem z resztą używać obowiązującego nazewnictwa.

Budda chciał iść w patrolu prowadzącym, ale najemnicy od razu ostudzili jego zapał:

– Drogę do Śnieżynki znamy, więc dymaj na koniec i się nie wrywaj.

Bosman, najbardziej gadatliwy w ekipie, dodał:

– Ty myślisz, że po co z nami idziesz? Trasę pokazywać? Nie, brachu, drogę sami znajdziemy. A jak kontrolera wystawisz, to wtedy kaska skapnie. Na razie sobie siedź cicho, czekaj, aż my klienta na miejsce odstawimy.

Budda nieszczęśliwie oponował. Mniej pracy, mniej odpowiedzialności... Trzymał się za to bliżej ciężarówki dowodzenia, w której, bądź co bądź, jechała Żenia. A z nim działo się coś dziwnego, bo do tej dziewczyny go ciągnęło. Nie chciał od niej nic, byleby była. Żeby mógł na nią patrzeć, najchętniej z bliska. Przy niej było mu ciepło. Czuł, jak z godziny na godzinę rośnie jego przywiązanie do świata doczesnego, i to silniejsze niż kiedykolwiek! Czuł to. Znał to. Wiedział, jak się nazywa – i bał się przyznać sam przed sobą.

Powtarzał sobie w myślach: jesteś tu dla pieniędzy. Tylko i wyłącznie.

I nawet w to wierzył. Jeszcze.

Samochody wyły silnikami na niskich biegach, pełzły po trasie wolniej niż tempo piechura. Budda już przeliczył sobie, że droga zajmie dobre dwa, trzy dni. W sumie to dobrze, bo nie trzeba myśleć, tylko iść spokojną drogą, i do tego równą, nie przez góry i wądoły. Mutantów nie było, bo pomniejszych uciekały, z większymi zaś radzili sobie ochroniarze.

Około południa najemnicy spłoszyli kabana. Potężny zwierz urządził sobie leże w zagajniku, obok którego Serdiukow chciał poprowadzić kolumnę. Kaban to nie

ślepy pies, ma w sobie o wiele więcej złości i brawury niż rozumu – mutant poczuł się urażony, że ktoś śmie go budzić, i rzucił na samochody, łamiąc po drodze młodą brzoźkę. Najemnicy byli gotowi, dwaj od razu przywitali zwierza ogniem. Pierwsze kule tylko rozwścieczyły mutantą, który zaryczał i przyspieszył, ale potem odezwał się kolejny karabin. Kule szarpnęły stwora za kark i bok, potknął się, zarył w ziemię, zadrygał racicami i zamarł. Kolumna nawet nie zwolniła.

Zanim na miejsce dobiegł Serdiukow, było już po wszystkim. Milczący, wiecznie skupiony Kazbek podszedł do cielska, nachylił się z rentgenometrem w rękach.

– No i jak? – zapytał dowódca.

– W granicach normy. – Kazbek popatrzył na odczyt. – Można wykorzystać.

– No to wytnij, co się da, niech ci ktoś pomoże. Dogonicie nas, mięso do lodówki w ostatnim wozie. Racic nie zapomnij.

Kazbek kiwnął: nie zapomni, nie ma mowy. Serdiukow podbiegł do samochodu szefa, załomotał w drzwi. Te uchyliły się, wyrzwał Innocenty. Zamienili parę słów, Serdiukow pokłusował ku Buddzie.

– Idziesz ze mną – rzucił. – Na czoło. Pomożesz trasę wytyczać.

Budda nie miał w zwyczaju się kłócić, zapytał tylko, czemu teraz nagle taka zmiana. Wcześniej go nie chcieli...

– Dwóch przy dziku zostało. Trzech przy kolumnie. Sam jeden z przodu to trochę za mało. I się w ogóle szykuj. Moi będą po dwóch odsypiać w samochodach,

a ciebie do roboty przyuczemy... – Potem ściszył głos i dodał: – Innocenty, kurwison, tak sobie zażyczył, czujesz? Nie podoba mu się, że obok panny się kręcisz, to i wymyślił. Skoro ci płacimy, to niby masz odrabiać.

– Czyli nie chce mnie widzieć. No i trudno. A tak w ogóle będziemy gdzieś stawać na popas?

– Po co niby, przy takiej prędkości? I tak co dwie godziny masz kwadrans postoju, takie zasady bezpieczeństwa. Maszerujemy tylko do wieczora. A co, nóżki już bolą?

– Nie, tak się pytam, z ciekawości. Skoro mam być częścią drużyny, to wypada wiedzieć.

– No to już wiesz. A co do dziewczyny, to cię ostrzegalem.

– Dziwisz się? Nudno jej z wami, spizowymi bohaterami Zony, to do normalnego człowieka ją ciągnie.

– Wnioski sam wyciągaj, panie normalny człowieku – mruknął najemnik. – Na razie wysłali cię ze mną. Potem...

– Co potem?

Serdiukow nie odpowiedział, wbił wzrok w PDA. Po kilku minutach odezwał się, jak gdyby poprzedniej części rozmowy w ogóle nie było:

– Obok tutaj jest droga, samochodami lepiej tamtędy, dłużej będzie, ale za to po asfalcie. Chodź, każę szoferakom teraz zrobić przerwę, a my we dwóch się przejdziemy i popatrzymy, jak to tam wygląda.

Krótką ścieżką ku drodze biegła przez porośnięty krzakami pagórek, Serdiukow słusznie ocenił, że samochody go nie sforsują, więc dwaj zwiadowcy poszli w prawo, szukając zjazdu na asfalt. Pagórek okazał się

nasypem, ciągnącym się wzdłuż drogi na północ. Budda już miał zaproponować, żeby zawrócić, ale za jeszcze gęstszymi zaroślami chyba widać było przesiekę. Serdiukow zanurkował w krzaki, szeleszcząc gałęziami, potem wyjrzał i zawołał:

– Czysto!

Budda nie pchał się za nim, zamiast tego zjechał z nasypu na drogę, rozejrzał się. Nawierzchnia była w stanie niemalże idealnym: dziurawa, popękana i nierówna, ale wciąż przejezdna.

– I co, Serdiukow? Jest przejazd?

Najemnik przedarł się przez krzaki na drogę.

– Marnie, bo „trampolina” tam siedzi i kilka „ptasich karuzel”. Ale lepszego miejsca nie znajdziemy... Deszcz rozmył grunt, tam w miarę łagodnie jest. Damy radę.

– To co, wracamy?

Serdiukow raz jeszcze popatrzył na PDA, postukał w klawisze i skinął głową. Ruszyli ku stojącej w szczerym polu kolumnie.

– Coś im tam napisał?

– „Wracamy”. Niech wycieczkowiczów do furgonów zagonią.

Kiedy podeszli do ciężarówek, uczestnicy ekspedycji zajmowali już miejsca. Serdiukow zakręcił ręką nad głową, zawarczały silniki. Wóz Poruszczyka ruszył jako pierwszy, za nim popęzły pozostałe. Budda popatrzył na błękitnawy dymek spalin, zmarszczył brwi.

– A benzyny starczy?

– W ostatnim wozie jest zapas. Jakby co, to jeden się zostawi, albo i dwa. W najgorszym razie część piechotą pójdzie.

– Samochodów nie szkoda?

– Gdzie tam, wszystko wykreślone ze stanów magazynowych.

– Jantar?

– No a jak. Jakbyś widział, ile kapusty Biskup wojskowym przywiózł...

Serdiukow westchnął ciężko. Pewnie zazdrościł oficerowi zawiadującemu parkiem maszynowym bazy. Zgubić samochód w Zonie to żaden problem, a wypłacalni finansowo fanatycy religijni nie trafiali się codziennie. Budda naciskał dalej, korzystając z tego, że przeważnie nierozmowny Serdiukow się rozgadał.

– A co ty o nim myślisz? W sensie o Biskupie. O ludzi się facet troszczy, ochrona, sprzęt, wszystko jak trzeba, nie?

– Jakby się troszczył, toby ich nad morze zabrał, a nie do Zony. Ona się przejedzie i po tym sprzęcie, i po nas, nawet nie zauważy, że tam byliśmy. Biskup to dla Niej ciało obce, Ona takich nie lubi... Ajj, jak mnie w skroniach załupało, czujesz?

– N-nie...

– Emisja będzie. Zejdź bardziej do lewej i miej oczy otwarte, przecież tamci za nami pojedą, nawet się nie zastanowią.

Na tym rozmowa się urwała. Zwiadowcy szli równoległym kursem w odległości jakichś pięciu kroków, wypatrując drogi dla samochodów. Trasa była raczej czysta, trafiło się raptem parę anomalii, które samochody objechały szerokim łukiem. W końcu dotarli do nasypu, stanęli; Serdiukow machnął ręką, podszli do niego Bosman i Kałuża, Budda zaś ruszył ku kolumnie.

Kilku ludzi wyszło na zewnątrz, żeby rozprostować kości – najwyraźniej owieczki Biskupa już zrozumiały, że szykuje się postój – ale nie odchodzili od ciężarówek na więcej niż kilka kroków. Innocenty też wyskoczył z przedziału transportowego, podszedł do najemników, żeby pytać o powód zatrzymania. Żeńka, korzystając z jego nieobecności, od razu zeskoczyła na ziemię.

– Budda! – Machnęła radośnie ręką, a on czym prędzej podszedł. Zerknęła z ukosa na wyglądającego z ciężarówki ojca. – Dlaczego stoimy?

– Trudny wyjazd na asfalt. Potem pojedziemy szybciej.

– Słuchaj, patrzyłam na tego Arystochernesa – odezwała się dziewczyna o wiele ciszej. – Paskudna historia...

– Mało czasu, Żeńka.

– A, okej, to w skrócie. W piątym wieku przed naszą erą Grecy w Azji Mniejszej robią powstanie przeciwko królowi Persji. Pomagali im Ateńczycy i jeszcze jacyś...

– Wiem. Dawaj do rzeczy.

– No więc, Persowie spuścili im łomot. Ateńczycy odpłynęli do siebie, a Persowie zaczęli zdobywać przybrzeżne miasta, jedno po drugim. I było jedno takie miasteczko... no kurczę, nie pamiętam...

– Nieważne.

Gdzieś w pobliżu coś głośno, dźwięcznie pyknęło jak otwierana butla szampana, ale taka konkretna. Potem jeszcze raz, i znowu. Członkowie ekspedycji zaczęli popatrywać jeden na drugiego, Kazbek machnął ręką: spokojnie, wszystko pod kontrolą.

– Nooo więc... – Żenia zmarszczyła brwi. Miała ochotę opowiedzieć Buddzie całą historię i ciężko jej było

zdecydować, które szczegóły jednak poświęcić w imię zwięzłości. – No więc był tam taki jeden, Arystochernes. Z rodu Perseusza, więc z założenia bohater. Było proroctwo o nim, że nie zginie od broni, a póki żyje, jego miasta nikt nie zdobędzie. Grecy najpierw walczyli konkretnie, ale potem w oblężonym mieście zaczęła się epidemia. No i on też zachorował, i Grecy trochę spękali, bo bali się, że jak umrze, to i oni przegrają...

– Grecy wierzyli w bajeczki nie gorsze niż stalkerzy – wtrącił Budda. – Morał?

Dziewczyna rozejrzała się, poczekała, aż minie ich kierowca, który koniecznie musiał porozmawiać o czymś z kolegą. Kierowcy w trasie zawsze znajdują temat do rozmowy. Wspiął się do kabiny drugiej ciężarówki, zaczęli omawiać specyfikę jazdy wokół anomalii.

Znów rozległa się seria głośnych „cz-puk!”, ale tym razem cichszych niż ostatnio. Żeńka odezwała się, mnąc kombinezon:

– No i wtedy mieszkańcy się zebrali, porwali córkę Arystochernesa, najpiękniejszą w mieście. Złożyli ją w ofierze i spalili ciało. Bogowie przyjęli ofiarę, Arystochernes wyzdrowiał. Potem jednak dowiedział się, co tamci zrobili, wściekł się. Wyrzwał wszystkich swoich i podpalił miasto... No więc proroctwo się wypełniło, bo Persowie miasta nie zdobyli, dopóki on żył, a on sam się spalił, więc też nie zginął od broni. Piękna historia, co?

– Aha. Ciekawe tylko, po co taka bajka Biskupowi?

– Że komu?

Zjawił się Serdiukow ze swoimi przybocznymi, zawołał na kierowców: jedziemy! Żeńka od razu uciekła, stadko pozajmowało miejsca w ciężarówkach, kolumna

znów ruszyła. Okazało się, że najemnicy po prostu wyrąbali siekierami drzewka, które potem powrzucaли w „ptasie karuzele”, teraz aż gęste od szczap posiekanego drewna. To właśnie anomalie tak głośno strzelały, ziemia wokół nich dosłownie usiana była kawałkami przemielonej kory i gałęzi.

– Uwaga! – pokrzykiwał Serdiukow. – Trzymać odległość! Po kolei jedziemy przez rów, po jednym! Jeden jedzie, reszta trzyma nogi na hamulcach! Pierwszy, naprzód!

Samochód drgnął, powoli potoczył się naprzód. Kierowca wpasował się pomiędzy anomalie, ostrożnie skręcił. Ciężarówka dopełzła do najwyższego punktu, przednie koła już pokonały szczyt wzniesienia nasypu, silnik ryknął, z rury wydechowej strzelił kłęb siwego dymu – samochód przejechał, zniknął po drugiej stronie, zjeżdżając ku asfaltowi. Bosman i Kazbek pilnowali drogi, ten pierwszy podniósł ku kierowcy uniesiony kciuk i pokazał ręką kierunek.

– Drugi naprzód! – zawołał Serdiukow, machnął.

Kierowca drugiej ciężarówki przejechał nie tak aż ładnie, bo na ostatniej anomalii zaczepił rogiem krypy o wypełnioną zielonymi szczątkami „karuzelę”. Anomalia zawyla, samochodem zarzuciło, ale kierowca dodał gazu i wyszarpnął auto z chciwych objęć Zony.

– Ha, ja już nigdzie piechotą nie idę – wesoło rzucił Lewak. – Patrzcie ich, jak po promenadzie sobie przez anomalie jadą!

– Nie pieprz głupot! – ofuknął go Serdiukow.

– No, ale szefie...

– Anomalie rozładowane, a ciężarówka na

maksymalnym obciążeniu! Tylko dlatego się prześliznął.

– Ale jak tak tylko, w żartach...

– Zawsze tak samo. Najpierw pieprzniesz głupotę, a potem się tłumaczysz, że albo pijany, albo w żartach. Zona słucha!

– Na żartach się nie znasz i tyle. A słyszałeś dowcip, jak stalkerowi Pietrowowi opowiedzieli dowcip o stalkerze Pietrowie?

– Sam jesteś Pietrow... Trzeci, naprzód!

Dwie ostatnie ciężarówki pokonały wyznaczoną trasę bez problemów. Kolumna uformowała się na asfalcie, gdzie samochody wyglądały zdecydowanie bardziej na właściwym miejscu. Dwaj najemnicy poszli przodem, żeby sprawdzić trasę, dwaj kolejni szli po nasypie, mając baczenie na okolicę. Budda próbował zagadać, ale tamci nie mieli ochoty na rozmowę. Chrom polecił:

– Prawej flanki pilnuj. Mało nas na taką trasę.

– A co, nie mógł Biskup więcej wynająć? Kasy pożalował? Ja to myślałem, że on się nie patyczkuje.

– Damy radę – warknął Chrom. – Tylko rób, co ci każą, a nie ozorem mieiesz.

Kałuża zniżył się do wyjaśnienia:

– On ma kasy jak lodu. Tylko mniej ludzi, to mniej gadania. Jasne? No to tego się trzymaj.

Mniej gadania... Jasne. I tak po Zonie poniesie się lotem błyskawicy, że Biskup jest nadziany jak Azja na pał, i kasą szasta na lewo i prawo. Jeden się z drugim zgada, prędzej czy później ktoś rzuci hasło: skroić frajera. I wtedy choćby najmusów miał tuzin, choć i pół setki... Albo i inaczej: łatwiej po ekspedycji zniknąć sześciu niż dziesięciu. I wtedy, faktycznie, nikt nie będzie gadać.

Budda popatrzył po najemnikach. Faktycznie, od samego początku ponurzy jacyś byli wszyscy... Może z wyjątkiem Bosmana, ale tamten po prostu był na tyle prosty umysłowo, że pewnych rzeczy nie widział. Każdy z nich coś czuł, domyślał się, podejrzewał. A jemu w to graj, im bardziej mętna woda, tym łatwiej się w niej ukryć. Dobrze, że chociaż Żeńka była w tej całej zgrai jedna normalna.

Asfaltem jechało się zdecydowanie lepiej niż bezdrożem. Oczywiście ciężarówki tak czy inaczej toczyły się na najniższym biegu, ale o wiele łatwiej było zauważyć anomalie. Najemnicy oznaczali każdą przeszkodę, kierowcy sprawnie lawirowali na trudniejszych odcinkach.

Problem pojawił się dopiero wtedy, gdy trzy anomalie zajęły połowę pasa drogi dokładnie tam, gdzie leżała na wpół wrośnięta w grunt ciężarówka, która kiedyś wpadła do rowu. Samochód był niewiele więcej niż wrakiem, plandeka zwisała z żelaznej ramy porwanymi strzępami, kabina zardzewiała... Tak czy inaczej, trzeba było stanąć. Czterej najemnicy natychmiast zajęli stanowiska na nasypach po lewej i prawej od drogi, Serdiukow i Kazbek podeszli bliżej, żeby ocenić sytuację. Popatrzyli, naradzili się, w końcu Kazbek wrócił do wozu prowadzącego, załomotał w drzwi.

– Linę holowniczą – rzucił, kiedy kierowca opuścił szybę.

– Znajdzie się.

Korzystając z przerwy, „bracia” wysypali się na zewnątrz, żeby rozprostować nogi. Jeden z nich zastukał do drzwi ciężarówki dowodzenia.

– Żeniusia, zerknij no na odbiornik. Niby wszystko w porządku, a czasami gaśnie.

Budda przysiadł sobie na spalonej słońcem trawie i patrzył, co też wymyślili najemnicy. Wóz dowodzenia zjechał na bok, drugi zajął jego miejsce, spięty stalową liną z tarasującym drogę wrakiem. Bosman władował się do zardzewiałej kabiny, pokręcił, zgrzytnął czymś, szarpnął... i z debilnym uśmiechem wychylił się przez wybite okno, pokazując urwaną kierownicę. Serdiukow machnął ręką.

– Wysiadaj, bez sensu!

Kierowca ciężarówki wrzucił wsteczny, lina zaskrzypiała. Wrośnięty w ziemię samochód jęknął, drgnął i poruszył się... A potem z rozdzierającym trzaskiem pękł na pół. Przerdzewiałe podwozie rozleciało się na kawałki, lina strzeliła, a przyczepiony do niej tylny most zahaczył jedną felgą o płynącą powoli nad asfaltem „karuzelę”. Anomalia od razu zawirowała, zawyła dziko. Budda zasłonił uszy, zacisnął powieki, miał wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą mu z czaszki...

Kiedy uchylił powieki, wrak już wirował nad drogą w huraganie pyłu i śmieci, napięta niczym struna stalowa lina wibrowała i jęczała, a doczepiona do niej ciężarówka powoli, nieubłaganie pełzła w przód. Silnik ryczał dziko, spod trących o asfalt na wstecznym biegu kół waliły tumany siwego dymu, ale czarne ślady spalonej gumy były coraz dłuższe, coraz bliższe anomalii! Przez uchyloną szybę widać było wykrzywioną grymasem przerażenia, białą niczym prześcieradło twarz kierowcy z otwartą jamą ust – tamten pewnie coś krzyczał... Z żelaznej budy skakali na łeb na szyję ludzie

w plamiastych kombinezonach.

Rama rozleciała się na kawałki z ogłuszającym hukiem, zardzewiały zderzak grzmotnął w asfalt może na wyciągnięcie ręki od Bosmana. Ciśnięty przez anomalię poszarpany wrak zatoczył krótki łuk i walnął w szczyt nasypu, zakołysał się i powoli zjechał na bok, gubiąc kawałki karoserii, aż w końcu zamarł. Wycie anomalii nagle ucichło, i wtedy słyszalny stał się przerażony, desperacki krzyk.

Budda odwrócił się – jeden z członków ekspedycji cofał się, bezskutecznie szarpiąc zapiętą kaburę. Jeszcze inny, który wcześniej upadł, skacząc z ciężarówki, rzucał się jak ryba na haczyku, nogi w ciężkich butach nie sięgały o kilkanaście centymetrów do asfaltu, ręce próbowały złapać... za co? Budda skoczył ku nieszczęśnikowi, zrywając karabin z ramienia. Za wiszącym w powietrzu pojawił się zarys potężnej sylwetki, z nicości wypłynęły ciężkie wały nadoczodołowe, wijące się macki... Juchociąg machnął długą łapą – krzyk urwał się w suchym trzasku i mlaśnięciu.

Budda ściągnął język spustu dosłownie o ułamek sekundy po najemnikach. Puszczone z obu stron serie przeszły i stwora, i jego ofiarę – chociaż człowiek i tak już nie żył. Potwór wypuścił zdobycz, skoczył w bok, na asfalt, potknął się, upadł na kolana... I przewrócił mordą w dół, wciąż rzucając się od siekających go kul.

Popatrując niepewnie to na juchociągą, to na siebie wzajemnie, członkowie ekspedycji nie śmieli podejść bliżej ku ciału towarzysza. Mutant wciąż się ruszał, pod porośniętą szczeciną skórą drgały mięśnie, lewa noga co

rusz skakała. Budda przepchnął się pomiędzy gapiami, puknął nogą posokowca. Phi, już martwy! Nachylił się nad człowiekiem, chciał obrócić go na plecy, ale zrezygnował, głowa tamtego malowniczo rozpływała się po asfalcie.

– Trup? – krótko zapytał Kazbek, Budda potwierdził skinieniem.

Najemnik splunął, zaklął. Popatrzył na gapiące się tępo „owieczki” i zaczął odpinać saperkę.

– Hej, można jechać! – zawołał Serdiukow, który nie widział, co się stało. – No co tam?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł. Popatrzył. Kazbek obrócił łopatkę w rękach.

– Pochować trzeba – mruknął.

– Sam się chowaj! Nie teraz, przecież jechać trzeba! No co się gapiacie? Do worka go, na lód i do wozów, ruchy!

To ostatnie dotyczyło członków ekspedycji, którzy posłusznie podnieśli ciało i poszli się ładować. Nikt nie powiedział nawet słowa, ale dla pielgrzymów właśnie zaczynała się prawdziwa Zona i żaden z nich nie wiedział, jak się zachować.

Serdiukow pobiegł na przód, żeby wytyczyć drogę pomiędzy anomaliami, Kałuża zaś zaburczał:

– Aha, ruchy. Pewnie. I jeszcze juchociąg... Skąd się wziął?

– Z dupy! – charknął Kazbek. – Dokąd dalej? Dużo jeszcze tą drogą? Dokąd ona w ogóle...?

– Kilometr, półtora może. Dalej jest obiekt wojskowy, ale nie dojeżdżając, skręcamy w gruntówkę. Potem do drogi na Śnieżynkę i...

– Do obiektu dojeżdżamy – nie zgodził się Kazbek.

Dla najemników strata jednego z powierzonych ich ochronie była może i czymś niemiłym, ale w pełni naturalnym, dlatego też rozmawiali o drodze zupełnie spokojnie, na zimno.

– Po kiego?

– Emisję przeczekamy. Widziałeś, jaki Serdiukow nabuzowany łązi? Czuje w kościach, on zawsze tak ma.



Kiedy do Ignaca dotarło, że spadł prosto na plecy pseudogigantowi, wszystkie myśli jakby mu wiatrem z głowy zdmuchnęło. Wszystkie, bez wyjątku! I tylko jedno zostało: koniec, pozamiatane, dograłeś się...

Ale myśli sobie, a ciało sobie, odruchowo. Ignac popełził w tył, odpychając się rękoma i nogami. Wrzeszczał, krzyczał, ale sam nie słyszał siebie przez ryk wściekłego mutanta. Potężne cielsko podniosło się, zakołysało... Stalker czołgał się coraz dalej, ale pseudogigant nie ruszał się z miejsca, mimo że wystarczyłby mu jeden krok, aby złapać człowieka!

Ignac oparł się plecami o splecione, grube korzenie, zaczepił o coś kombinezonem. Szarpnął, próbując pełznąć dalej, ale korzeń nie puszczał. Gigant ryczał, lecz nie ruszał się z miejsca.

Na skraju jamy pokazali się ludzie.

Wolnościowcy jak jeden mąż opuścili karabiny i dali ognia w monstrum. Ignac przekreślił się, zrzucił z siebie zaplątany o korzenie plecak i poczołgał się, łapiąc za co popadnie, wdrapał na zbocze i pobiegł dalej, przed siebie... Mutant ryczał, karabiny dudniły.

A potem ziemia podskoczyła i jęknęła. To pseudogigant rąbnął falą grawitacyjną. Zbocze jaru uderzyło Ignaca z boku, pociągnęło za sobą z osiadającą ziemią. Karabiny umilkły, bo stalkerzy polecieeli w dół wraz z dużą częścią osuwającego się stromego brzegu jamy.

Ignac wygrzebał się spod osuwiska i popędził przed siebie. Gnał go strach, z tyłu znów zaterkotały karabiny i odezwał się mutant, tym razem nieco ciszej... Ignac zauważył przed sobą łagodniejsze zbocze, wdrapał się do połowy, chwycił kolczastych gałęzi i nadludzkim wysiłkiem wciągnął na górę, nie zwracając uwagi na ból w krwawiących dłoniach. Wyleciał jak z procy, rzucił się ku ciemnej ścianie lasu.

Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy po prostu padł jak długi w trawę. Przetoczył się na plecy, spojrział w lewo, w prawo. Usiadł. Obejrzał się.

Cisza. Spokój. Nikt go nie ściga.

Nieco spokojniej obmacał bolące miejsca. Nic nie złamane... Weź się w garść, człowieku!

Nie ścigali go. Ani oni, ani nic innego. Karabin... Nawet nie wiedział, co się z nim stało. Plecak tam został... Ręce bolą jak sto diabłów.

Usiadł, oparł plecami o drzewo. Krzywiąc się z bólu, wyciągnął z kieszeni apteczkę i opatrunek. Zerknął przy okazji na przedramię – monitor PDA nie włączał się, przez ekran biegło rozgałęzione pęknięcie.

Ot, i się władował.



Wolnościowcy zwalili się na pseudogiganta wraz z lawiną ziemi, kamieni i połamanych krzaków. Stoczyli z ledwie już poruszającego się cielska, zerwali na nogi – jeden dał ognia, ale bardziej z nawyku niż potrzeby. Drugi wycelował, ale już nie strzelił. Nie było potrzeby, bo mutanta wykończyła wcześniejsza palba. Stwór leżał na boku, jeszcze drgał, ale jego minuty były już policzone.

– Patrz – pokazał jeden ze stalkerów – jakie łapy ma poszarpane.

– Widzę, brachu! Nieźle go ktoś oporządził. Wlazł tutaj, w ten parów, żeby się wylizać...

– Aha! A tutaj my, ba-bach!

Dolne kończyny mutanta były tak zmasakrowane, że zapewne nie był w stanie sam się poruszać. W lewej łapie ziały ogromne dziury, stopa wisiała nieledwie na gołych kościach.

– Co on, z chimerą się musiał chapnąć?

– E, chyba że z taką, co z karabinem biega. O, patrz, jakie ma ślady na brzuchu. I to gęsto ktoś strzelał, amunicji nie żałował.

Liczne otwory wlotowe po kulach już zdążyły się zasklepić, ale były wciąż widoczne. Ziemia pod stworem zdawała się aż bordowa od zapieczonej krwi.

– Aha. Nieźle ktoś mu nawsadzał... ciekawe tylko kto? I nogi poszarpali.

– Mówię ci, że Powinność! To ich maniera, że co się rusza, to ognia od razu. I sprzęt, ciężarówka. Kto by jeszcze do Ryżego Lasu na samochodach jechał? Tylko oni!

– Albo może wojsko?

– A czego tutaj żołnierzom szukać? Poza tym śmigłowiec słyszałeś? Nie? No widzisz! A wojsko bez wsparcia z powietrza nawet nosa nie wyściubi. Mówię ci, że i te ślady opon, cośmy znaleźli, to Powinność w tę stronę lezie. I jeszcze ten, jak mu tam...

– Ignac.

– O, o! On teraz w Stu Radach siedzi, a to przecież placówka czarnych. Łapiesz? Oni już od dawna się na ten kwadrat zasadzają, to i teraz rajd urządzili. E, a co to, o tam? Tam, błyszczący... Karabin?

Wolnościowcy powoli przeszli dnem jaru, jeden z nich schylił się i wyciągnął do połowy zagrzebany w ziemi karabin Ignaca. Drugi pociągnął za szelkę plecaka...

– Ignac – warknął starszy. – I wiesz co? Pójdziemy za nim. Jeśli uciekł bez broni i wyposażenia, to już jest nasz. Czekać, tylko reszcie dam znać...

Do bazy Wolności poleciała wiadomość. Na południe od Ryżego Lasu przemieszcza się spory oddział, odkryto obecność zwiadowcy z Powinności, unieszkodliwiono pseudogiganta. Wyglądało na to, że Powinność próbowała przejąć kontrolę nad danym terytorium.

W podobnych przypadkach Wolność działała zdecydowanie – wysyłano silną grupę, która da radę odeprzeć zakusy przeciwnika. Odpowiedź przyszła lotem błyskawicy. Patrol ma iść śladem zwiadowcy, wkrótce dołączy do nich grupa uderzeniowa, która ogarnie sytuację na miejscu.

Rozdział 9

Tolik zatrzymał się u stóp pagórka, bo licznik już tutaj wychwytywał podwyższone tło. Teraz trzeba było przejść najgorszy fragment trasy, przez skażone wzgórze... Bywał już tutaj z ekipą Zwornika i wcale miło tego nie wspominał. Na szczęście Budda odsypał mu sporo antyradu, żeby go w „przeciągu” promieniowaniem przenikającym nie przewiało... Skoro twierdził, że wódka aż tak dobrze nie działała, to pewnie tak właśnie było.

Popatrzył chwilę, wybierając drogę. Sięgnął do kieszeni, wyłuskał z opakowania tabletkę i łyknął, można powiedzieć, awansem. No cóż... Dociągnął szelki pustawego plecaka i ruszył przed siebie. Licznik od razu odezwał się trzaskiem, po chwili dołączył do niego detektor, ale Tolik już szedł żwawym krokiem przed siebie. Zbiegał z pagórków w doliny, gdzie tło było nieco niższe, potem wdrapywał się pod górę, na rozpalone słońcem szczyty.

Co rusz popatrywał na PDA, wybierając dolinki prowadzące we właściwą stronę i omijając radioaktywne wzgórze. Gdzieś w oddali zagrzmiało, poryw wiatru przyniósł zapach wody – na zachodzie zebrały się

chmury, widać było lejące się z nieba strugi deszczu. Na razie chmury tylko samym skrajem sięgały nad okolicę Tolika... Dobrze, deszcz się przyda, akurat radioaktywny pył przycisnie do ziemi.

Rozległo się piknięcie przychodzącej poczty. „Jak tam, żyjesz?” – pytał Budda. „Żyję” – krótko odpisał Tolik. No bo co jeszcze, że lezie przez wzgórza? Zobaczyć by się z nim wolał... Tolik zamyślił się i nawet nie zauważył, jak wlaź w ślepy zaułek. Z trzech stron były tylko porośnięte rzadką trawą zbocza, wszystko to zasnuło niskie, szare niebo – jak pokrywka na garnku. Z nieba zaczął lecieć rzadki, ciepły deszczyk.

Tolik zerknął na PDA. No tak, wlaź jak kto głupi w ślepą dolinkę. Zawrócić? Nieee, szkoda czasu. A prawie już wyszedł z tego labiryntu! Zdecydował, że ruszy na przelaj, więc łyknął jeszcze jedną dawkę antyradu, przeżegnał się i zaczął wspinać na pagórek. Licznik od razu zatrzeszczał w proteście, ale on był już w połowie zbocza, już docierał do szczytu. Dysząc ciężko, wdrapał się na samą górę, zaczął zbiegać. Po drugiej stronie w oddali majaczyła zielona ściana lasu – dalej będzie łatwiej.

Pędził, przestawiając nogi, oprócz szumu wiatru w uszach słyszał tylko, jak uspokaja się licznik. Północna strona wzgórza była o wiele mniej napromieniowana. Jeszcze trochę, jeszcze odrobinę... Widział przed sobą rozdwojoną, krzywą sosnę, Skrzypek skręcił na prawo, chcąc ominąć drzewo – i wtedy odezwał się detektor anomalii. Chłopak próbował zahamować, ale noga mu się pośliznęła – z rozmachu wleciał w „trampolinę”.

Anomalia była może i niewielka, słabiutka, ale

potraktowała go z pełną powagą. Tolik poczuł, jak między podeszwą a ziemią ugina się coś miękkiego i sprężystego, a potem jakby ktoś wystrzelił pod nim samochodową poduszkę powietrzną – poleciał w bok, wywinął w powietrzu orła i wpadł plecami prosto na sosnę.

A mogłem z lewej! – zdążył jeszcze pomyśleć, a potem trzasnął o pień i świat zniknął.



Kiedy ocknął się i spróbował zrozumieć, co w ogóle się stało, gdzie jest i kiedy jest, to pierwszym, co zauważył, była morda ślepego psa, patrząca na niego z nieba. „Patrząca”, rzecz jasna, było pewnym przekolorowaniem, jeśli mowa o ślepym psie. Mutant wyciągał bezoką mordę, łapczywie węszył szeroko rozwartymi nozdrzami, ślinił się, pokazywał jęzor i wisiał nad Tolikiem...

Potrząsnął głową, pies cofnął się, a świat przekręcił o sto osiemdziesiąt stopni. Tolik zorientował się, że tak naprawdę wisi na drzewie głową w dół dobre dwa metry nad ziemią. Żebra bolały, w głowie łupało od spływającej w dół krwi, a pies stał pod nim i z nadzieją węszył potencjalną, ale na razie niedostępną zdobycz. A sosnę, jak się okazało, niepotrzebnie w myślach zrugął – gdyby nie ona, to mutant by mu właśnie obgryzał paluszki.

Ostrożnie poruszył rękoma, przeciągnął po ciele. Śrutówki nie było... Sięgnął po pistolet, pies zrobił krok w tył, podkulając ogon. Nie widział broni, ale na pewno czuł jej zapach. Ostrożnie, żeby broń Zono nie upuścić,

wyciągnął pistolet, odwiódł kurek.

Pies w okamgnieniu obrócił się i długimi susami popędził precz. No i leć, leć, durny!

Tolik z wysiłkiem podciągnął się, złapał ręką za gałąź i zaczął powoli uwalniać z kłującej gęstwiny pachnących żywicą igieł, które najwyraźniej uratowały mu życie. Tak, niebo wróciło na właściwe mu miejsce, nad głową... Zlazł z drzewa, podniósł obrzyn, sprawdził. Łeb go bolał potwornie, plecy zresztą też. Łyknął antyrad, popił resztką wody z manierki i utykając, ruszył dalej na północ.

Szedł na przełaj przez rzadki las, gdzieś w oddali wyły psy. Kilka razy zamierał, gdy w zaroślach hałasowały i trzeszczały przewalające się wielkie cielska... Jeszcze trzy psy przecięły mu drogę, ale tylko przetruchtały i zniknęły w krzakach, nie zwracając nawet uwagi na człowieka. Jedyne biegnąca na samym końcu psina na chwilę przystanęła, zadarła pysk i jak gdyby krótko chlipnęła, po czym zanurzyła nos w suchych liściach i podążyła tropem towarzyszy.

Deszcz to ustawał, to znów zaczynał siąpić. Było szaro, mokro i nagle ponuro, jakoś tak ciężko. Z drzew skapywały rdzawe krople, zdawało się, że cały świat pachnie mokrą sierścią. Oczy szczypały, w nosie kręciło, bolała głowa...

Las był niby pełen zwierza, a mimo to mutanty zachowywały się dziwnie, nie próbowały atakować, a tylko rzucały się i przebiegały niespokojnie z miejsca na miejsce. Tolikowi jednak nie było do rozmyślań nad tym wszystkim – spieszył się ku przygotowanej zawczasu skrytce, w której przed wyruszeniem do Stu Radów

zostawił lwią część swojego sprzętu.

W końcu dotarł do ruin domku, odrzucił na bok deski, którymi wspólnie z Buddą przykryli murowane zagłębienie okienka do piwnicy. Schylił się, żeby wyciągnąć plecak – i w tym momencie głowę jakby mu ktoś ścisnął w imadle.

– Co jest...? – jęknął, siadając na mokrej trawie.

Niebo zmieniło się, chmury zaczęły odjeżdżać na boki, niczym otwierające się potężne wrota. Spomiędzy nich sączyła się purpurowa poświata... Emisja! – zrozumiał Tolik. Ot, od czego tak łeb mi pęka...! A ja myślałem, że to od sosny!

Gniew Zony jeszcze nie spadł z niebios, jednak wszystko mogło się zacząć w dowolnej chwili, a on nie miał żadnej kryjówki... Do diabła! W lesie, w samym środku lasu! Co robić? Z nieba zaczynał łać się coraz głośniejszy z minuty na minutę huk. Tolik rzucił się ku okienku, wcisnął się w płytką jamę, naciągnął na siebie deski, narzucił na głowę ściągniętą z grzbietu starą kurtkę. Cokolwiek, byle tylko nie widzieć czerwonego nieba, nie słyszeć huku, od którego aż zęby bolą!

Jama była dla niego za mała, zaczął się wiercić, zapierać nogami o ściankę, próbując wcisnąć w okienko... I wtedy coś miękko ugięło się pod nim, trzasnęło, a on fajtnął w tył, w ciemność starej, zasypanej liśćmi piwniczki.

Co za dzień! – pomyślał, odpełzając dalej od okienka. Co chwila gdzieś spadam...

Ponad lasem, ponad ruinami, ponad całą Zoną wstawała szkarłatna luna emisji.



Na wysokości skrzyżowania, gdzie od asfaltu odchodziła gruntówka, pomiędzy członkami ekspedycji wybuchła pierwsza za pamięci Buddy poważna sprzeczka. Kierowca samochodu na czele, który miał wytyczoną zawczasu trasę, chciał skręcić – a najemnicy poszli dalej drogą. Przed nimi widać już było pozostałości zrujnowanego obiektu, ponad morze traw wystawał przekrzywiony betonowy płot, zza niego wyłaniały się niskie dachy. Ot, taka sobie szara wysepka pośród burozielonego żywiołu.

Innocenty wyskoczył z wozu, zaczął tłumaczyć przyczynę zmiany marszruty, więc Budda też podszedł nieco bliżej kabiny, aby posłuchać. Przez ostatnich kilka godzin trzymał się dalej – ot, nie chciało go szefostwo widzieć, to nie. Teraz każdy zamknięty w stalowej puszcze, po przybyciu na miejsce będzie więcej możliwości porozmawiać.

Żenka jednak skorzystała z okazji, wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła Buddę, pomachała... Za dziewczyną pojawił się ojciec, objął ją za ramiona i pociągnął w tył, mrużąc:

– Żenia, chodź do środka, nie ma co w drzwiach stać, sama widziałas, jakie potwory tutaj się zdarzają. No już, dzieciaku, chodź...

Budda też pomachał dziewczynie, podszedł do kłócących się.

– Ile czasu nas to będzie kosztować? – naciskał sekretarz. – Ile trzeba czekać, zanim się skończy ta wasza emisja?

Serdiukow wzruszył ramionami, pomasował skronie.

– Jak tylko Gospodarze Zony zdecydują – odparł Bosman.

– Muszę coś powiedzieć Wiktorowi Terentiewiczowi. – Innocentemu nawet nie drgnęła powieka. – Ile będzie trwać postój?

Budda odchrząknął, zauważył skromnie:

– Emisja to zjawisko quasi-naturalne. Jako takie jest nieprzewidywalna, nieregularna i nie poddaje się prognozowaniu. Najlepsza chwila, aby pokornie poddać się wyrokowi losu.

– Pomodlić się trzeba, to szybciej minie – dorzucił Bosman z głupim uśmiechem.

– Nikt nie wie, ile to potrwa. Nikt – słabym głosem powiedział blady Serdiukow. – Chcecie, jedźcie sobie w cholere. Ja z moimi chłopakami wleziemy do piwnicy i tam będziemy umierać.

– Po co piwnica? Wystarczy stanąć i... – zaczął Innocenty, ale Serdiukow nie wytrzymał:

– Chcecie, to jedźcie do samego diabła, mówię! Ja mam zamiar, cholera jasna, przeżyć, więc szukam schronienia pod ziemią! My idziemy tam, a wy jak chcecie. Naprzód, chłopaki!

Serdiukow okręcił się na pięcie i chwiejnym krokiem ruszył ku budynkom, zostawiając za sobą skrzyżowanie wraz z dyskusją, a zaraz za nim pospieszył Bosman. Innocenty zerknął na Buddę, skrzywił się...

– Ma rację – potwierdził Budda. – Jak chcesz, ja mogę szefowi wyjaśnić, co i jak.

Innocenty nie odpowiedział, bez słowa wrócił do samochodu i zatrzasnął drzwi. Po chwili kolumna

ruszyła śladem najemników, ku zrujnowanym zabudowaniom. Z asfaltu dobrze widać było płot – solidny, dwumetrowy, z szarych płyt, na szczycie udekorowany rdzewiejącym drutem kolczastym. Wieżyczki dla strażników na rogach... Poważna miejscówka.

– Serdiukow... – odezwał się Bosman – słuchaj, dlaczego takie fajne miejsce puste stoi?

Tamten przymknął oczy, jakby zbierając myśli. Widać było, że zbliżająca się emisja coraz mocniej daje mu się we znaki. W końcu odezwał się, powoli dobierając słowa:

– Za duży obszar. Niewygodnie pilnować. Stąd się tak wydaje, a od tyłu płot leży. Paskudne miejsce w sumie.

– Ej no, jak to?

– Normalnie. Zobaczysz na miejscu. A jak nie zobaczysz, to tym lepiej. Już przy bramie oczy szeroko otwarte. I ty też, swoją drogą. – Serdiukow jak gdyby dopiero teraz zorientował się, że obok niego idzie również Budda. – Aj, żeby już bez głupich przygód się udało... Z tymi, niech ich Zona pochłonie, turystami...

Kolumna zatrzymała się przed samą bramą. Silniki zgasły, od razu zrobiło się bardzo cicho, słyszeć było tylko wycie wiatru. Szare niebo zaciągnęło się gęstą, jednolitą warstwą chmur, pod którą szary beton wyglądał na zimny i jeszcze bardziej niegościnnie.

– Bosman, Budda, za mną – rzucił Serdiukow.

Weszli we trzech na teren kompleksu. Budka stróża z zapadniętym dachem, wyłożona betonowymi płytami droga, po lewej i prawej krzaki, za nimi baraki z powybijanymi oknami. Na gzymsach rozrosło się „rdzawe włosie”, lekko szeleszczące w podmuchach

wiatru.

– Piwnica, piwnica, cholerna piwnica... – mamrotał najemnik. – Co, sprawdzimy głębiej?

Powoli weszli pomiędzy budynki, ciekawski Bosman zajrzał w półotwarte drzwi.

– Koszary jakieś. Ale bez podpiwniczenia... Jak łeb, towarzyszu dowódco? Długo jeszcze?

– Cholera wie, ale raczej nie za bardzo. Dalej, dalej, idziemy... Może tam coś będzie!

Dróżka dobiegała do piętrowego budynku, który wyglądał o wiele bardziej obiecująco niż barak przy bramie; tutaj mogła być i piwnica. Weszli po zasłanych liśćmi schodkach, powoli wkroczyli do przedsionka. Światło wpadało przez wysokie okna, po prawej leżały resztki mebli zapewne należących kiedyś do dyżurnego. Wejście na piętro... Bosman zerknął na towarzyszy, pokazał gestem i sam zanurkował pod schody. Budda został przy wejściu, Serdiukow ruszył za podkomendnym.

– Czysto! – rozległ się głos Bosmana. – Na dole jest piwniczka techniczna, i drzwi niezamknięte. To co, wołamy turystów?

– Czekaj. Najpierw sami sprawdzimy. Budda, zostań i pilnuj.

Skrzypnęły przerdzewiałe zawiasy, potem poleciała niegłośna, ale soczysta wiązanka przekleństw, Serdiukow rzucił: „Latarkę włącz!”. Kroki oddaliły się, ucichły. Budda przeszedł się w lewo i w prawo, zadrzał. Jakoś dziwnie cicho tutaj było, ani jeden dźwięk nie donosił się z piwnicy, atmosfera gęsta...

Z czystej ciekawości przeszedł przez salę, stanął przy

wychodzącym na tył kompleksu oknie. Ha, Serdiukow miał rację – wyglądało to zdecydowanie słabiej, widać było ruiny jeszcze jednego budynku, ale takie już naprawdę rozwalone niemalże do gołej ziemi, porośnięte młodymi brzoźkami i osmalone tu i ówdzie przez niegdysiejszy pożar. Za nimi z kolei stały resztki ogrodzenia z siatki, w nim porwane, powyginane kawałki blachy. Może wybuchła tu cysterna z paliwem? Betonowy płot, faktycznie, położony jak domino, płyty popękane.

Niebo ciemniało, chmury kłębiły się i mieszały. Uciekające ku widnokręgowi pagórki zdawały się nierealistycznie zielone, bardziej, niż gdyby świeciło słońce. Jakby ziemia próbowała desperacko dodać barw światu, skoro niebo się na niego obraziło.

Nagle rozległ się głuchy, rezonujący echem terkot – seria z karabinu, donosząca się spod ziemi. Budda ujął broń, ostrożnie podszedł ku schodom. Zajrzał w otwarte, pomalowane łuszczącą się zieloną farbą drzwi, które prowadziły w zbiegającą wraz ze schodami w dół ciemność. Huk jeszcze jednej serii, łomot, przekleństwa, wizg. Cisza, i znów wystrzały. Szmer i piszczenie zbliżały się, Budda aż wstrzymał oddech, palec położył na spuście. Za każdym razem, kiedy dzieje się coś podobnego, człowiek myśli: jestem gotowy, przyjmę niespodziewane i niebezpieczne na chłodno – ale nie, nieprawda. Nerwów nikt nie da rady kontrolować.

Kiedy z mroku buchnęła żywa, przelewająca się masa, Budda ledwie powstrzymał krzyk. Kule uderzyły w pędzącą po schodach falę, rwąc chude ciała, pazurzaste łapki i zębate mordki mieszkańców mroku.

Tuszkany pędziły przed siebie, niebaczące strat wśród pobratymców, tratując i zalewając ich kolejnymi falami wyłaniających się z podziemia mutantów. Stworki chlusnęły na Buddę, fala sięgnęła mu niemalże do pasa, omywając nogi, skręciła ku oknu i znikła na dworze.

Zatoczył się i oparł o ścianę, ratując przed upadkiem.

Doszedł do siebie dopiero, kiedy z piwnicy rozległy się wołania.

– Budda! E, Budda, żyjesz? – darł się Bosman. – Nie strzelaj, to my! Wychodzimy! E, słyszysz mnie, kolego? Odezwij się!

Na cokolwiek miękkich nogach Budda podszedł do zejścia, przełknął ślinę.

– Słyszę! Wychodźcie! – krzyknął w ciemność.

Najemnicy wspięli się powoli, zapewne w obawie, że Budda ze zdenerwowania da ognia. Bosman poklepał go po ramieniu, przechodząc obok.

– Co, nerwy puszczają? Zdarza się.

– Nie no, w porządku jest...

– Już nie gadaj, „w porządku”! Cały magazynek wywaliłeś.

– Aha. A ty niby lepszy?

Napięcie w końcu schodziło, obydwaj uśmiechnęli się... A potem zahuczały karabiny od strony wjazdu – fala tuszkanów dobiegła aż tam. Serdiukow, wciąż klnąc pod nosem, sięgnął do swojego PDA, żeby zameldować, co i jak. Potem powiedział:

– Napisałem, żeby wjeżdżali. Budda, weź im wyjdź pomachaj, niech tutaj się kierują. Bosman, wentylacja tam jest?

– Chyba tak...

– Niech Kazbek ze sobą dziczyznę złapie. Po co ma dobro się zmarnować? Prowadź ich na dół, niech biorą światło, żarcie... A my się jeszcze rozejrzemy.

Ciężarówki wjechały, Budda pokazał kierowcy: tutaj, tutaj parkujcie! Samochody stanęły, najemnicy zaczęli uderzać dłońmi o burty na znak, że trzeba wysiadać.

Kałuża i Kazbek zaczęli wydawać polecenia: wyładować wodę, wziąć jedzenie, zabrać kilka reflektorów na stojakach, akumulatory... Budda przeszedł się wzdłuż kolumny, puścił oczko do Żeńki. Ponura, ciężka cisza na chwilę zniknęła, teraz echem między budynkami rozlegały się rozmowy, zgrzytanie butów po szkłe, skrzypienie skrzyń. Nawet i sam kompleks nie wyglądał już na tak wrogi.

Budda wiedział, w każdym razie przypuszczał, co może kryć się w takich miejscach, więc nie tracił czujności. Dla „braci i siostry” to był po prostu kolejny przystanek, może nieco dłuższy i inny niż poprzednie.

Radosny nastrój prysnął, gdy znów zadudnił karabin, posypało się szkło. „Turyści” rzucili się z powrotem ku ciężarówkom, przyzwyczajeni, żeby traktować je jako schronienie. Strzelał Kałuża, zadzierając karabin wysoko w górę i śląc kulę za kulą w ciemny, kanciasty kształt, wślizgujący się właśnie z dachu przez okno do jednego z pomieszczeń. Pociski szarpały istotę, na wszystkie strony leciały oderwane kawałki, ale ta jakby nie zauważała tego – aż zniknęła w otworze na dobre. Budda nawet nie zdążył wycelować, nad krawędzią dachu od razu pojawiła się jeszcze jedna głowa, pobłyskująca okularami maski. Tym razem stalker poderwał karabin, ale snork od razu się schował.

– Kałuża, widziałeś? Tam, na dachu...!

Na piętrze błysnęło, huknęło – ktoś strzelał równo, miarowo, krótkimi seriami.

– Widziałem! Kazbek, Budda, prowadźcie cywili do podziemia. Lewak, ty z nimi, Chrom, idziesz ze mną sprawdzić.

Dwaj najemnicy wbiegli do budynku. Budda zastanowił się chwilę, w końcu kazał pasażerom, żeby zabrali ze sobą ciało wcześniej zabitego. Emisja idzie, lepiej, żeby nie okazało się, że po wszystkim weźmie i wstanie z martwych jako żywy trup. Żeńka wysunęła się z samochodu dowodzenia, za nią wysiedli ojciec, Innocenty i doktor Zotow, eskortujący sapiącego ciężko Poruszczyka. Ten wyglądał wybitnie słabo, cały zlany potem, blady, ledwie szedł o własnych siłach.

– Za mną! – Budda machnął ręką, ruszając ku piwnicy.
– Broń w pogotowiu, ale nie machać, nie strzelać bez rozkazu! Żeby mi któryś w plecy nie, uch wy...! Nie spieszyć się, teraz za mną, spokojnie idziecie do podziemia. Teraz schody... Żenia, nie pchaj się, proszę. Przygotujcie latarki.

Turyści karnie, gęsiego zleźli do piwnicy, prowadzeni przez swego przewodnika. Stopnie były upačkane krwią, tu i tam leżało kilka rozdeptanych truchełek tuszkanów, które Budda po prostu spychał butem na bok. Jeden ciąg, półpiętro, drugi, i byli już na dole. Budda poświecił latarką, zaraz za nim sapnęła Żenia, też włączając swoją.

Stali w długim na dobre dwadzieścia metrów pomieszczeniu. Wzdłuż ścian ciągnęły się rury, farba była nawet w niezłym stanie, wszystko wyglądało jako tako. Tylko te martwe mutanty na podłodze, które

wszyscy obchodzili łukiem... W następnej ścianie tkwiły drzwi, prowadzące do kolejnych części piwnicy. W miarę jak do środka schodziło coraz więcej ludzi, zdawało się ono maleć, napełniło się światłem, ściszonymi głosami i ruchem.

Budda podszedł do drzwi, już chciał sięgnąć i sprawdzić, czy są zamknięte – kiedy nagle ktoś załomotał w nie z drugiej strony! Budda odskoczył w tył, podnosząc karabin, ale wtedy rozległ się stłumiony, dudniący przez blachę głos:

– Ej, Kazbek, Budda! Jest tam kto? Otwórzcie!

– Serdiukow – rozpoznał dowódcę Kazbek, wyminął Budę i odsunął zasuwę.

Najemnicy, dopiero co sprawdzający górne piętra, weszli do podziemia. Bosman wspierał się ciężko na ramieniu Chroma, utykając na zabandażowaną nogę. Przy pasie Serdiukowa wisiały trzy pary urżniętych stóp snorków.

– Drugie zejście do piwnicy czyste – oznajmił Serdiukow. – Snorki przegnaliśmy.

– Jeszcze jeden na dachu był – zauważył Budda.

– Był.

Stadko Biskupa zaczęło roztasowywać się w piwnicy. Wnieśli zabitego, ułożyli w kącie pod ścianą, z niemałym trudem zwlekli na dół lecącego przez ręce Poruszczyka. Ustawili akumulatory, podłączyli skierowane w górę lampy. W jasnym oświetleniu sufit, pokryty odchodzącym tynkiem i plamami pleśni, wyglądał wyjątkowo nieprzyjemnie... Budda po raz kolejny nie mógł nadziwić się zachowaniu podopiecznych szefa sekty. Ludzie oczywiście nie do końca rozumieli powagę

sytuacji, ale przecież byli w Zonie! Dopiero co na ich oczach zginął człowiek, budynek zaledwie przez chwilę oczyszczono z mutantów, a ci zachowują się spokojnie, jakby na piknik przyjechali!

– Tutaj przeczekujemy emisję – głośno odezwał się Serdiukow. Wszyscy umilkli, słuchając najemnika. – Drzwi zostają zamknięte. Zawsze ktoś z moich ludzi będzie w pobliżu. Cokolwiek macie, zwracacie się z tym do nas. Samemu nigdzie nie chodzić, nie przejawiać inicjatywy. Niech was ręka Gospodarzy broni otwierać zamknięte drzwi, grzebać w kratkach wentylacyjnych czy cokolwiek w tym rodzaju. Siedzieć, czekać. My będziemy obok, postaramy się przygotować mięso. Pytania?

– A czym jest emisja? – zapytała któraś z owieczek.

– Fala anomalnej aktywności. W dużym skrócie: czujesz się jak gówno, masz ochotę umrzeć, na dworze umierasz w męczarniach. Na szczęście nie trwa długo, w piwnicy bez okien da się przeczekać. Jeszcze coś?

– Tak. Skąd się tutaj wzięły tuszkany? – odezwał się Budda. – Przecież nie miały co żreć, a drzwi pozamykane.

Serdiukow wzruszył ramionami.

– Może właśnie wtedy przyszły, kto wie. Dopiero z Bosmanem weszliśmy, a one na schody się rzuciły, sam widziałeś... Drzwi były uchylone, my zamknęliśmy.

– Jasne.

– Korzystając z tej chwili wytchnienia, uczcijmy pamięć naszego towarzysza – powiedział Poruszczyk. – Brata naszego, Aleksieja Iwanowicza. Człowieka światłego i dobrego serca, prawdziwej pokory...

Biskup umościł się pod ścianą na plecaku, który wcześniej przywłókł i z głuchym łomotem zrzucił na podłogę Innocenty. Budda zauważył już wcześniej, że w środku było coś wyjątkowo ciężkiego i kanciastego – przenośny sejf?

Wiktor Terentiewicz mówił krótkimi, rwanymi zdaniami, jak gdyby na ciągłym bezdechu. Widać było, że się męczy, ale twardo dopełniał swoich obowiązków... Starał się mówić od serca, z uczuciem, a im bardziej się starał, tym bardziej Budda był pewien, że to wszystko teatrzyk.

W pomieszczeniu został tylko jeden najemnik, Chrom, który usiadł przy drzwiach i opuścił głowę na piersi, chyba drzemiąc. Budda przeniósł się w dalszy koniec, gdzie było cicho i spokojniej – ani się obejrzał, jak obok usiadła Żeńka. Wszyscy zajęci byli modlitwą nad zabitym, nikt się na nią nawet nie obejrzał.

– Nie nagrabisz sobie przeze mnie?

– E tam. Już cały wykład miałam, jak to każdy stalker jest złodziejem i mordercą, a ja mam się z miejscowymi nadmiernie nie spoufalać. Cały czas... ojoj, a to co?

Monotonne mamrotanie Poruszczonego urwało się, ktoś skoczył z miejsca, zawołał coś. Budda też wstał, widząc, że Biskup przewraca się na swoim siedzeniu, a Innocenty usiłuje go podtrzymać. Wszyscy zaczęli wstawać, cisnąć się, próbować pomóc. Potem ktoś zajęczał głośno, za nim ktoś jeszcze, i kolejny...

– Co jest? – zdziwiła się Żeńka, chwytając Buddę za rękaw kombinezonu.

– Emisja się zaczęła, a oni przy drzwiach siedzą. Sama zaraz poczujesz.

Budda już czuł. Tak, zaczęło się. Głowę ścisnęło, płuca walczyły o oddech, człowiek miał ochotę osunąć się na podłogę i rozpląnąć w miękką kaszę. Całe ciało zdawało się drzeć, czując szalejący na zewnątrz Gniew Sarkofagu... Gdzieś z tyłu głowy narastał huk, niczym zbliżającego się pociągu, czaszka wibrowała jak przy borowaniu zębów grubym wiertłem, wraz z nią w rezonans wpadał kręgosłup, kości nóg, podeszwy butów, podłoga i cały świat, aż ku filarom Ziemi, do jądra planety.

Żenka zajęczała: „Mamo, mamusiu...” i osunęła się na Buddę, próbując chwycić się pasków jego wyposażenia. Budda złapał ją w pól, ale sam ledwie się trzymał, palce nie chciały go słuchać.

– Żenia! – krzyknął Klincow, ruszył ku mdlejącej córce, lecz rymsnął na kolana, zgiął się i ścisnął głowę dłońmi. Ktoś wył, ktoś śmiał się, inny wykrzykiwał słowa modlitwy. Budda ledwo stał na nogach, czując, jak zbiera mu się na rzyganie. Emisja dopiero gromadziła siły, najgorsze było jeszcze przed nimi.



Ignac na szybko opatrzył rany, wstał i ruszył przez las.

Sytuacja była, delikatnie rzecz ujmując, parszywa. Wolność wykopała topór wojenny, a jako że ich patrole przeczesywały okolicę, to droga na terytorium Powinności była dla niego zamknięta. PDA szlag trafił, więc stalker czuł się jak bez ręki. Karabin przepadł, plecak zgubił... Chociaż pistolet mu został, to już coś. Ale bez detektora anomalii i chociażby papierowej mapy

Ignac po prostu nie umiał chodzić po Zonie! Gadali, że pierwsi stalkerzy podobno dawali sobie radę tylko na śrubkach, bez łączności, kiedy elektronika jeszcze nie umiała oszukać Zony... Ale to było wtedy, a teraz jest teraz!

Szedł powoli, patrząc uważnie pod nogi i wsłuchując w wiszącą wokół ciszę. A cicho było strasznie, aż przejmująco. Minęła godzina, głowa wciąż bolała... Potem przyuważył trzy „elektry”, strzelające wyładowaniami koło na wprost zgniętego, poczerniałego słupa. Coś było z nimi nie tak – wyglądały inaczej, jakoś... Potem zrozumiał, że słabiuszkie były, małe i wątle. Jak palnik gazowy ledwo ledwo podający ogienek. I iskry nie takie znów jaskrawe.

A może to jemu przed oczami ciemniało z bólu?

Z odmętów pamięci wypłynęło: stalkerzy w Stu Radach często opowiadali, że przed emisją anomalie słabną, jakby Zona wysysała z nich energię, zbierając siły przed uderzeniem. Sam Ignac był szczególnie wrażliwy na emisje, trzymał się o wiele lepiej od pozostałych. „Anomalnie upośledzony” – jak to określili kiedyś barman. I teraz wszystko to nagle się złożyło w całość: słabe anomalie, boląca głowa, te dziwne odczucia, które on uznał za skutki traumy i stresu. Emisja idzie...!

Czyli trzeba się gdzieś schować.

Popatrzył na słup. Nieco dalej w krzakach stał kolejny, i jeszcze jeden. Jeśli jest linia elektryczna, to musiała skądś i dokądś prowadzić. Tylko gdzie pójść, w prawo czy w lewo? W końcu ruszył tam, gdzie lasek był gęstszy, aby zapewnić sobie ukrycie na wypadek pojawienia się

kolejnego patrolu Wolności.

Poszedł w prawo i wkrótce dotarł do asfaltu. Droga, może i marna, ale też musiała dokądś bieć... Nawet poczuł, jak wraca mu część pewności siebie.

Padał deszcz, na mokrym asfalcie robiły się kałuże. Tu i ówdzie woda zwijała się w spirale albo spływała po niewidocznych wycinkach sfer anomalii. Rzeczywiście, nawet teraz nie spieszyło im się, aby rozładowywać się od zebranej wilgoci, jak to zazwyczaj miało miejsce. Ignac pokręcił głową, przyspieszył kroku, skoro twory Zony nie miały sił, to trzeba się było spieszyć. Faktycznie emisja musiała być już niedaleko.

Droga wyprowadziła go na szczyt pagórka, z którego widać było już wieś, liczącą może kilkanaście opuszczonych domków. Ignac nawet uśmiechnął się sam do siebie. O, teraz już na pewno znajdzie odpowiednią piwniczkę, żeby przeczekać! Był już niemalże przy pierwszych opłotkach, kiedy spomiędzy chmur zaczął donosić się ciężki, dudniący huk. Głowa od razu odezwała się bólem, żołądek stanął dęba, nogi aż się ugięły... Miał ochotę lec na mokrym asfalcie i czekać na śmierć, ale wziął się w garść, już niedaleko!

Po pierwszym domu została tylko sterta cegieł i pogięta blacha, więc Ignac powłókł się ku następnemu. Deszcz po prostu się urwał, w powietrzu zawisła szara, ciepła mgiełka, kłębiąca się i układająca w przedziwne kształty. Pasma wiły się wokół nagich drzew, wpływały w puste prostokąty otworów okiennych...

Ignac wtoczył się do chatki, minął sień i przeczłapał do izby. Pod nogami przeraźliwie trzeszczały i łomotały porozsychane deski, ale on nawet tego nie słyszał!

Wszystko zagłuszał wwiercający się w głowę pisk, jak gdyby dzwoniła sama cisza, płynąca przez wymarły podwórzec. W końcu znalazł piwniczkę, niczym w zwolnionym tempie nachylił się nad klapę, po trzeciej próbie złapał za uchwyt. Pociągnął, mając wrażenie, że deski zalane są smołą, a zrobione z ołowiu...

W końcu dał radę jakoś zleźć na dół po krzywej drabince, zamknął za sobą klapę. Od razu zrobiło się lżej, zasnuwająca wzrok szkarłatna mgła zrzędła. Ignac odwrócił się – i zobaczył przed sobą dwie czarne dziury luf obrzyna.

Nie był sam. Dwóch typów w czarnych kurtkach mierzyło mu prosto w twarz. Niegolone gęby krzywiły się w drżącym świetle latarki.

– Szczaw, no weź popacz – wyszczerzył się ten z dwururką. – Emisja przyszła... normalnie emisja obligacji skarbowych!

Ten drugi, solidny i zwalisty, obrzucił Ignaca fachowym spojrzeniem.

– No, niezły utarg. Szkoda, że mało ma przy sobie. Ziomek, chabar masz?

Bandydzi starali się wyglądać groźnie, ale obydwu też konkretnie muliło – emisja zaczęła się na całego, Zona włąziła ludziom do głów wszystkimi otworami. Obydwaj na zmianę to bledli, to pąsowieli, śrutówka tańczyła Ignacowi przed twarzą.

Stalker odezwał się, próbując mówić jak najbardziej żałośnie:

– Chłopaki, nie strzelajcie, błagam...! Ja wam wszystko oddam, bierzcie! Pistolet tylko mam! Powiem, gdzie chabar, dam koordynaty, wytłumaczę. Ja wszystko

w skrytkach mam, pochowałem, żeby przed emisją zdążyć...

Żaloszność wyszła zupełnie naturalnie, bo i czuł się absolutnie parszywie i ledwie stał na nogach, mimo że emisja nie oddziaływała na niego aż tak mocno. Ostrożnie odpiął kaburę trzęsącymi się rękami, dwoma palcami wyjął pistolet, ujął rękojeścią do przodu i podał... Stojący dalej bandzior opuścił nieco pistolet, zrobił krok bliżej, żeby zabrać mu broń. Ignac też zrobił krok w jego stronę, drugą ręką chwycił za lufę strzelbę tego niższego i szarpnął w górę, jednocześnie zacisnął dłoń na pistolecie, zamachnął się i trzasnął drugiego między oczy. Ten zachwiał się, machinalnie ściągnął spust – huknął wystrzał, z sufitu posypał się tynk i kurz. Ignac zadał pierwszemu krótki cios w podbródek, ten nakrył się nogami, zostawiając broń w ręku stalkera.

Ignac rzucił się na drugiego, wzniósł nad głową gorącą dwururkę i walnął od góry, jak maczugą, posyłając przeciwnika na ziemię. Szybki ruch, ręka zaciska się na leżącym na ziemi pistolecie.

Bezpiecznik, cel, strzał. Zmiana pozycji, cel, strzał w drugiego.

Wyprostował się, dysząc ciężko. Popatrzył na dwa trupy. Przymknął oczy i po prostu zemdlął.

Rozdział 10

Tolik słabo pamiętał moment, kiedy skończyła się emisja. Na pewno trochę go zdążyło podsmażyć, potem jeszcze wpadł do piwnicy, walnął o coś głową... Na potylicy wymacał guza, więc pierwszym, co poczuł, był właśnie ból. Niby normalne po emisji, a jednak... Aż zajęczał cicho.

Nie, o tej części na pewno Buddzie nie opowie. Gruby na pewno by go wyśmiał, powiedział, że głowy nie szkoda, bo i tak mało jej Tolik używa. Zresztą co tu ukrywać? Taka prawda.

Poleżał jeszcze trochę w piwniczce, zbierając i porządkując myśli. W końcu dotarł do tej właściwej: no tak, trzeba się stąd wydostać... Do dziury, przez którą wpadało światło, były ze dwa metry. Niby nie aż tak wysoko, a wdrapać się nie da... Podniósł się z niemałym trudem, zaczął ściągać pod ścianę, co tylko dał radę znaleźć: deski, kawałki jakichś metalowych konstrukcji, puszki, tynk... Wszystko jak leci.

W końcu zdołał wygramolić się na zewnątrz, odetchnął świeżym powietrzem. Słońce miało się już ku zachodowi, nad lasem powoli, leniwie płynęły sobie podświetlone pomarańczem chmurki, pomiędzy nimi

błyszczało oślepiająco błękitne niebo. Tylko w Zonie zdarzały się takie kolory i odcienie, to nawet Tolik już zauważył... Tylko że o kolorach świata nigdy nie było czasu pomyśleć. Ani tutaj, ani na Dużej Ziemi.

Wieczór może i piękny, ale zaraz zapadnie noc. Do piwnicy przecież nie wróci, więc trzeba znaleźć coś innego, żeby tam przeczekać. Włączył PDA, żeby sprawdzić mapę – o proszę, poczta przyszła. Mail od Buddy, nawet dwa.

„Tolik, co tam? Emisję przeżyłeś? Idziemy w kierunku Śnieżynki, więc mnie nie szukaj, tylko tam pedału. Jestem razem z dużą grupą. Że niby ekspedycja, ale banda frajerów tak naprawdę. Pierwszy raz w Zonie, pełny nieogar. Kontrolera szukają, debile. Poprowadzę ich do tamtego, co nas poszarpał. Ich szef ma kasy jak lodu, ale niełatwo go podejść. Ja niby się wkręciłem do nich, ale trzeba uważać, bo towarzystwo szemrane i pewnie na miękko by potrafili łeb ukręcić. Najemnicy w ochronie, sześciu. Sam się między nich nie pchaj, czekaj na wiadomość ode mnie. Gila odwiedź, gościnnie ci zostawię”.

Tolik nie do końca zrozumiał całość, ale główną ideę pojął: iść do Gila, czekać na wiadomość. To były dla niego jasne, konkretne wytyczne.

Drugi mail był jeszcze dziwniejszy. „Tolik. Pewnie mnie nie zrozumiesz, ale... co za dziewczyna! Co za wspaniała, cudowna dziewczyna! Żenia ma na imię”. I tyle.

Tak, tego rzeczywiście nie zrozumiał. Albo może inaczej: słowo „dziewczyna” nie funkcjonowało jako takie w leksykonie Skrzypka. Były laski, towary,

blachary, panny – ale nie dziewczyny. To znaczy znał takie słowo, wiedział, że istnieje. Podobnie jak „akredytacja”, „humanitarny”, „recesja” albo „zaaranżować”. Bywało, że je słyszał i nawet domyślał się, co znaczą, ale sam nigdy nie miał potrzeby używać. I tutaj nagle: „dziewczyna”. Widać było, że i Buddzie musiała emisja dać się we znaki...

Sprawdził obrzyn, dociągnął paski i ruszył na północ. Budda jakoś niedawno dywagował na temat tego, co dzieje się po emisji – że niby od strony CzAES wałę wtedy falami mutanty; nawet jakąś mądrą teorię pod to podpisał, że niby Zona uzupełnia stwory tam, gdzie ich brakuje, więc im więcej ich wybijać, tym częściej będą emisje. Pokazywał przy tym na mapie trasy, którymi jego zdaniem mogą te stada stworów walić, i teraz Tolik starał się przypomnieć sobie, jak miały one rzekomo przebiegać.

O ile Budda się nie mylił, rzecz jasna. Ale nie, raczej nie. Nie powinien... tyle przecież mądrych słów znał, i wstawiał je to tu, to tam, od niechcienia. Jaki miałoby to sens, żeby miał mówić tak mądrze, ale się przy tym mylić? No żadnego.

Zanim nadszedł zmrok, Skrzypek zdążył odejść trzy albo cztery kilometry, nie więcej – anomalii po emisji było jak grzybów po deszczu. Skądś z daleka, od południa, rozległ się echem daleki łomot, trzask, wycia i ryki – to mutanty ruszyły w swój dziki gon. Tolik ucieszył się. Ot, jaki Budda był mądry, jak się na Zonie znał! Włączył latarkę, idąc zwawym krokiem. Spać się nie chciało, po niedawnej emisji jakby i sił było więcej.

Las przerzedził się, w końcu zamienił w mizerny

zagajnik, a potem Tolik wyszedł na zalaną światłem księżycą równinę. Mokra trawa błyszczała pięknie, a przecinająca łąkę gruntowa droga zdawała się wręcz szorstka i matowa. Hm, droga... Idąca dokładnie w poprzek marszruty.

Zerknął na PDA. Do Śnieżynki musiałyby iść na północ-północ-zachód. Ale jeśli skręci teraz na drogę, to ona doprowadzi go do asfaltu, a potem już prosto do celu...

Tolik był chłopakiem z miasta. No, z miasteczka, ale w każdym razie wolał pod butem czuć asfalt niż trawę. Dlatego też, niewiele myśląc, zdecydował – pójdzie drogą. Może i nadłoży kilometr, dwa, ale przynajmniej po prostej.



Doświadczenie i nawyki to jednak bardzo ważna rzecz. Budda ocknął się, kiedy większa część członków ekspedycji jeszcze leżała jak kłody. Odczucia powracały stopniowo, jak zwykle poprzedzone bólem głowy... I jeszcze brzuch bolał. I ręce, którymi kurczowo przyciskał do siebie wciąż nieprzytomną Żeńkę.

Przed samą twarzą miał jej puszyste blond włosy z wyraźnymi błękitnymi pasmami, z których pomimo dwóch myć nie zeszła farba.

Budda ostrożnie, powoli wyciągnął przed siebie jedną rękę i popatrzył na ekran PDA. Minęła ponad godzina. Dziewczyna zajęczała przez zaciśnięte zęby.

– Co?

– M-mh-mm...

A potem Żenia poruszyła się i zupełnie wyraźnie

powiedziała:

– W dupę se wsadźcie ten helikopter!

Kilka osób zaczynało też dawać oznaki życia, ale ich ruchy były na tyle nieskoordynowane, że trudno było powiedzieć, że są świadomi tego, co się wokół dzieje. Jako pierwszy usiadł Chrom, rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem i podciągnął bliżej siebie karabin.

Najlepiej chyba trzymał się doktor Zotow, osobisty lekarz przewodniczącego wspólnoty religijnej, który klęczał teraz nad swoim pacjentem, lewą ręką masując skronie, a prawą sprawdzając puls Wiktora Terentiewicza. Sam Biskup leżał na ziemi i chyba ledwie dychał, pierś unosiła się słabo... Potem Budda poczuł zapach dymiącego drewna.

Nie miał ochoty nie tylko wstawać, ale nawet się poruszyć... Jednak trzeba było. Delikatnie potrząsnął Żeńkę za ramię.

– Ej, jak się trzymasz?

Cisza. Budda zdecydował, że chyba nic się jednak nie stanie, jeśli chwilkę tak posiedzi, trzymając dziewczynę na kolanach.

Kilka minut później jednak doszedł do wniosku, że pora napisać do Tolika. Dowiedzieć się, jak tamten przetrwał emisję, i w ogóle opowiedzieć, co słyhać. Nastukał krótką wiadomość... potem pomyślał, uśmiechnął się i dopisał jeszcze parę zdań. A co! Niech się z niego Tolik śmieje nawet, ale Buddę aż nosiło z radości. Nie mógł się nie podzielić.

Z sąsiedniego pomieszczenia słyhać było głosy – najemnicy rozmawiali spokojnie, do zapachu dymu

dołączyła nutka pieczonego na ogniu mięsa. Widać, że tamci nie tracili ani chwili i przystąpili do szykowania dziczyzny.

Kwadrans później w piwnicy zaczął się ruch, w miarę jak kolejni ludzie dochodzili do siebie. W końcu ruszyła się też Żeńka.

– Jak się czujesz? – raz jeszcze spytał Budda.

– Nijak – odburknęła zupełnie szczerze Żenia. – Absolutnie nijak. Oj... mamoo...

Spróbowała się podnieść, ale haniebnie klapnęła z powrotem. Budda pomógł, posadził ją obok siebie pod ścianą. Przykazał, żeby się nie wysilała, a sam polazł do najemników. Ci wyglądali o wiele lepiej niż „turyści”, tylko Bosman leżał bez ruchu, odwrócony twarzą do ściany.

– O, ktoś doszedł do siebie! – przywitał Buddę Serdiukow. – Jak tam nasi zakonnicy?

– Nijak póki co – Budda powtórzył odpowiedź Żenki. – Pół godziny i powstaną z popiołów.

– No to akurat w międzyczasie wrzucimy coś na ząb. Na kabana reflektujesz?

– Nie wiem, jak wy zreć możecie teraz. – Budda pokręcił głową. – Ludzie z żelaza normalnie.

– Nie to nie, więcej dla nas będzie. Chrom jak tam, w normie?

– Rusza się w każdym razie... Tyle widać.

– Kazbek, sprawdź Chroma i zmień przy drzwiach.

Budda wrócił do pierwszego pomieszczenia. Klincow już piastował swoją córunię, a Żeńka oganiała się od niego:

– Tato, nic mi nie jest, daj spokój...! Nie będę tych

twoich tabletek brać, i tak już mi niedobrze!

Kazbek przeszedł przez salę, widząc go, Chrom ożywił się.

– To co, ruszamy?

– Poczekaj, niech się cywile ogarną. Teraz ja tutaj popilnuję, ty idź, bo tam już mięso dochodzi.

– A, faktycznie! Kaban z rusztu! – ucieszył się najemnik. – Tak mi się właśnie zdawało, że pieczonym pachnie.

Budda miał ochotę znów przysiąść obok Żenki, ale szczerze powiedziawszy, to krępował się przy Klincowie seniorze, więc tylko postął chwilę obok, udając, że robi coś zupełnie innego.

Członkowie ekspedycji powoli wracali do życia, zaczęli rozmawiać, łykali tabletki, rozdawane przez jednego z lekarzy.

Nagle piwnica wyczuwalnie drgnęła – miękko, bezgłośnie. Z sufitu posypała się pleśń i płaty farby, ludzie umilkli, przerażeni. „Bracia” patrzyli jeden na drugiego, nie wiedząc, co się dzieje i czy należy się obawiać.

– Budda. Co to było? – odezwała się Żenia.

– Pewnie sygnał, że pora się zbierać – mruknął gruby, sam niewiedzący lepiej od kogokolwiek innego, co to za kolejne dziwo.

Kolejny wstrząs, w pomieszczeniu obok zaszurały buty, przez drzwi buchnął kłęb dymu – to najemnicy pospiesznie zbierali swoje manatki i gasili ogień. Kazbek stanął przy schodach, podniósł rękę.

– Spokojnie, przygotować się, spakować. Bez paniki, zachować spokój...

Zachować spokoju się do końca nie udało, ludzie zaczęli tłoczyć się przy wyjściu. Najemnicy wyszli ze swego pomieszczenia, Chrom pomagał rannemu Bosmanowi, Lewak przeżuwał kawałek nie do końca przepieczzonego mięsa. Serdiukow krzyknął:

– W tył! W tył, odsunąć się, nie blokować...

Trzeci wstrząs był jeszcze silniejszy. Wrażenie było takie, jakby piwnica oddychała, po gładkiej podłodze przebiegło kilka pęknięć. I żadnego hałasu! Zero zgrzytu, nic, tylko ledwo słyszalny trzask pękającego betonu.

Chrom wziął się za kołowrót zamka, najemnicy odepchnęli „turystów” i przygotowali broń.

– Dawaj! – krzyknął Serdiukow.

Chrom zakręcił kołem i szarpnął drzwi, Serdiukow rzucił się po schodach, wystawiając przed sobą karabin. Za nim Kazbek, kolejny Chom... Reszta została na dole, nasłuchując. Znów coś poruszyło się miękko pod budynkiem, największe pęknięcie w podłodze wzbogaciło się o kilka odgałęzień.

Budda podszedł do Poruszczyka. Ten nadal nie był w stanie samodzielnie się poruszać, pod ramiona trzymali go Innocenty z lekarzem, przy czym ten pierwszy próbował jednocześnie narzucić na grzbiet plecak z ciężką skrzynią w środku.

– Daj, pomogę. – Budda wyciągnął rękę. – Doniosę do samochodu.

Innocenty zastanowił się chwilę, patrząc w spokojną twarz stalkera. Nie ufał mu, ale bardziej obawiał się wywołać podejrzenia, odmawiając tak oczywistej prośbie... Wreszcie zdecydował:

– Trzymaj.

Budda zarzucił ciężar na ramię, mruknął:

– Cegły tam nosisz czy co...

– Lekarstwa dla Wiktora Terentiewicza i sprzęt medyczny. Uważaj, proszę – ujmująco grzecznie odpowiedział sekretarz.

Tymczasem członkowie ekspedycji rozmontowali aparaturę, piwnicę znów spowił półmrok. W paśmie szarawego światła, padającego od strony schodów, pojawił się cień.

– Czysto! – krzyknął z góry Serdiukow. – Nie pchać się tam, pojedynczo na górę i od razu do wozów! Kierowcy pierwsi, Lewak, zamykasz tyły. Pilnuj tam... I trupa nie zapomnijcie!

Budda wspinał się zaraz za Innocentym, który uparcie popychał cielsko sapiącego ciężko szefa, co rusz zerkając przez ramię, jak tam Budda z plecakiem. A ten ostatni i wagą, i kształtem bardzo Buddę cieszył – na sto procent sejf! Teraz już doskonale wiedział, co będzie w tej nieszczęśliwie ciekawej kompanii dla niego najważniejsze. To jest, poza Żeńką.

Coś znów drgnęło pod podłogą, ale tym razem nie było to pojedyncze tąpnięcie, a bardziej dreszcz, narastająca wibracja. Ostatni uciekinierzy już wybiegali z piwnicy, ryknął odpalany silnik pierwszej ciężarówki.

Najemnicy stali przy samochodach, rozglądając się bacznie na boki. Budda poczekał, aż Poruszcuk zostanie wywindowany do pierwszego samochodu, podał Innocentemu ciężki plecak. Sejf, na pewno! Teraz czuł dokładnie przez materiał charakterystyczny kształt. Ludzie wskakiwali do ciężarówek, trupa i ранego Bosmana włączano od ostatniej, która teraz miała

jechać jako pierwsza – wyjazd wypadła tyłem, w odwrotnej kolejności.

Serdiukow i Chrom pobiegli naprzód, jako straż przednia. Przed emisją nie było tu anomalii, które teraz mogły się poprzesuwać albo po prostu pojawić... Ciężarówki powoli popęzły za nimi, siedzący w otwartych drzwiach wozu Bosman patrzył ponuro na budynki, ściskając w prawej ręce broń. Kolumna przejechała przez bramę, wykręciła, przeformowała się i ruszyła drogą z powrotem ku skrzyżowaniu.

Budda obejrzał się przez ramię. Porzucony obiekt za płotem wyglądał tak samo, jak przed Emisją, nie było widać ani śladu dziwnego ruchu pod posadzką piwnicy.

Deszcz ustał, zasnute chmurami niebo było nieruchome, jak namalowana na tekturze dekoracja. Gdzieś w oddali przetruchtała sfera ślepych psów, niezwracających nawet uwagi na intruzów. W końcu kolumna dotarła do rozjazdu i skręciła w bok, ku starej wsi. Serdiukow szedł przodem, pilnując drogi i badając anomalie; Budda słyszał, jak najemnicy klną i narzekają na „turystów” i „cywili”... Wozy kluczyły, cofały się, kręciły, ryczały silnikami, ale posuwały się naprzód. W końcu gruntówka doprowadziła ich do skrętu, wyjechali na asfalt.

Przy skrzyżowaniu leżały na hałdzie betonowe płyty, jakieś parabudowlane śmieci, pordzewiałe wiadra i kanistry. Serdiukow podniósł rękę, dając znak do zatrzymania. Innocenty wyrzwał przez drzwi.

– Coś się stało?

– Przekaż swoim, że mają obowiązkową przerwę na gimnastykę ze szpadlami. Tutaj pochowamy waszego,

miejsce dobre.

– Może do wieczora poczekajmy? Na postoju urządzimy nabożeństwo żałobne, żeby jakoś...

Serdiukow skrzywił się, splunął.

– Powiedziałem, że tutaj go zakopiesz, jasne? Kierowcy odpocząć muszą, a kawał drogi jeszcze został. I tak przed zmrokiem nie dojedziemy... Pół godziny z zegarkiem w ręku, czas start!

Innocenty niechętnie wygramolił się z ciężarówki, poszedł zwoływać pracowników. Budda po raz kolejny nie mógł się nadziwić. Tych ludzi nic nie wzruszało, wszystko przyjmowali, jak jest! Serdiukow wytłumaczył im, co i jak, przystąpili do pracy. Wykopali dziurę, ułożyli w niej zawinięte w plandekę ciało, przysypali ziemią. W ośmiu przeciągnęli betonową płytę, ułożyli na mogile.

Nawet sam Poruszczyk zdołał o własnych siłach wyjść z ciężarówki. Stał nad świeżym grobem, zaczął wygłaszać mowę. Tymczasem Żeńka, na chwilę zostawiona bez dozoru swych „opiekunów”, postanowiła narwać polnych kwiatów. Budda przewrócił oczami, ale bez słowa poszedł za nią... W końcu Wiktor Terentiewicz zakończył, u wezglowia płyty ustawiono kawałek betonu z wydrapanym imieniem i nazwiskiem pochowanego. Żeńka pociągnęła nosem, położyła bukiet na szarej, szorstkiej płycie.

– Do wozów! – zakomenderował Serdiukow. – Innocenty, słyszałeś? Miejsce sobie na PDA zaznacz, jakby... chociaż, szansa minimalna, żeby ktoś z was miał tu kiedyś wrócić.

Budda odprowadził Żenię do samochodu, szepnął półgłosem:

– Jeszcze ze trzy, cztery godziny jazdy, potem Śnieżynka. Mają tam obóz stalkerów.

– Już wolałabym piechotą iść. Z tobą najlepiej. Dość już mam tych... no, dość mam.

– Kazali mi się do ciebie nie przystawiać – pozalił się Budda. – I tobie też wysiąść nie pozwolą. Co wy tam robicie w środku przez tyle czasu?

– Ja osobiście cierpię. Porozmawiamy potem, dobra? Bo się wścieknę, jak zacznę mówić.

Innocenty zakasłał znacząco, stojąc już jedną nogą na schodkach, ani na chwilę nie spuszczał ich z oka. Żeńka zrozumiała w lot, warknęła: „No już, zaraz, chwila...”, rzuciła Buddzie ostatnie spojrzenie i schowała się do środka.

Kolumna znów ruszyła, wypełzła na asfaltową drogę. Było już pod wieczór, robiło się ciemnawo. Reflektory cięły szarzejący pejzaż białymi snopami, wyrrywając plamy rzeczywistości z nocnego półmroku. Serdiukow nakazał włączyć duży jupiter na dachu ciężarówki – Bosman zgłosił się na ochotnika, stwierdził, że tam sobie usiądzie. Do Śnieżynki było już niedaleko, więc Serdiukow chciał dojechać tam, zamiast robić kolejny postój w przysłowiowym środku niczego. Obsługujący światło Bosman najpierw bawił się reflektorem, kręcił to w lewo, to w prawo, meldował – ale potem znudził się i ucichł.

Budda szedł przy ostatniej ciężarówce. Chciało mu się już spać, nogi bolały... Kto to słyszał, żeby prawilny ziomek tyle chodził? Niby mógł się do samochodu wprosić, no ale właśnie, na pstrym koniu cudzej łaski też mu się nie uśmiechało jechać. Pewnie też najemnicy go

wyśmiejają... Szedł na autopilocie, rozglądając się odruchowo, i myślał tylko o Żeńce. No jaka to fajna dziewczyna! Los, to musiał być los, przeznaczenie, że do Zony ją rzuciło i akurat się spotkali. Przeznaczenie, jak nic! „Na wszystko jest pora” – tak to mówił Biskup? No tak! No więc teraz była właśnie ta pora!

Nagle w jego myśli wdarł się ryk Bosmana:

– Kabany z prawej!

Rzeczywiście, poprzez warkot silników przebijało się dudnienie i ryk biegnącego stada. Najemnicy skoczyli w prawo, żeby nie podpuścić mutantów do ciężarówek, Budda chciał ruszyć z nimi, ale Serdiukow złapał go za ramię.

– Budda, na lewo! Pilnuj tyłów...! Bosman, światła daj! Ruszaj tym reflektorem!

– Reflektor... granatnik by się przydał! – odkrzyknął tamten z góry, zamiatając snopem światła. Teraz wszyscy już widzieli pędzące wprost na nich stado.

Jako pierwszy dał ognia sam Bosman – może i przedwcześnie, ale widocznie znudził się już drogą. Ryczące mutanty gnały wprost na światło i dźwięk, najemnicy rozciągnęli się tyralierą, wyczekali jeszcze chwilę i dopiero dali ognia z granatników podlufowych. Fuknęło, huknęły rwące się pociski, ale wielkie czarnobylskie dziki przesadziły ścianę ognia i odłamków. Raptem dwa cielska poleciały na ziemię, od razu stratowane przez gnających w ślepej wściekłości pobratymców.

Najemnicy strzelali równo, długimi seriami, zmieniając tylko puste magazynki. Kabany padały jeden za drugim, ale kilka sztuk się przedarło. Jeden dzik

wskoczył między ciężarówki, Budda poderwał karabin, ale strzelić nie zdążył – Bosman wychylił się, puścił kilkanaście pocisków prosto w łeb zwierza. Kolejny stwór z rozpędu huknął w ścianę samochodu, w którym wrzasnęli głośno przerażeni pasażerowie i załomotały lecące z mocowań skrzynie.

Chrom nie zdążył przeładować, wyszarpnął z kabury pistolet. Wycelował i zdążył strzelić trzy razy, zanim ogromny kaban wpadł na niego, dosłownie rozsmarowując po asfalcie. Kałuża krzyknął wściekle, wypuścił stworowi długą serię w bok. Budda rzucił się do najemników, również dając ognia. Poranione stwory traciły impet, padały, krwawiąc z ran, biegnące z tyłu mutanty potykały się na rannych i konających pobratymcach, a wszystko to oświetlało upiornie białe światło reflektora.

Budda zajął miejsce Chroma, stojący na flankach najemnicy powoli ruszyli naprzód, polewając ołowiem wciąż próbujące pełznąć naprzód stwory.

– Stop, dość! Wstrzymać ogień! – krzyknął Serdiukow.

Karabiny umilkły, Budda od razu wycofał się na wyznaczone miejsce. Kto wie, może wkurzony stratą towarzysza Serdiukow obsobaczy go, że samowolnie porzucił stanowisko? Nie miał ochoty kłócić się z najemnikami, a teraz potrzebował ich przychylności – albo, w najlepszym razie, braku animozji.

Czuł, że cała ta dziwna historia zbliża się już do punktu kulminacyjnego.



Ignac ocknął się na podłodze w piwnicy, obok dwóch trupów. Wszystko wokół zalane było krwią, on też był pokryty od stóp do głów brązowymi, lepкими bryzgami.

Na czworaka podczołgał się do zbitego z desek stołu w rogu pomieszczenia, chwycił manierkę i pił tak długo, póki nie osuszył jej do dna. Wytarł mokrą twarz... dopiero teraz dał radę podnieść się na nogi i rozejrzeć. Sprawdził plecaki zabitych. Znalazł jeszcze wodę, pół butelki wódki, trochę jedzenia... Poczuł, jak burczy mu w brzuchu.

Zjadł i zapił wódką, nawet nie czując smaku. Zabrał jednemu z zabitych prymitywny PDA, napisał do barmana, modląc się, by ten odebrał wiadomość z nieznanego adresu: „Jest kilka komplikacji, komputer mi padł, piszę z cudzego. Wolnościowcy mnie rozpoznali, prowadzą jakąś swoją operację. Nie jestem w stanie działać swobodnie”. Odpowiedź przyszła od razu: „Koordynaty?”.

Ignac uśmiechnął się kwaśno, szef trzeźwo myślał. Dowolna informacja to towar, a przemieszczanie się oddziałów przeciwnika na pewno zainteresuje Powinność. Ignac? Phi. On był tylko nośnikiem. Sprawdził jednak mapę, skopiował dane miejsca; w tym czasie przyszedł kolejny mail: „Czyja to poczta? Nie odczyta?”. Ignac odpowiedział krótko: „Już nie”.

Barman więcej nie pisał, pewnie poszedł rozmawiać z szefostwem bazy, więc Ignac znów został sam. Gdyby miał teraz zawrócić do baru, to szef złego słowa by nie powiedział, ale... No właśnie, ale... przecież drogę na wschód blokowały patrole Wolności. Przeczekali emisję, znów wrócili na jego ślad; dla nich to rozrywka,

polowanie na grubego zwierza.

Nie było wyjścia, musiał odskoczyć w kierunku Ryżego Lasu i przeczekać. Jak dobrze pójdzie, barman poszczuje na jego prześladowców żołnierzy Powinności i wkrótce można będzie wracać do siebie.

Ignac zebrał broń po rabusiach, wychodząc na zewnątrz, narzucił na ramiona upačkany płaszcz. Żadne to wprawdzie maskowanie, ale przynajmniej nie od razu będzie rozpoznawalny.

Przez wieś przebiegała stara gruntówka. Nawet upływ czasu nie zatarł kolein, wciąż widocznych w trawie... A ile to już przecież lat, jak nikt tędy nie jeździ! Mimo to szlak wciąż się odznaczał, domy nadal stały. Ignac nie lubił takich miejsc, bo przeważnie gnieździło się w nich najprzeróżniejsze paskudztwo. Chociaż, skoro koczowali tutaj bandyci, to może było bezpiecznie? Tak czy inaczej, nie zamierzał zostawać we wsi dłużej niż to konieczne.

Droga prowadziła na północ, kluczyła pomiędzy pagórkami, aż wreszcie wyszła na równinę. W oddali przed nim widać już było wstęgę asfaltu, do której dochodziła dawna droga gruntowa. Robiło się ciemno, a on słabo znał tę okolicę i prawdę powiedziawszy, miał serce w przełyku... Dlatego kiedy w trawie po prawej coś zaszeleściło i odezwał się trzeszczący, wysoki głosik, niewiele myśląc, obrócił się i huknął z obrzyna. Śrut wyciął połąć chwastów, coś pisnęło, zacharczało i umilkło.

Ignac drżącymi rękami przeładował strzelbę i nawet nie sprawdzając, co takiego zabił, ruszył spiesznym krokiem dalej.

Dopiero przy asfalcie zatrzymał się, otarł pot z czoła

i włączył mapę. Ufff... No dobrze, dokąd teraz? Mógł niby skrócić w prawo, tam było widać jakieś budynki, poszukać miejsca na nocleg, ale... ale... Dopiero teraz poczuł, że wódka jednak weszła w nogi i w głowę, bo myśli płynęły nieskładnie, a on nijak nie mógł przypomnieć sobie, co takiego słyszał o porzuconym obiekcie. Że niby coś złego, że niebezpiecznie, tak? Ale co?

Zauważył ze zdziwieniem, że na drodze widać było ślady odklejonego od opon błota, ułożonego w wyraźny ślad bieżnika. No proszę, ktoś tędy jechał! I to, jeśli wierzyć śladom, od strony złowieszczych ruin. Czyli jednak był powód, żeby tam nie zostawać.

Zdecydował, że ruszy śladem samochodów. Nawet patrol Powinności coś mówił o jakiejś kolumnie wozów, warto było to sprawdzić.

Zrobiło się ciemno, a on wciąż szedł po śladzie. Potem wozy zjechały z asfaltu i znów ruszyły na przełaj. Ślad wyraźny, tylko ciężarówek jak nie było, tak nie było. Ignac domyślił się już, że jadą w kierunku Śnieżynki – no cóż, jemu to w sumie pasowało. Śnieżynka była miejscem relatywnie popularnym i w zasadzie neutralnym, tam go raczej Wolność nie ruszy, a może i trafi na ślad Spychacza. Tylko dlaczego ci samochodami po prostu nie staną na noc obozem?

Chyba że jest ich dużo i mają jakichś bezużytecznych naukowców, jak to się często zdarzało. Bo jeśli było ich dużo, to nie będą w pustym polu bezpieczni... A może właśnie będą? Jak to w końcu było, im więcej, tym lepiej, czy odwrotnie...? Alkohol wciąż z lekka mącił myśli, więc Ignac po prostu szedł.

Chmury nad głową zgęstniały, zaczął kropić deszcz. Wnosząc z mapy, zaraz znów miał wyjść na asfalt... Nogi bolały, brakowało już tchu. W końcu dowlókł się do drogi, usiadł ciężko na płycie, leżącej obok całej hałdy podobnych jej betonowych resztek niedokończonego zamysłu budowlańca. Uuufff, co za noc, co za dzień i jeszcze jedna noc...

Błysnęło, zagrzmiało – a w świetle błyskawicy Ignac zobaczył wyryty na stojącym obok kawałku betonu napis: „Tu spoczywa...”. Zerwał się jak oparzony, popatrzył na płytę, na której dopiero co siedział, tfu! Tfu, tfu, po trzykroć tfu! Na grobie usiadł, i to świeżym... I jeszcze jakiś debil kwiaty na nim położył! Z wściekłością kopnął bukiet, który poleciał gdzieś w trawę, splunął na ziemię. Wytarł ubłocone buty o płytę nagrobną i ruszył dalej, po drodze. Gdzieś w oddali wyły ślepe psy.

Co za pomysł, kwiaty w Zonie rwać i kłaść na grób! Zły był, i to nie dlatego nawet, że siedział na czyjejs mogile – ale dlatego, że były tam te kwiaty. Że ktoś zadał sobie trud, żeby nie tylko trupa zakopać, ale nawet wystawić nagrobek. Z imieniem i nazwiskiem, nie ksywą, i te kwiaty... A jakby on zdechł, to pies z kulawą nogą by po nim nie zapłakał.

Deszcz wzmógł się, a potem nagle ustał, jak nożem ucięty. W nagłej ciszy gdzieś daleko ponad szosą błysnęło światło, a za nim rozległy się serie z karabinów, w które wplatało się wściekle ryczenie kabanów.

Gdzieś tam, na drodze przed nim, wrzał bój.

Ignac posłuchał chwilę, wzruszył ramionami. Nie jego sprawa. Ktoś do kogoś strzela, ktoś się broni, ktoś pewnie

zginie... Ot, takie życie. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów. Wytrząsnął ostatniego, zastanowił się chwilę, ostatnich nie powinno się palić. Splunął na ziemię, wsunął papierosa w zęby, zmiął i wyrzucił paczkę. Durne przesady!

Pstryknął zapalniczką, przytknął ogienek do papierosa i zamarł.

W okręgu światła, rozsiewanego przez płomień, wyraźnie widać było bezoką mordę ślepego psa. Pies, jako się rzekło, nie miał czym ani jak – a mimo to Ignac czuł, że pies patrzy wprost na niego.

– Ty suczy synu... – warknął, sięgając po obrzyna.

Z ciemności wyłonił się jeszcze jeden pies. I jeszcze. I kolejny.

Ignac wypuścił z ust ledwie odpalonego papierosa, obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Rozdział 11

Tolik dreptał gruntówką, oświetlając drogę ledwo już świecącą latarką. Wokół panowała cisza, tylko deszcz szeleścił o liście i woda chlupała pod nogami. Z rzadka ten spokojny szum zakłócał sygnał detektora anomalii, więc stalker zwalniał i obchodził niebezpieczne miejsca bokiem – ale też nie miał się dokąd spieszyć.

To był jego pierwszy raz. Pierwsze prawdziwe wyjście w Zonę, gdzie był tylko on i Ona. Bez towarzyszy, bez przewodników, samodzielnie.

Mutantów nie było widać, zapewne wszystkie złączyły się w jedną falę, która popędziła dalej od centrum Zony, ku Kordonowi. Spać nawet mu się nie chciało, jak gdyby po emisji odżył wraz z otaczającą go nie-naturą. Ciekawe, czy omdlenie podczas emisji liczyło się jako głęboki, zdrowy sen...? Szedł więc i myślał nad słowami Buddy o swobodzie wyboru. Nieźle gadał jego ziomek, może czasami trochę za bardzo jak inteligencik, ale wychodziło mu to nawet do rzeczy.

Przy skrzyżowaniu, gdzie gruntówka łączyła się z asfaltem, Tolik przystanął. Światło latarki wyciągnęło z mroku stertę materiałów budowlanych, pokruszone

cegły, betonowe profile, pordzewiałe rury, drut... Jedna z płyt leżała osobno, a nad nią wznosił się betonowy słupek. Mogiła. O, nawet i napis jest.

Skrzypek podszedł bliżej. Całkiem niedawno kogoś chowali, ziemia jeszcze świeża. Wokół widać było zdeptaną trawę, ślady wygarniętej ziemi, odciski butów... Nie trzeba być tropicielem, żeby widzieć, że sporo ktoś sobie trudu zadał, by towarzysza pochować. Pewnie dobry człowiek musiał tamten być, nie tylko prawilny, ale i zwyczajnie porządny. Godny takiego pochówku, do którego nie dobiorą się padlinożercy Zony.

Dopiero teraz Tolik zauważył, że nie on pierwszy stanął nad grobem. Obok płyty, na asfalcie, leżały kwiaty, zupełnie świeżo zerwane... Nie było wiatru, więc same nie spadły. A na betonie widniała brudna, rozmazana smuga śladu po bucie.

Ci, co pochowali przyjaciela, postąpili dobrze – a tutaj jakaś gnida przechodziła, kopnęła bukiet. Gorzej niż zwierzę. O, i jeszcze buciory wytarła o płytę, jak o próg przy wyjściu z obory. Nieładnie tak postępować, nieprawilnie. Nie po ludzku. Martwych szanować to przecież rzecz święta. I znów przypomniał sobie, co Budda mówił: człowiek zawsze sam dokonuje wyboru, zawsze sam. Można zatrzymać się, dobrze pomyśleć o pochowanym, można po prostu przejść obok albo jak ten bydlak napaskudzić...

Nagle Tolik poczuł, że ktoś na niego patrzy. Zimne, błękitne oczy obserwowały każdy jego ruch, każdą decyzję, widziały myśli... Aż wzdrygnął się, potrząsnął głową. Schylił się, podniósł z ziemi i otrzepał z błota bukiet szarych jak sama Zona polnych kwiatów.

Położył na betonowej płycie, starł rękawem błoto.

Westchnął i powlókł się asfaltem na północ, ku Śnieżynce.

Szedł może z pół godziny, gdy usłyszał wycie ślepych psów. Sfora ewidentnie polowała, mutanty nawoływały się charakterystycznym, chichoczącym skowytem. Czyżby dogoniły tych, co przyszykowali mogiłę na skrzyżowaniu? Chociaż nie, pomyślał z mściwą satysfakcją, raczej tego cwela, co tak grobu nie uszanował. I dobrze mu tak. Na wszelki wypadek przygotował broń, ale wycie wkrótce ucichło...

...w zamian zaś rozległy się dalekie wystrzały. Cała kanonada, i światło błysnęło w oddali mocne, jasne. Wydawało mu się, że słyszy gniewne ryki, potem zadudniły detonacje, znów strzały – i ponownie cisza. Odczekał jeszcze, ruszył naprzód.

Dwa, trzy kilometry dalej na poboczu leżały martwe kabany – całe stado, kilkanaście sztuk! Na asfalcie wały się świeżo wystrzelone łuski, trawę znaczyły ślady racic i ciemne wyrwy po wybuchach granatów. Ktokolwiek tu był, raczej nie potrzebował jego pomocy. Znow w oddali rozległo się wycie psów i odgłosy wystrzałów.

Ciekawe miejsce, ciekawy czas, nie ma co.



Ledwie ścichła kanonada, Serdiukow zakrzyknął na ludzi:

– Lewak, Kałuża, Kazbek! Do roboty, migiem!

Ci od razu zrozumieli, pobiegli ku wciąż drgającym na hałdzie mutantom. Budda dopiero po chwili zorientował

się, że będą odcinać racice, dobry towar na wymianę... Jego myśli jednak biegły zupełnie innym torem. Zebrał się na odwagę, podszedł do Serdiukowa.

– Kierowniku, zbierajmy się stąd, co? Na zapach krwi zaraz tyle się wszystkiego tu zleci...

– Damy radę – warknął najemnik.

Innocenty, wychodzący właśnie z ciężarówki, musiał słyszeć ostatnie słowa Buddy, bo wtrącił się:

– Serdiukow, tracimy czas.

Budda przezornie odsunął się na bok.

– Ty tracisz, ja inwestuję. – Serdiukow zmierzył sekretarza chłodnym wzrokiem. – Powiedz lepiej swoim, że jak ktoś się na broni zna, to niech wleżą na dachy wozów i pilnują razem z nami.

Budda odsunął się jeszcze dalej, już żałując wykazania się inicjatywą. Innocenty przez chwilę wytrzymał spojrzenie najemnika, potem po prostu podszedł do ciężarówki, załomotał w burtę, przeszedł ku kolejnej. Kilku ludzi wysiadło, Innocenty wydał im z ostatniej ciężarówki broń – porządne, nowiutkie kałasze z kompozytowymi kolbami... Ciekawe, co jeszcze tam wiozą? Cały arsenał chyba!

Kilku ludzi wdrapało się na ciężarówki, tymczasem najemnicy po kolei sprawiali kabany: strzał kontrolny w łeb, racice z lewej, racice z prawej... Budda widział po minie Serdiukowa, że ten miał już i konwoju, i samego Innocentego powyżej uszu; chciał skompensować sobie straty moralne wymiernymi łupami. Najemnik w końcu odwrócił się ku ciężarówkom, popatrzył na siedzących z bronią „turystów”.

– Ani się ważcie strzelać bez rozkazu. Jasne? Nie

strzelać, nie pierdzieć, nic. Kto pierwszy spustu dotknie, osobiście palec złamię. Dopiero co człowieka przez was straciłem, więc uprzejmie proszę bardziej mnie nie wkurwiać. Jasne?!

Nikt nie odpowiedział, ale i Serdiukow na odpowiedź nie czekał. Przeszedł się wzdłuż kolumny, patrząc, jak snop światła z reflektora Bosmana omiata okolice. Nagle w świetle pojawiła się ruda plama. Ślepy pies wytruchtał z ciemności, zwabiony zapachem krwi. Bosman strzelił raz, mutant zaskowyczał, podskoczył i kulejąc, odbiegł w mrok. Szef najemników popatrzył tylko na strzelca, cmoknął z niezadowoleniem, ale groźby nie zrealizował.

Najemnicy zakończyli swój krwawy trud, załadowali do samochodu łupy. Pozbierali Chroma na tyle, na ile się dało, zapakowali do worka i wrzucili do chłodni. W końcu Serdiukow dał znak:

– Do wozów, ruchy! Ładować się i jazda!

Warknęły silniki, samochody ruszyły – ruszyli też zmęczeni, półżywi najemnicy, na których Serdiukow cały czas warczał, żeby mieli oczy dokoła głowy. Budda znalazł sobie miejsce w połowie długości kolumny i siedł przy ciężarówce, w myślach narzekając na niezaradnych towarzyszy. Gdyby był tu sam, to już dawno upatrzyłby miejscówkę na nocleg, przekąsił coś i walnął w kimono. A tyle chodzić? No to naprawdę przesada! Pasażerowie pewnie śpią, ukołysani w środku, w bezpiecznych, ciepłych wnętrzach. Serdiukow i jego ludzie zgarną sowite wynagrodzenie, a on? niesprawiedliwy, zły świat...

Powoli zaczynał zasypiać w marszu. W głowie kłębiły mu się bzdurne myśli, obrazy, urywki wspomnień

o wojnach jońskich, jakieś suche żarty Ślepego o misji naukowej doktora van de Meera... Co on tam bredził? Coś o zliczaniu aniołów w strzykawce czy jak? Aaa, no tak, bo ten naukowiec miał HIV-a, więc narkoman, więc się kłuł... Jakoś tak. I jakoś podobnie to było z tym całym Arystochernesem z rodu Perseusza, bo on też złożył córkę w ofierze aniołowi, który był kontrolerem, a ten kontroler wyglądał jak morski potwór, z którego paszczy Perseusz w skrzydlatych, ubłoconych glanach ratował Andromedę w farbującej na niebiesko czapeczce. A na wszystko to patrzył jeszcze ktoś, patrzył z mroku chłodnymi, błękitnymi jak te włosy oczami, podobnymi do ściętych krawędzi artefaktu. Patrzył, ale nic nie robił, bo obserwator nie ingeruje...

Z półdrzemki wyrwał Buddę syk powietrza, pisk i zgrzyt metalu – kierowca samochodu, jadącego na końcu kolumny nagle gwałtownie skręcił i wdepnął hamulec, maszyna aż zajęczała. Reszta wozów też zahamowała, rozległy się głosy zaniepokojonych szarpnięciem pasażerów. Bosman obrócił reflektor, zalewając ostatni samochód światłem.

Szczęknięły drzwi, Innocenty zeskoczył na mokry asfalt. Odebrał jeszcze ze środka karabin, drzwi się zamknęły.

– Co się dzieje?

– Pies! – zawołał kierowca, wychylając się przez okienko. – Pies pod koła mi wpadł!

– Jaki pies? – zdziwił się Budda, który ukucnął, żeby zajrzeć pod samochód. – Nie było żadnego psa...

Głośno łomocząc butami o asfalt, nadbiegł Serdiukow.

– Co jest, dlaczego stoimy?!

Kierowca powtórzył swoje, że pies. Spojrzał przy tym na Buddę, wyraźnie obrażony.

– Pies, mówię! Tyle lat za kółkiem, swoje się widzi i wie! Duży taki, kundel, kudłaty! Widać chory, bo place takie łyse miał...

Serdiukow zaklął paskudnie.

– Bosman, dawaj światło na prawą! – krzyknął Kazbek, idący wzdłuż drogi.

– Kazbek, widziałeś coś?

– Coś, coś... Dawaj światło, mówię!

Bosman po raz kolejny przekręcił reflektor, omiotł światłem łagodne zbocza pagórków.

– Coś tam jest! – zawołał Kazbek, spoglądający z nasypu w dół.

Budda ziewnął, wdrapał się na nasyp. Spóźnił się, bo dostrzegł tylko rozmazane sylwetki, wyskakujące poza obręb światła. Istot było kilka, trzy albo cztery, i teraz wbiegły za pagórek, tam, gdzie nie mógł ich sięgnąć promień reflektora.

– Żeby tylko nie czarnobylec, włochata suka jego mać... – zamruczał Kazbek. – I, nie daj Zono, ślepaki z nim. Słabo, słabo...

– Jedziemy dalej – zdecydował Serdiukow. – A ty tam, jak mutanta widzisz, to na gaz jeszcze! Jasne? Tym bardziej, jeśli miraż. O mirażach słyszałeś?

Innocenty wspiął się na stopień, zaczął tłumaczyć kierowcy, że pod koła rzuciła mu się iluzja, wygenerowana przez czarnobyłskiego psa. Potem zeskoczył na ziemię, kolumna powoli ruszyła dalej – sekretarz nie wrócił do swojego samochodu, tylko szedł nieco z tyłu za nim. Budda doskonale widział jego plecy,

upstrzone plamami kamuflażu.

Bosman kręcił reflektorem to w lewo, to w prawo. Snop światła prześlizgiwał się w poprzek drogi, omiatał krzaki i lśnił w kałużach. Budda otrząsnął się, zrzucając z siebie najgorszą, lepką senność. Teraz on też rozglądał się i nasłuchiwał, mimo że oczy nadal paliły zmęczeniem i cały czas chciało się ziewać. Poza tym wciąż miał to dziwne wrażenie, że ktoś na niego patrzy zimnym, jak gdyby mentolowym spojrzeniem. Emisja tak na niego wpłynęła czy co?

Nagle znów zawołał Bosman, Innocenty poderwał karabin i puścił krótką serię. Kierowca zamykającej ciężarówki po raz kolejny zakręcił kierownicą.

– Nie strzelać, do cholery! – wydarł się z daleka Serdiukow.

Ale Innocenty albo nie słyszał, albo nie słuchał, bo jego karabin znowu zaterkotał ogniem. Potem Budda też zauważył ruch – na poboczu drogi przesuwały się srebrzyste cienie, to chowające, to znów wyłaniające zza krzaków. Bosman co chwila przesuwał reflektor, w skaczącym świetle ciężko było określić, czy to tylko płaszące miraże, czy też prawdziwe mutanty, skradające ku kolumnie.

– Tutaj świeć! – krzyknął Kazbek. – Tam dalej! Jeszcze, z prawej bardziej!

Budda nie widział z drogi tego, co działo się za nasypem, ale w końcu Bosman dał radę oświetlić to, o co chodziło Kazbekowi, i ten puścił długą serię. Rozległ się skowyt psa, zaraz za nim odezwała się polifonią wycia cała sfora.

– Trafiłem! – rozległ się radosny okrzyk. – Jednego na

pewno!

Jeszcze dwaj najemnicy wbiegli na nasyp. Reflektor omiatał światłem okolicę, Kazbek zaczął wyjaśniać:

– Zauważyłem tylko, że stado jest. Z tuzin sztuk, i co najmniej dwa czarnobylce. Reszta ślepe psy.

– Niemożliwe. – Serdiukow splunął na ziemię. – Czarnobylce parami nie chodzą.

– No mówię przecież! Jednego zraniłem, reszta podała tyły.

– Może pobiegną zjeść nasze kabany? – wyraził przypuszczenie Serdiukow. – Jeśli widzą, że tutaj łatwo nie pójdzie, a tam zarcie pachnie. Dobra, nie ma co gadać, jedziemy!

Serdiukow zaczął schodzić z nasypu z powrotem na drogę. Widać było, że jest strasznie zmęczony, ledwo powłóczył nogami i nawet głos już mu się załamywał... Najemnik prawie już minął Innocentego, jednak zahamował, cofnął się o krok. Zajrzał tamtemu w twarz.

– Koles, a co ty tu robisz? Do samochodu, na jednej nodze!

– W porządku, przejdę się – spokojnie odpowiedział sekretarz. – Proszę bez nerwów, dam sobie radę.

Innocenty zacisnął dłoń na karabinie tak, że aż zbieleły mu kostki.

– Jakich nerwów? Z czym sobie poradzisz? Widziałem, jak sobie radzisz, pół magazynka w miraże puściłeś. Dobrze, że z wrażenia nie trafiłeś kogoś z moich.

– Poradzę sobie – twardo powtórzył Innocenty.

– „Poradzę, poradzę...” Jak dziecko, jedno i to samo... Z czym sobie, kurwa, poradzisz?! – Serdiukow nie wytrzymał, ostatnie słowa wręcz wykrzyczał tamtemu

w twarz. – Z czym, pytam się, sobie poradzisz, gnoju jeden?! Znowu do mirażu strzelisz, a ja w plecy przypadkiem dostanę? Won do samochodu!

Dwaj najemnicy podeszli, stanęli za Serdiukowem, zerkając wczekująco na dowódcę. Ten tylko podyszał chwilę, odcharknął, splunął na ziemię i machnął ręką.

– Chcesz, masz. Idź sobie piechotą. Chłopaki, jeśli ta gnida chociażby raz bez sensu da ognia, walić go bez rozkazu. Naprzód!

Kolumna po raz kolejny popełzła dalej. Wycie stada mutantów to cichło pomiędzy wzgórzami, to znów stawało się wyraźniejsze. Sfora nie atakowała, ale trzymała się w pobliżu. Niecały kwadrans później Budda obejrzał się, czy najemnicy aby nie patrzą na niego, ostrożnie zrównał się z Innocentym.

– Słuchaj, po co Serdiukowa wkurzasz? Ryzykujesz...

Innocenty spojrział na niego ciężko i szepnął:

– Żeby morale podnieść. Wiktor Terentiewicz kazał.

Budda tylko pokiwał głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W sumie racja, rozeźleni najemnicy nie będą czuć zmęczenia... ale Innocenty naprawdę stąpał po kruchym lodzie. Czyli Poruszczyk znał się na ludziach, wiedział, jak nimi zarządzać, potrafił ukierunkować emocje – tylko jego metody trąciły szaleństwem... Gdzie tam, trąciły! On sam trącony był, wariat, jak ta lala! Przecież Serdiukow mógłby równie dobrze sekretarzowi łeb ukręcić i nikt by mu teraz, w tej sytuacji, złego słowa nie powiedział.

Teraz nie. Potem – mniejsza wypłata? W końcu sam Wiktor Terentiewicz trzymał wszystkich w garści, szafując pieniędzmi. A może na odwrót, może to oni

jego? Co miałyby stanąć na drodze Serdiukowowi i jego najemnikom, gdyby postanowili po prostu siłą odebrać wynagrodzenie? No przecież, że nic. Chyba że znów coś... Zagrywka Innocentego wydawała się Buddzie aż nazbyt prymitywna, po raz kolejny dało się wyczuć, że pomiędzy członkami ekspedycji toczy się jeszcze jakaś inna, skryta gra.

– Ciekawe... – mruknął sam do siebie stalker. – A po co mi Cencik tak od serca mówi, że to Poruszczyk kazał z najmusami kłótnię rozkręcić? Tak mu się nagle smutno zrobiło, taki biedny? Czy może ma nadzieję, że ja Serdiukowowi powiem, że Innocencik wcale nie jest taki zły i że to szef... Aha, gucio mu powiem. Niech się sami we własnym sosie kiszą.

Kłótnia jednak nie wybuchła – najemnicy byli zbyt już zmęczeni, dzień wyszedł niełatwy i jakoś wcale nie zamierzał się kończyć. Kolumna nie dojechała jeszcze nawet do miejsca, gdzie wraz z Tolikiem wyszli na asfalt, niosąc rannego Gila, więc do Śnieżynki zostawał szmat drogi...

– Daleko jeszcze? – odezwał się nagle Innocenty.

Budda drgnął – dopiero po chwili zrozumiał, że pytanie było skierowane do niego. Sekretarz Poruszczyka nagle się zrobił taki ciekawski i rozmowny? O co chodziło?

– Ze dwie godziny do Śnieżynki – ostrożnie odpowiedział filozof. – Chociaż naszym tempem pewnie dłużej. Sam na mapę popatrz.

– Mapę?

– No, w PDA.

– Ach, rzeczywiście. Nieszczególnie znam się na tym

sprzęcie – przyznał się Innocenty. – Żenia Klincowa to co innego. Ma wyjątkowy talent, doskonale radzi sobie z elektroniką.

– Ano, niezła jest – celowo dwuznacznie odpowiedział Budda. Nie chciało mu się wierzyć, że Innocenty uprawia z nim pustosłowie, więc rozmowa miała jakiś cel... Zatem trzeba było ją pociągnąć. – Niepotrzebnie ją do Zony ciągniecie ze sobą. To nie miejsce dla porządnych dziewczyn.

– No cóż... Tak się złożyło, że teraz jest bezpieczniejsza tutaj. Staramy się, aby w miarę możliwości nie miała styczności z samą Zoną i ze wszystkim, co związane jest... rozumie mnie pan, prawda?

– Doskonale. Stalkerzy, mutanty, anomalie, to wszystko trudno nazwać pasującym otoczeniem dla panienki z dobrego domu.

– Och, nie miałem na myśli pana. Bynajmniej. Jesteśmy, Wiktor Terentiewicz i ja, bardzo panu wdzięczni. Zobowiązani wręcz. Ten epizod ze snorkami...

– Innocenty, trzymajmy się może wersji na „ty”. To dużo upraszcza.

– Hę? Ach tak. Dobrze, niech będzie. Innocenty.

– Budda.

– No więc, jesteśmy ci wdzięczni za pomoc. Mamy jednak nadzieję, że też nas rozumiesz. Żenia jest... specyficzną młodą damą. Miała trudne dzieciństwo, dorastała bez matki. Wielu rzeczy po prostu nie rozumie.

– Na przykład...?

– Na przykład tych, o których dziewczyna w pewnym wieku powinna dowiadywać się od matki, a nie od koleżanek. To jeszcze dziecko i wyłącznie dlatego jej

pilnujemy. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem?

– Dziewczyna się nudzi z wami. Potrzebuje z kimś porozmawiać. – Budda zdecydował się wymacać grunt. – A ja się nie boję do niej ust otworzyć. Po koleżeńsku właśnie, jak do kumpeli. Żeby pogadać. A wy, nie wiem, że niby ja nie wiadomo co od razu.

– Musieliśmy sprawdzić, coś w ogóle za jeden i skąd się wzięłeś.

– Jestem znakiem – przypomniał Budda. – Zesłanym przez opatrność drogowskazem. Znam mitycznego Ślepego, słyszałem o błogosławionym Dietrichu van de Meerze trzecim, co w Afryce ratował małe dzieci. A ty mi tutaj: skąd się wzięłem! Wiesz co, poczułem się urażony.

– Nie należy tak lekko traktować tych spraw – fuknął Innocenty, który chyba zrozumiał całą głębię złośliwości. – Odpowiadamy za Żenię Klincową i tylko stąd nasza ostrożność. Ale teraz już wiem, że można ci ufać.

– Cieszę się niezmiernie. Przekażesz tę opinię Wiktorowi Terentiewiczowi czy zachowasz tylko dla siebie? – nie powstrzymał się od uszczypliwości gruby.

– To w zasadzie jego własne słowa. Sam poprosił, żebym je przekazał!

To ostatnie zabrzmiało niemalże uroczyście, więc Budda pomyślał sobie, że Innocenty oczekuje co najmniej ekstatycznej reakcji.

– Cóż, jestem zaszczycony. Naprawdę, schlebia mi to.

Przez chwilę panowało milczenie, potem Innocenty nachylił się ku Buddzie.

– Bardzo ważne jest dla nas, aby takie zaufanie było obopólnym.

Aaaaa, uśmiechnął się w myślach Budda. Tuś mi,

ptaszku. Teraz dochodzimy do sedna sprawy. Dopiero teraz mi powie coś ważnego, pod co szykował grunt tym tanim teatrzykiem.

– Słucham cię zatem uważnie.

– Budda, kiedy odszukamy legowisko kontrolera, nie pójdą tam wszyscy. Większość naszych ludzi zostanie w obozie, z nami ruszy raptem kilku. W tym też Piotr Klincow oraz... oraz Żenia. Chciałbym, żebyś dołączył do tej grupy i pilnował dziewczyny, podczas gdy my będziemy zajęci.

– Zajęci czym? – niby z głupia frant zapytał Budda. Senność zupełnie już odeszła i teraz myślał, jak by tu ustawić się tak, żeby dali mu i Żeńkę, i przenośny sejf.

– Tym, po co przybyliśmy do Strefy Zamkniętej. Będziemy nawiązywać kontakt z siłami wyższymi.

– Z kontrolerem jako pośrednikiem?

– Tak to można ująć.

Proszę bardzo, idźcie wszyscy do kontrolera. Dziewczynę i sejf zostawcie, już ja się nimi zaopiekuję, pomyślał Budda, a na głos powiedział:

– Możesz mi zaufać.

– Wybornie! – uradował się Innocenty. – Sam rozumiesz, ochronę Żeni nie każdemu możemy powierzyć. Istotne jest to, żeby ufała swojemu obrońcy, bo inaczej gotowa jest celowo zrobić coś na złość... Co nie raz i nie dwa już udowodniła.

– Muszę przyznać, że Wiktor Terentiewicz jest naprawdę niezmiernie przewidującym szefem.

– W rzeczy samej. Zawsze planuje wszystko bardzo szczegółowo na kilka kroków naprzód, starając się uwzględnić wszelkie okoliczności. Swoją drogą, jeśli

chcesz, to możesz odpocząć na moim miejscu, w samochodzie.

Budda, szczerze mówiąc, chciał bardzo – i właśnie dlatego odmówił. Coś za bardzo mu to pachniało prymitywnym sprawdzianem. A co takiego zrobi z tym nowo otrzymanym zaufaniem? Czy chwyci rzuconą pod sam nos przynętę?

Innocenty nie ciągnął rozmowy. Widocznie wyczerpał listę powierzonych mu przez szefa punktów. Kolumna pełzła po asfalcie, zmęczeni najemnicy machinalnie obracali głowy to w lewo, to w prawo. Budda znów zaczął zapadać się w półsen, oczy zaczęły się rozjeżdżać... Ocknął się dopiero wtedy, gdy snop światła z reflektora skoczył gwałtownie – Bosman zadudnił butami po żelaznym dachu, coś zawołał. Kazbek odpowiedział, najemnicy poruszyli się szybciej.

Coś się znów działo. Budda potrząsnął głową, nastawił uszu. Ach, znów psy wyją. Daleko gdzieś, za pagórkami, ale pewnie światło ich sięgnęło. Potem coś huknęło, chyba wystrzał, i jeszcze jeden.

– Kazbek, co jest? Widzisz coś tam?

– Coś się dzieje, szefie!

– Staniemy, sprawdzimy?

– Nie – uciał Serdiukow. – Nie nasza sprawa.

Kolumna toczyła się dalej, reflektor świecił w przód, macając drogę. Potem znów w oddali trzasnęło, dźwięk odbił się echem. Innocenty dopiero wtedy uniósł głowę, rozejrzał się. No tak, świeżak w Zonie, nie ogarnia.

– Budda, coś się dzieje?

– Cały czas gdzieś coś się dzieje.

– A teraz? Chyba ktoś strzela.

– To możliwe.

– Ach. Tak mi się zdawało.

Znów trzasnął wystrzał.

– Pojedynczymi bije – zauważył Budda. – Pech, bo bez karabinu na automacie w Zonie życie ciężkie. Szczególnie jeśli to to samo stado.

Serdiukow przebiegł wzdłuż kolumny do przodu. Teraz wyraźnie słyhać było basowy huk śrutówki i coraz bardziej histeryczny chichot ślepych psów, zbliżający się z minuty na minutę. Samochody stanęły, zgarnięci przez dowódcę najemnicy ustawili się na tyłach. Dalsza jazda była zbyt niebezpieczna, należało się przygotować.

– Jest, jest! – wydarł się Bosman ze swojego gniazda.

Stojący nieco z tyłu za najemnikami Budda też zauważył ruch. Mignęło kilka cieni, sylwetki wyłaniały się z mroku na okamgnienie i znikwały znowu. Błysnął ogień, huknął strzał, w blasku na chwilę ukazał się człowiek, biegnący po nasypie, i atakujące go psy. Kolejny strzał, wycie...

– Kazbek, Kałuża, Lewak, za mną! – zakomenderował Serdiukow.

Czterech najemników ruszyło na spotkanie ostrzeliwującemu się z pistoletu uciekinierowi. Zaterkotały karabiny, człowiek rzucił się szczupakiem na ziemię, pod nogi wybawców, psy zawyły dziko, próbując pokonać szkwał ołowiu... A potem wszystko nagle ucichło, w uszach został tylko dzwoniący pisk, przed oczami latały zielone i czerwone plamy powidoków.

Najemnicy podnieśli człowieka, potaszczyli ku ciężarówkom. Serdiukow szedł na końcu tyłem

i pilnował pobocza, ale psy odpuściły, wycofały się w noc. Budda podszedł bliżej, żeby zerknąć na cudem uratowanego, którego właśnie ładowano do ambulatorium w ostatnim wozie. Wyglądał słabiutko, kombinezon poszarpały psy, ręce i nogi pokryte krwawymi ranami...

– Po co nam ta padlina? – parsknął Innocenty.

Tamten dosłownie lał się najemnikom przez ręce, ale chyba był przytomny. Kiedy światło latarki padło na jego twarz, Budda poczuł, jak robi mu się gorąco, czym prędzej cofnął się w cień. Ignac! Ot, z kim wolałby się nie spotykać! A w twarzy tamtego widać było czystą, wściekłą nienawiść...

...lecz patrzył nie na Buddę, a na Innocentego.

Rozdział 12

Deszcz szumiał, tłumiąc wszystkie inne odgłosy – ale nie na tyle mocno, żeby zagłuszyć kilka serii z karabinów. Idący drogą Tolik zatrzymał się, pospiesznie wysupłał spod płaszcza rękę, zerknął na PDA. Zza brzegu ekranu powoli wypełzało kilka punktów. Trzy, pięć sześć, kolejne... Potem na pagórku nieopodal błysnęła latarka, oświetliła biegnący wzdłuż drogi nasyp.

Tolik rozejrzał się, czym prędzej odbiegł na drugą stronę asfaltu i przyczaił się w rowie. Zgasił latarkę, wyłączył swój PDA i zamarł. Sygnałów było zbyt wiele, przed takim tłumem nie ucieknie, i to jeszcze nocą. Pozostawało czekać. Jeśli miał szczęście, to nie zdążyli go...

– Ej, ty tam! Pokaż się! – zawołał ktoś z mroku.

– Dawaj, wychodź! Krzywdy nie zrobimy!

...zauważyć. No co zrobić? Wygramolił się z rowu, wstał, przysłaniając oczy od światła ręką. Zapaliła się jeszcze jedna wmontowana w kombinezon latarka, i kolejna.

– My z Wolności, a ty? – odezwał się młody głos.

– Tolik jestem, samotnik...

– Dobrej ci Zony, Tolik! – Wolnościowiec miał spokojny, wręcz wesoły głos, więc Skrzypek nieco uspokoił się, odetchnął głęboko z ulgą. – Szukamy jednego takiego, Ignaca. Z fabryki Rostok idzie, od czarnych. Nie widziałeś może typa?

– Tego, eee... z baru Ignaca, tak? Nie, nie widziałem. A to on tu się kręci? – Tolikowi znów zrobiło się nieswojo.

– Ano, widzieli go nasi.

– Wiecie co, na północ od drogi ktoś strzelał. Chyba jakiś duży oddział.

– Ha! – ucieszył się wolnościowiec. – Słyszeliście, chłopaki? Duży oddział! Mówię, że się czarnuchy pchają, w szkodę nam włączą!

– Ty, Tolik, a dokąd poszli? – zawołał inny. – I ilu ich tam?

– No, chyba na północ, nie wiem, tak jak droga. Trudno powiedzieć ilu, ale tam, z tyłu, całe stado kabanów ktoś uwalił. I jeszcze z psami chyba się strzelali.

– Ano, to i my słyszeliśmy, że ktoś bił. Czyli drogi się trzymają?

Tolik przyjrzał się stalkerom. Było ich dobrze ponad tuzin, wszyscy w ciężkim sprzęcie, pod bronią... Jeśli szukali oddziału Powinności, to zanosilo się na dym.

– Mówię wam, że sam ich nie widziałem...

– A droga dokąd prowadzi? – to pytanie było już skierowane do kogoś innego, żołnierze zaczęli rozmawiać między sobą. – Nie na Śnieżynkę?

– Śnieżynka, faktycznie! Powinność już od dawna sobie na nią zębiska ostrzy. Chcą pod siebie zagarnąć i teraz grupę wysłali. Walą z ciężkim sprzętem, jak

zwykle strzelają do wszystkiego, co się rusza. Myśleli, że jak równo z emisją wyjadą, to nikt ich nie zauważy... To co, chłopaki? Stawimy czoła za wolność waszą i naszą?!

Wolność dla Wolności była, rzecz jasna, brakiem Powinności. Odepchną łapę konkurującej frakcji z terenów, na które sami mieliby chrapkę, a przez to właściciel Śnieżynki będzie miał u nich dług wdzięczności... Za który w swoim czasie wystawi mu się rachunek.

– Tolik, chodź z nami! – zawołał pierwszy ze stalkerów.
– I tak po drodze masz!

– No, niby tak... Też na Śnieżynkę idę, ziomek tam czeka. Tylko myślałem, że to wojsko raczej idzie drogą...

– Jakie wojsko, to Powinność na sto procent! Dlatego się tutaj Ignac kręcił, węszył. Naprzód, panowie bracia!

– No dobra, może być, że razem. Tylko ja w strzelaninę nie idę, cienko z amunicją. Chyba że poratujecie?

– Do tej twojej pukawki? Ha, ha, ha! – Pytanie Skrzypka autentycznie rozbawiło ekipę, idącą pod najnowszą bronią. Skąd, po co im śrut? – Chodź, chodź. Jakby co, to trzymaj się z tyłu.

Wolnościowcy wysypali się na drogę i ruszyli nieskładną kolumną, przekrzykując się i śmiejąc, jak gdyby szli na piknik. Tolik wmieszał się w grupę, ukradkiem odpalił PDA i na szybko wstukał wiadomość do Buddy, że idzie ze stalkerami z Wolności i że tamci widzieli gdzieś Ignaca.



Konwój dotarł do Śnieżynki tuż przed świtem. Deszcz

ustał, ale wszędzie pełno było wody, kombinezony przemokły, buty przemiękły... Budda ledwie już szedł i kiedy komputerek pisnął cicho, w pierwszej chwili miał ochotę go wyłączyć. Potem jednak otworzył pocztę, przeczytał tekst. Uśmiechnął się kwaśno.

Ignac. Ano, faktycznie, Ignac. I co zrobisz? Nawet wiedział, gdzie tamten jest. Leży na podłodze w ostatniej ciężarówce, doktor go próbuje połatać, krew się zbiera w zagłębieniach gumowanego materaca. Mógł odpowiedzieć Tolikowi, ale co? Po co? I tak nie miał sił. Szedł tylko, noga za nogą, noga za nogą, pod stopami chlupało błoto. Nawet kiedy w końcu doszli do betonowego płotu, zza którego widać było żarzące się w opuszczonych budynkach ogniska obozowisk stalkerów, nie znalazł w sobie dość energii, żeby się ucieszyć.

Przyjazd kolumny nie mógł pozostać niezauważony – idących na przedzie Buddę i Serdiukowa powitały spojrzenia kilku stalkerów, przezornie trzymających się w wejściach do budynków z bronią w gotowości. Budda wystąpił naprzód, przedstawił się, nie omieszkął wspomnieć, jak przywłókł półżywego Gila... Ktoś go rozpoznał, atmosfera stała się minimalnie mniej nieprzyjazna. Kiedy w końcu Serdiukow zapewnił, że jego ludzie będą nocować poza obozowiskiem, na zewnątrz ogrodzenia, miejscowi w ogóle się uspokoili.

Zakończywszy rozmowy, Budda i Serdiukow wrócili do konwoju. Nikomu nie chciało się nawet rozbijać obozu, tylko Innocenty marudził coś o ochronie, jak wcześniej, ale robił to raczej dla zasady. Samochody zjechały z asfaltu i ustawiły się w koło, nad nimi

zawieszono płachtę brezentu, żeby deszcz nie zgasił ogniska. Bosman jako najmniej uchodzony wziął pierwszą wartę, pozostali rozesłali na mokrej trawie folię i zawinęli się w śpiwory.



Budda obudził się o świcie i ledwie dał radę się podnieść, tak zdrętwiały mu ręce i nogi. Ognisko wypaliło się, ledwie wciąż coś jeszcze żarzyło się w popiele. Wszyscy jeszcze spali, tylko Kazbek ziewał, chodząc wokoło zbudowanego z ciężarówek taboru. Popatrzył na powoli wstającego Buddę, skinął mu głową i poszedł dalej – ten zaś zarzucił na ramię plecak i powlókł się ku Śnieżynce, żeby przypadkiem nie zauważył go Ignac.

Nie wyszedł jeszcze poza obóz, gdy zajęczały drzwi, z ciężarówki wyjrzał doktor Zotow.

– Młody człowieku, daleko się wybieracie?

Spojrzenie lekarza nie zwiastowało nic dobrego, nietrudno było zgadnąć, że podobnie jak Innocenty cieszył się szczególnymi względami pracodawcy. Budda przywołał na twarz uśmiech, machnął ręką.

– A o, do znajomego handlarza. Umawiałem się przecież, nie? Że pójde chabar zrzucić. Skoczę raz-dwa z rana, żeby potem czasu nie tracić.

Śpiący na siedząco pod kołem ciężarówki Serdiukow uniósł głowę, jak gdyby wcale nie spał.

– E, czekaj tam, idę z tobą. Spylę kopyta od razu. Weźmie ten twój handlarz?

– Jak ze mną przyjdiesz, to za gotówkę i od ręki – obiecał Budda. – Chodź!

Tymczasem Zotow się schował, zamiast niego wyjrzał Innocenty.

– Pozwolicie, że i ja dołączę – zakomunikował sekretarz, zeskakując na ziemię.

Budda tylko skinął głową, jednocześnie pomyślał sobie: ot, bydlę. Tyle po nocnych smętach o zaufaniu... Ale nie dał po sobie nic poznać, poprawił tylko plecak i ruszył pierwszy. Niech tamci go gonią, jak mają ochotę.

W Śnieżynce też było jeszcze cicho i spokojnie. Budda poprowadził resztę ku centralnemu budynkowi, zeszli do piwnic. Tam zaczynał się już ruch, część stalkerów jadła skromne śniadanie, inni zbierali się w grupy, szykując do wyjścia. Pod boksem Gila stał zaspany jeszcze Mucha – w pierwszej chwili nie poznał Buddy, ten musiał się dopiero odezwać i przedstawić. Ochroniarz od razu rozłożył ręce:

– Budda, hej! No ciebie nie poznać, no... Do szefa pewnie?

– W rzeczy samej. Jak tam u niego?

– A niezgorzej chyba. Jeszcze nie otworzyliśmy, ale myślę, że dla ciebie zrobi wyjątek.

Budda spojrzał znacząco na ponurego Serdiukowa, weszli na włości handlarza. Gil faktycznie nie wyglądał źle, doszedł już do siebie po niemiłej przygodzie, która o mały włos, a byłaby dla niego ostatnią. Buddę powitał z nieudawaną radością:

– Ha, no patrz, jak ci do twarzy w moim starym ciuchu! Jak życie, jak Zona? Co tam masz, łapki snorkowe?

– Wszystko gra. Sam też, widzę, zdrowy już jesteś, i rumiany jaki!

Rzeczywiście, policzki Gila zaokrągliły się i pałały intensywną, niemalże wpadającą w pomarańcz czerwienią.

– Ano, prawda. Uwierzysz, że właśnie przez te pyzy mnie Gilem przewali?

– Gil, oprócz łapek mam też prośbę. A, słuchaj, masz lusterko i maszynkę do golenia? Dość mam już tej brody, powiem ci. I tutaj kolega też ma towar, weź od niego po dobrej cenie.

Budda poszedł się ogolić, Serdiukow szybko dobił targu i wrócił do ciężarówek. Innocenty został, ale teraz jego obecność była cokolwiek nie na miejscu, jako że nie miał powodu, aby cokolwiek z handlarzem załatwiać. Pokręcił się chwilę, popatrzył na to i owo, aż w końcu, gdy Gil zaczął patrzeć na niego wyjątkowo wymownie, stwierdził, że będzie w obozie, i sobie poszedł.

– Gil, posłuchaj. – Budda od razu przeszedł do meritum. – Niedługo mój przyjaciel, Tolik, powinien się tu zjawić. Przekażesz mu coś?

– Jeszcze pytasz! Jasne jak słońce. Co takiego?

– A ten kombinezon od ciebie. A ja sobie u ciebie tutaj coś prostszego wybiorę.

Uśmiech spłynął z twarzy Gila. Handlarz był nie w ciemnię bity i zrozumiał w lot, że Budda coś kombinuje... Dlaczego by miał się z takim sprzętem rozstawać?!

– Budda, pomóc ci z czymś? Albo z kimś może?

– Dam radę raczej. – Budda westchnął. – Wybacz, no chciałbym, ale nie mogę powiedzieć, co i jak. I karabin Tolikowi przekaz, amunicję powiedz, żeby dokupił.

Buddzie okropnie nie chciało się rozstawać z jakże

fajnym wizerunkiem doświadczonego, kutego na cztery kopyta mołojca... Ale jeśli Ignac go rozpozna, to witaj, smutku. Szczerze mówiąc, niepokoił się głównie o Żenię. Jak ona przyjmie tego nowego-starego Buddę? Bo przecież dla niej do tej pory był w zasadzie Spychaczem. Niepokoiło go to nawet bardziej niż szykująca się wyprawa do legowiska kontrolera... Buddha sam siebie nie poznawał! Dopiero co śmiał się z ludzi przywiązanych do doczesności, a tutaj raz-dwa mu wypasiony szpej do grzbietu przyrósł, znikająca pod pociągnięciami maszynki bródka była jak własna. I wszystko to było niczym, znikало, gdy o Żeńce pomyślał! Och, niech to Zona, cały czas o niej myślał!

Oczywiście, że kobieta w Zonie – tym bardziej dziewczyna! – to niezmiernie rzadkie zjawisko, więc zawsze będzie wydawać się ciekawsza niż spotkana gdziekolwiek na Dużej Ziemi – na ulicy, w towarzystwie, w komunikacji miejskiej czy w sklepie...

Zona zmienia punkt widzenia i patrzenia na doczesność, na ludzi... ale z Żenią było jeszcze inaczej! Buddha nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak bardzo ciągnęło go ku innej istocie ludzkiej. Tym bardziej że zdarzało mu się, wyszczekanemu i dowcipnemu, mieć sprawę z damami o wiele bardziej spektakularnymi niż ta chuda pannica... Ajjj, jak ona na niego teraz spojrzy, takiego grubego? Tak dawno już nie przejmował się swoim wyglądem, nauczył akceptować i świat, i siebie, a teraz... Teraz dawne kompleksy powracały ze zdwojoną siłą.

Nawet teraz rozmawiał niby z Gilem, a myślami był przy niej. Dopóki jechali przez Zonę, a ona była tuż za

żelazną burtą ciężarówki, było mu łatwiej. Natomiast w tym momencie czuł, jak coś się w nim trzęsie.



Żenia słyszała, jak Budda wychodził. Sama też chciała przejść się po prawdziwym obozie prawdziwych stalkerów, ale tata jej nie pozwolił. Nawet nie dał wyjrzeć z samochodu. A ona tak bardzo, bardzo, bardzo chciała zobaczyć obóz! Przecież to nie to samo, co baza naukowców na Jantarze, gdzie wszędzie były tabliczki i ogrodzenia, i żołnierze. Tam co prawda też nie pozwolili jej się rozejrzeć, ale jakoś tak bardzo nie zabolalo. A tu? No smutek, żal i ból.

Pasażerom pozwolono wyjść z samochodów dopiero wtedy, kiedy wrócił Serdiukow, który jednakże i tak zakazał opuszczania wytyczonego przez ciężarówkę obozowiska. Do Żenki, jak zwykle, podeszło dwóch starszych członków ekspedycji, którzy od zeszłego wieczora zdążyli już coś namieszać w ustawieniach swoich PDA. Żenka z istic anielską cierpliwością po raz setny tłumaczyła, wyjaśniała, pokazywała, zwracając szczególną uwagę na to, czego nie powinni ruszać... A oni potem mimo wszystko, albo właśnie dokładnie dlatego, w tym grzebali.

Potem w obozie pojawił się Innocenty, który zażyczył sobie rozmawiać z wczoraj uratowanym stalkerem. Żenia też poszła posłuchać razem z resztą znudzonych pasażerów, desperacko szukających jakiegokolwiek urozmaicenia. Oni w końcu nie widzieli ani mutantów, ani anomalii... Dla nich wszystkich ta cała ekspedycja to

dużo trzęsienia w ciasnych przedziałach ciężarówek.

Wszystkich – z wyjątkiem nieszczęśnika z niemalże oderwaną głową, leżącego pod betonową płytą na skrzyżowaniu. Ale on, siłą rzeczy, nie miał możliwości się wypowiedzieć.

Ignac był jeszcze słaby, ale na pytania już mógł odpowiadać. Usadzili go pod ciężarówką, Innocenty przysiadł na stołeczku i zaczął cierpliwie drążyć: po co, skąd, dokąd... Ignac nie rozumiał, o co chodzi, a ten wciąż pytał. Sekretarz chciał mieć pewność, że spotkanie było czystym przypadkiem; Ignac w kółko powtarzał, że szuka stalkera, ksywa Spychacz, trafił pod emisję, nadział się na szabrowników, zobaczył ślady kolumny, napadły go psy... Innocenty w zasadzie mu uwierzył, w końcu tylko zapytał: „Po co ci ten Spychacz?”.

– Biznes – uciął Ignac krótko.

Przyszedł Budda, więc Żenia od razu wycofała się z tłumu i podbiegła do niego. Ten uśmiechnął się szeroko, chcąc zamaskować niepewność. Jak dziewczyna zareaguje na jego wygląd?

– Ojej, a dlaczego się ogoliłeś?

– Żeby pokazać ci się w pełnej krasie! – Budda miał nadzieję, że głos mu nie zadrżał. Czuł, że jego oczy mogą zdradzać napięcie.

Ale Żenia chyba nawet nie zauważyła, że się przebrał i trochę inaczej wyglądał. No Budda, jak to Budda. Wesoły, dowcipny. Ten sam, który uratował ją od mutantów i z którym tak dobrze się jej rozmawiało. Coś w tym grubasku było... swojskiego, znajomego. Bliskiego wręcz. Jak gdyby znali się całe życie, tylko o tym nie wiedzieli.

Ignac zauważył Budde, zarejestrował obecność tłuściocha w starym sprzęcie, ale nie skojarzył go z jowialnym, kasiastym stalkerem-weteranem, szukającym „oczu diabła”. Tym bardziej że ten jeszcze był z dziewczyną. Ta złapała stalkera za rękaw kurtki, pociągnęła na bok.

– Słuchaj! – zatrajkotała od razu, jak tylko odeszli. – Ten gościu, co go od mutantów uratowali! Co z nim?

– No, w sensie... No poraniły go psy. Nie upadł na wznak, żyć będzie, cytując Eklezjastę.

– Ja nie o tym...! Poruszcuk z Innocentym wczoraj o nim rozmawiali. Myśleli, że już śpię, a ja słuchałam. I słyszałam wszystko! No, prawie że wszystko. Wiesz co, ja się chyba na zapas tutaj wyspałam, na całe życie. Wcale się nie chce! I leżę, i kręcę się...

– Żenia. O czym mówili?

– Zastanawiali się, czy go brać ze sobą.

– Że co, on też jest znakiem z niebios? – parsknął Budda. – Kolejny człowiek-drogowskaz?

Żenia potrząsnęła głową.

– Nie, nie. W tym sensie w ogóle nic nie mówili. Innocenty powiedział, że można go wziąć, bo przyda się na ostatnim etapie. Poruszcuk na to, że wszystko jest ustalone i po co zmieniać? A wtedy Innocenty coś, że tamten może się okazać bardziej pasujący czy jakoś tak to ujął... No, że lepszy. Że się lepiej nada, o! I wtedy Poruszcuk coś, czekaj... „Potrzebny jest intelektualnie rozwinięty wysłannik, a co do tego nowego nie mamy pewności”.

– Czekaj, jaki znów wysłannik? Tak w ogóle, czy ty wiesz, co ma się dziać, jak tego kontrolera znajdziemy?

– No skąd niby? Przecież nic mi nie mówią.

– Dziwne to wszystko...

Przysiedli sobie we dwoje pod ciężarówką, z dala od tłumu. Do obozu akurat przyszli stalkerzy ze Śnieżynki, najwyraźniej przekonani, że ciężarówki należą do jakichś obwoźnych handlarzy, jakkolwiek dziwny byłby to w Zonie pomysł. Wyciągnęli teraz psie ogony, niedrogie artefakty i temu podobny towar, próbując zainteresować nim członków ekspedycji, którzy siłą rzeczy faktycznie mocno się nim zainteresowali. Innocenty podszedł, żeby zdusić nieporozumienie w zarodku.

– No i co w końcu zdecydowali z tym typem? Biorą go?

– Budda wrócił do rozmowy.

– Biorą. Jako wariant zapasowy, tak powiedział Poruszczyk. On w ogóle często dziwne rzeczy mówi, ale rzadko przy ludziach. Do tamtych popaprańców religijnych to on mówi prosto, kawa na łąkę, jakby specjalnie słowa dobierał. W końcu to są w większości...

– Prole – uzupełnił Budda. – Święci prostaczkowie.

– O, to, to! A już z Innocentym inaczej rozmawia. Czasami aż mam wrażenie, że się zapędza albo mówi w obcym języku. Ja często nie nadążam!

– Mnie się zdaje, że on jest lekko trącony i po prostu bredzi. Jeszcze te głupoty czyta...

– Aha! – Żenia uśmiechnęła się szeroko. Wreszcie ktoś, kto ją rozumie! – No patrz, a ojciec świata poza nim nie widzi.

– Obłąd jest zaraźliwy – stwierdził Budda zupełnie poważnie. – Drogą kropelkową się roznosi podczas rozmowy. W tłumie to widać szczególnie, każdy tłum jest

jak obłąkany. Masz może wosk?

– Wosk? Po co?

– Kiedy syreny zaczynały swój śpiew, marynarze tracili głowę. Czujesz? Normalna infekcja obłądem! A szczywany Odyseusz kazał swojej załodze zatkać uszy woskiem. Szkoda, że na kontrolera to nie działa... Oj, no właśnie! Słyszałaś, że Poruszczyk chce cię wziąć w gości do Wyrodka?

– Do kogo?

– Do kontrolera. Siedzi tutaj jeden taki niedaleko, miejscowi go tak wołają. Miej na uwadze, że to niebezpieczna sprawa. Powiedziałbym, że „śmiertelnie” niebezpieczna, ale to za słabe określenie. I wcale nie żartuję.

Żenia popatrzyła na Buddę podejrzliwie, chyba faktycznie nie żartował.

– No to co mam robić?

– Jak tam dotrzemy, mnie się słuchaj. Oni sobie wymyślili z Fifty-Centym, że większość zostanie w obozie, a tam pójdzie tylko kilku. Co tam się może zdarzyć, to ja nawet boję się przypuszczać. Poruszczyk jest świrem, a Innocenty jego idiotyczne rozkazy wykonuje bez mrugnięcia okiem. Ty się mnie słuchaj, nawet jeśli wyda ci się to dziwne. Żenia, ja naprawdę bardzo, bardzo poważnie teraz mówię. Ufasz mi?

Budda planował uratować za jednym zamachem i dziewczynę, i sejf. Oczywiście, że może jej się to wydać dziwne... trudno żeby nie!

Tymczasem Innocenty próbował tłumaczyć:

– Jesteśmy ekspedycją naukową, nie handlarzami!

Stalkerzy nie odpuszczali, bo przecież każdy z nich

wiedział, że na Jantarze też siedzą naukowcy, a handel tam kwitnie. Wciskali towar, proponowali, zagajali... Innocenty wreszcie pogonił ich w diabły, Serdiukow i jego najemnicy poparli słowa sekretarza swoją ponurą obecnością. Potem było śniadanie, z samochodu wygramolił się Poruszczyk, żeby wysapać krótką przemowę: zostało już niedużo, cel jest bliski, ufajcie Panu, bądźcie czujni, nie zawiedźcie w godzinie próby.

Tymczasem Kałuża wraz z Kazbkiem wyszli za bramę, co nie umknęło uwadze Buddy. Nie miał pojęcia, jakie mogli mieć sprawy z lokalnymi, ale też nie miał kiedy ani jak pomyśleć, bo Żenia gadała jak nakręcona. Dziewczyna rzeczywiście wynudziła się w drodze i teraz nadrabiała zaległości – a i on nie miał nic przeciwko temu. Rozmawiali o wszystkim, o rzeczach mądrych i całkiem głupiutkich, zabawnych i smutnych, a on sam czuł, jak coraz mocniej więźnie w doczesności. Ha, co tu dużo mówić! Gdy patrzył na nią, to nie pamiętał ani o plecaku Innocentego, ani sejfie... ani nawet o „oczach diabła”! Nie potrafił, nijak nie potrafił wyzbyć się tego przywiązania – bo i wcale nie chciał się go wyzbywać.

Po śniadaniu Innocenty zarządził gotowość do wyjazdu. Droga nie była długa, maksymalnie dwie godziny, a potem dotrą do legowiska... Okazało się, że dwaj najemnicy chodzili do Śnieżynki, aby wypytać o Wyrodka. Ot, i po raz kolejny okazało się, ile warte jest zaufanie zarówno Poruszczyka, jak i jego sekretarza. Tak czy siak, chcieli sprawdzić, czy i na ile Budda mówił prawdę.

Nie dowiedzieli się co prawda nic nowego: no tak, jest taki kontroler, ma legowisko nieopodal. Podobno

kulawy, tak przynajmniej mówią, więc daleko nie odchodzi. Jako że informacja od Buddy potwierdziła się, to podjęto decyzję, że obóz rozbiją stosunkowo blisko ruin. W tym czasie Lewak i Kałuża wykopali pod betonowym płotem grób, pochowali Chroma. Cicho, szybko, sprawnie, bez emocji i zbędnych słów. Dokładnie tak, jak wykonywali swoją pracę... No był taki jeden, Chromem go wołali. Jadł, żył, pił, pilnował pleców, a teraz go nie ma. Za to robota jest.

Żeńkę zawołał ojciec, więc Budda czym prędzej nastukał kilka ostatnich instrukcji dla Tolika, bo potem może już nie być czasu. Ludzie kończyli zwijać obóz, Budda już-już miał puknąć klawisz wysłania wiadomości, pierwsza ciężarówka zawarczała silnikiem – i nagle ponad tym wszystkim zadudniła puszczona w powietrze seria z karabinu.

– Stać! Stać, bo strzelam! – rozległ się krzyk. – Ręce do góry, wyłącz silnik!

Miejscowi skoczyli za bramę, schowali się za płotem. Najemnicy rzucili się na ziemię, odczołgali za ciężarówki, członkowie ekspedycji pochowali się w pojazdach. Zaterkotała jeszcze jedna seria, podobnie jak pierwsza puszczona z pobliskiej kępy krzaków.

– Rzuć broń! Rzuć broń, bo będziemy strzelać!

Serdiukow sprawdził tylko, czy jego ludzie są na stanowiskach, ostrożnie wyjrzał z ukrycia.

– Coście za jedni?! – zawołał. – Czego chcecie?!

– Wolność! A wy kto?! – rozległ się młody dyszkant, za wszelką cenę próbujący brzmieć bardziej groźnie i poważnie.

– A my neutralni! Czego chcecie, pytam?!

– Neutralni czy z Powinności? – nieco mniej pewnie zapytał młody wolnościowiec.

– Ekspedycja naukowa! Czego chcecie, ostatni raz pytam?!

Budda widział, że tamtych było sporo, co rusz jakiś przesuwał się za krzakami. Z drugiej strony najemnicy mieli doświadczenie i ciężki sprzęt... I mogli liczyć zapewne na wsparcie miejscowych.

– A jest tam z wami Ignac?

– Jaki znowu Ignac?!

Budda przesunął się ku dowódcy najemników, szepnął:

– Ignac to ten typ, co go po drodze wzięliście! On ze Stu Radów jest, barmana chłopak na posyłki.

– Teraz to mówisz... – warknął najemnik, po czym znów zwrócił się do wolnościowców: – Jasne! Ignaca chcecie, to se go bierzcie! Wyjdź no który!

Z krzaków wyszedł młody chłopak. Widać było, że ma duszę na ramieniu, skoro stoi na linii strzału i swoich, i obcych.

– Tak... po prostu? – zapytał z niedowierzaniem.

– Mówię przecież. Chodźcie, nie ruszymy... Nie strzelać! – zawołał Serdiukow.

Dwaj żołnierze Wolności ostrożnie ruszyli ku obozowi, obserwowani przez ekipę Serdiukowa i bywalców Śnieżynki. Kazbek załomotał w burtę ciężarówki, w której trzymali Ignaca.

– Otwórz!

Wolnościowcy przestępowali z nogi na nogę, patrząc na solidne samochody i uzbrojonych po zęby najmusów. Innocenty zamienił z Serdiukowem kilka słów.

– Niech będzie. Dawajcie go tutaj – zarządził.

Ignac wyszedł z ciężarówki, rozejrzał się... Zobaczył najpierw wolnościowców, potem Innocentego, który akurat swoim zwyczajem uśmiechał się nieszczercze.

– Suuko ty, ścierwo radioaktywne! – zasyczał Ignac. – To tak ze mną?! O, czekaj ty. Znajdę ja ciebie, poczekaj. Już po tobie.

Innocenty wzruszył tylko ramionami.

– Graj twardego, gnoju. Zona widzi wszystko, na każdego patrzy. – Ignac źlił się dalej, nie mając w sumie zbyt wielu opcji. – Dorwę cię, słyszysz? Innocenty, ciesz się teraz każdym dniem życia, bo już po tobie.

Jeden z wolnościowców położył Ignacowi rękę na ramieniu.

– Idziemy.

Ten szarpnął się, ale wolnościowiec tylko zacisnął mocniej palce. Jego towarzysze już wychodzili z krzaków i pomiędzy nimi Budda zauważył... Tolika! Tamten też dostrzegł przyjaciela, uniósł brwi w geście zdziwienia, ale Budda tylko potrząsnął głową, puknął w PDA: masz maila, wszystko czytaj. Tolik kiwnął, od razu odwrócił wzrok. Bystry chłopak.

Wolnościowcy odprowadzili swego jeńca i zniknęli w zaroślach. Innocenty rzucił:

– Jedziemy!

Sam nie wsiadł do ciężarówki, ale podszedł do Buddy, podał mu zafoliowaną paczkę.

– Budda, to dla ciebie, honorarium. Zgodnie z ustaleniami, dwieście, bo z kontrolerem nas nie oszuka... to jest, nie pomyliłeś się. Co do reszty, nie zmieniłeś zdania?

Budda upchnął pakiet pod kurtkę, przełknął ślinę i potrząsnął głową.

– Idę z wami.



Zabrawszy Ignaca, żołnierze Wolności wycofali się. Dowodzący operacją młody stalker był cokolwiek niepokieszony. Oczekiwał, że uderzą na tyły całego oddziału przeciwnika, zajętego oblężeniem Śnieżynki, a tu... Najemnicy i jacyś naukowcy od siedmiu boleści. Niby dziwne, że samochody w Zonie, ale nie było to ostatecznym powodem do agresji.

Teraz należało przede wszystkim przesłuchać Ignaca. Dowiedzieć się od niego, co się dzieje i czego tu chciał.

Stanęli obozem, ludzie zajęli stanowiska.

– Tolik kazał przekazać, że idzie swoją drogą – zameldował młodemu dowódcy jeden z żołnierzy. Ten uniósł głowę, popatrzył – faktycznie, stalker zniknął już za pagórką.

– Niech mu Zona lekką będzie. No, Ignac, bratku! Gadaj. Czegoś tu szukał? Dlaczego z nimi jechałeś, co to za jedni?

Ignac spojrział na niego nienawistnym wzrokiem, splunął w trawę.

– A skąd mam wiedzieć?! – warknął. – Ja tu w interesach jestem. Szef mnie wysłał, żeby jednego typa znaleźć. Barman ma do niego sprawę, a on poczty nie odbiera.

– Aha, jasne! – parsknął jeden z członków patrolu, który jako pierwszy odkrył obecność Ignaca. To właśnie

on dumnie zameldował do bazy, że odkryli szpiega, i teraz za wszelką cenę chciał udowodnić, że tak dokładnie było. – To czemuś przed nami uciekał?

– A co, miałem dać się zastrzelić? Sami do mnie zaczęliście pruć.

– W powietrze, na postrach! Najpierw zawołałem! Najpierw „stój bo strzelam”, potem w powietrze! – Wolnościowiec aż spłoszował z nerwów.

– Aha, jasne. W powietrze dlatego, żeś nie trafił po ciemku. Tylko kule gwizdały.

– Przecież...!

– Cicho – zarządził dowódca. – Pieprzu, cicho bądź, nie gadaj. Ignac, spuść parę. Na spokojnie, dobrze? Tak? No. Dlaczego uciekałeś?

– Strzelali do mnie!

– Mówiłem: spokojnie. Ja swoich znam, bez potrzeby by nie strzelali. Najpierw cię Pieprzu okrzyknął, kazał poczekać. Nie posłuchałeś.

– Aha. A miałem się posłuchać, bo niby co? Nie wasze terytorium to było.

Dowódca potarł brodę. Fakt, jakoś nie tak to wychodziło...

– Zrobimy inaczej, Ignac. Dawaj PDA, zobaczymy, co tam masz.

Stalker parsknął, odpiął i podał zabrany martwemu bandycie komputer. Dowódca oddziału przeklikał opcje, otworzył skrzynkę pocztową.

– Taa, co my tu mamy... Ignac, nie stać cię na nowszy system operacyjny? „Zrzucił mi Ceglarz grypsa, że można pajaca z niezłym towarem przy strumieniu dygnąć”... Co to ma być, ha? „Wymacali mnie, niedarady dalej ih

pukać...”. „Ich” przez samo „h” napisane. „Siwego psy zgarnęły, dostanie minimum pięć na trzy...” Co to jest w ogóle?

Ignac uśmiechnął się pod nosem, czas działał na jego korzyść. Nie było opcji, żeby uciec, ale i po co? Niech gorące łby ostygną, niech dojdzie do nich, że sami nawarzyli piwa i teraz będą musieli wszystko to z szefostwem Powinności wyjaśniać, tłumaczyć i przeproszać. Tępe ćwoki, pomyślał sobie, to dłużej im to zajmie.

– Aha, tu jest coś. – Dowódca dokopał się do najnowszych wiadomości. – „Jest kilka komplikacji, komputer mi padł, piszę z cudzego. Wolnościowcy mnie rozpoznali, prowadzą jakąś swoją operację. Nie jestem w stanie działać swobodnie”. I odpowiedź od razu: „Koordynaty?”. Ha, Ignac, tu cię mamy, ptaszku! Mów raz-dwa, czego tu szukałeś! A jak nie, to...

Dowódca szcęknął dźwignią przeładowania karabinu, przytknął Ignacowi lufę do rzepki lewego kolana. Ten, prawdę powiedziawszy, lekko spanikował. Tamci byli naprawdę jeszcze głupszy, niż zakładał! Co robić, co im powiedzieć?

Coś świsnęło, trzasnęło i plasnęło miękko. Dowódca wzdrygnął się, opuścił głowę i popatrzył na wyrwaną w kombinezonie na piersiach dziurę, z której właśnie zaczynała lecieć krew. Podniósł rękę, dotknął rany z niedowierzaniem i powoli przewrócił się na plecy. Jego podkomendni na chwilę zamarli, a potem rzucili się na wszystkie strony.

Załomotały karabiny, zalewając oddział Wolności nawałnicą ołowiu. Napadnięci błyskawicznie zajęli

pozycje, odpowiedzieli ogniem – w zagajniku widać było wyglądające zza drzew postacie w czarnych kombinezonach Powinności. Ignac przez chwilę zastanawiał się, czy ryzykować i uderzać na przeciwników od tyłu... Ale po chwili zwyciężyła pragmatyczność. Wyrwał z dłoni martwego dowódcy PDA, pociągnął ku sobie jego karabin i rzucił się w krzaki. Ktoś krzyknął za nim, ale było już za późno – zsunął się w zarośnięty rów melioracyjny i pobiegł, wtulając głowę w ramiona.

Był wściekły. Wściekły na debili z Wolności, którzy nic nie kojarzyli i nie chcieli uwierzyć, że złapali go nie tylko przypadkiem, ale i bezpodstawnie. Na idiotę barmana, który zamiast z Wolnością się dogadać, po prostu naszczył na nią Powinność. A już przede wszystkim był zły na Innocentego.

O tak. Ten pajac mu odpowie za wszystkich z nawiązką. Za mitomana i aferzystę Spychacza, za przygłupiego oberwańca Kalosza, za mającego go głęboko w dupie barmana, za wszystkie Powinności i Wolności, które o niczym innym nie myślały, tylko żeby się sobie nawzajem rzucić do gardeł.

Za wszystkich odpowie ten dupek z przylizanym przedziałkiem. Jak to go nazwał? „Padlina”, tak?

Jeszcze zobaczymy kto.

Rozdział 13

O dłączywszy się od ekipy Wolności Tolik nie wiedział nawet, jak bardzo w porę podjął tę decyzję. Ruszył z powrotem ku Śnieżynce. Nie odwrócił się po drodze ani razu, bojąc się spotkać wzrokiem z Ignacem... No, wpadł koleś, nie ma co, jak śliwka w kompot... I to w dużej mierze przez „technikolor”, który we dwóch z Buddą zakręcili.

Chociaż nie, tak na dobrą sprawę to nie. Przez własną chciwość się Ignac władował w kłopoty. I przez to, że jak barman zagra, tak on tańczy. Słusznie Budda o wolności mówił! Ignac sam wybrał, co i jak robi, kiedy chciał za plecami barmana sobie dorobić. Nie można być wolnym, jeśli człowiek ciągle się kogoś słucha. A przecież los wszystko widzi, Zona widzi i każdemu wedle zasług oddaje.

Drgnął, kiedy zza pagórka rozległa się kanonada. Przystanął na chwilę, posłuchał... Ruszył dalej.

W samej Śnieżynce nikt nawet na Tolika nie spojrział, bo wszyscy żyli niedawnymi wydarzeniami. Ha! Nie co dzień tak bywa, żeby goście się tak licznie zjawili, i to żeby na ostrzu noża wszystko stanęło. Skrzypek przeszedł się między stolikami, posłuchał, jak stalkerzy

sprzeczają się o to, kto miałby większe szanse w niedoszłym starciu.

– O, witamy ponownie – w końcu jako jedyny poznał go i zwrócił uwagę Mucha. – Spóźniłeś się, twój koleżka już sobie poszedł.

– Wiem, wiem. Miał mi coś u Gila zostawić, przekazać czy jak...

– Idź, szefa pytaj.

Gil od razu przeszedł do sprawy – wyjął szpej, podał karabin, zaproponował amunicję. Powtórzył, zgodnie z ustaleniami, że resztę miał Budda przekazać pocztą.

– A, faktycznie. – Tolik przypomniał sobie, że jakoś niedawno przyszła poczta.

Gil próbował delikatnie się dopytać, co się dzieje, czy może trzeba pomóc... Ale Tolik równie grzecznie odmówił, tłumacząc, że sprawę muszą we dwóch, on i Budda, załatwić. W końcu wziął naręczę rzeczy, usiadł w spokojnym kącie i zaczął czytać wiadomość.

„Tolik, ziomuś. W tobie cała nadzieja. Szpej ci zostawiam i karabin, ale nie spiesz się, myśl. Myśl! Jeśli zobaczysz, że nie możesz pomóc, to nie ryzykuj. Tolik, poważnie mówię: nie ryzykuj. Sam się w to władowałem, ciebie nie pytałem. Może i źle zrobiłem, nie wiem. Ryzyko moje tak czy inaczej.

Ziomek, tutaj dziwnie jest. Ostro dziwnie. Każdy w jakąś swoją gierkę gra, każdy coś ukrywa. Niby ekspedycja, a ja się czuję jak w teatrze. Kłamstwa tyle, że aż nie ma czym oddychać. Liczę tylko na to, że w końcu sami siebie pooszukują, a wtedy ja dam dyla z kasą. Może dasz radę wtedy mi pleców pilnować. A może i nie.

Do rzeczy. Masz ekspedycję, jedenastu uczestników.

Rządzi wszystkim niejaki Poruszcuk, Wiktor Terentiewicz zresztą. Frant jakich mało, na dziesięć słów jednaście kłamstw, kręci ostro, ale żołnierz z niego gorszy niż ze mnie.

Innocenty, jego sekretarz. Z wyglądu wege hipster, miękka pipka, ale ja tak czuję, że to srogi zawodnik. Może nawet najsroższy z całej ekipy... Serge'a pamiętasz? No to taki młodszy, uboższy brat.

Zotow, doktor Poruszcuka, ale o nim mało co wiem.

Reszta nieistotna, pionki.

Sześciu najemników ochrony. Wróć, pięciu zostało. Konkret ekipa, ale Poruszcuk im nie ufa i jak przyjdzie co do czego, nie weźmie ze sobą. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Idź śladem ciężarówek, nie spiesz się, i tak nie uciekną. Jak rozbiją obóz, czekaj w pobliżu. Z obozu wyjdzie grupa, może trzech, pięciu ludzi plus Poruszcuk, Innocenty i ja. Pójdziemy na ruiny, gdzie kontroler siedzi, a dalej to cholera wie. Serio.

Innocenty nosi przy sobie kasę ekspedycji cały czas. Jak się zacznie dym, a zacznie, to trzeba ją łapać i w długą.

Wokół obozu miny pewnie będą, do tego czujniki ruchu. Nie podchodź nawet.

Lornetkę sobie ogarnij najlepiej.

Nie podchodź do obozu... A, pisałem już. To trzeci raz: nie podchodź.

Tyle.

PS Wcale nie, nie tyle. Tolik, ta dziewczyna, co ci pisałem, Żenia. Człeeeeeniu. Co za dziewczyna, Tolik! Jakby co, to dziewczyna idzie z nami. Nie podoba mi się

ta trefna ekspedycja, nie zostawię jej z takimi posrańcami.

PPS Jak tylko określi się miejsce, zrzucę koordynaty.

PPPS O ile się uda.

Narka

Budda”

Tolik przeczytał raz, potrząsnął głową. Przeczytał drugi, podrapał się po policzku. Zaczął czytać trzeci... Coś tym razem Budda przekombinował. Ekspedycja, znów ta Żenia, kasa... Z tego wszystkiego „kasa” brzmiała najrozsądniej. Ekspedycja wyglądała na kasiastą, fakt... No i dobrze. Skoro tak Budda zdecydował, to tak zrobią.

Okej, czyli co – ma pójść śladem. Pilnować, nie podchodzić. Jak tamci wyjdą, to za nimi. I kryć Buddę.

Proste. Po co tyle słów było pisać?



Niebo tego dnia było jasne i radosne – zupełnie jak gdyby nie miało żadnego związku z wczorajszą pogodą, chlustającą deszczem zmywającym brudy po emisji. Ciężarówki toczyły się po asfalcie, Budda maszerował na czele kolumny zaraz obok Serdiukowa. Najemnik co rusz ponuro zerkał w jego stronę, stalkerowi wydawało się, że tamten zaraz coś powie – ale nie, odwracał wzrok i tylko zaciskał usta.

Mutantów praktycznie nie było widać, raz tylko na drogę wybiegło stado ślepych psów, ale od razu rozpiezło się na wszystkie strony, kiedy tylko pierwszy z najemników zdążył strzelić.

– Stare, doświadczone – skomentował Kazbek. –

Śnieżynka rzut beretem stąd, to się nauczyły. Gorzej, jakby na młode trafić.

Potem zjechali z asfaltu, samochody jeszcze bardziej zwolniły. Tutaj parli już na przełaj, więc co rusz trzeba było wypuszczać się w przód, sprawdzać trasę, pilnować...

– Ja poprowadzę! – zaoferował się Budda, wychodząc na szpicę. Tak naprawdę to rzeczywiście kojarzył miejsce, ale przede wszystkim chciał sprawdzić, co z dziwną anomalią, przy której poprzednio znaleźli „oczy diabła”? Może zniknęła po emisji albo przesunęła się, albo...

Nie. Była tam, w tym samym miejscu! Obejrzał się przez ramię, ale od kolumny dzieliło go dobre pięćdziesiąt metrów. Podszedł bliżej, popatrzył. E, zmalala jakoś tak, jeszcze mniej było ją widać. Ale za to w trawie leżał kolejny artefakt! Idealna połówka sfery, obrócona ku górze nierówną, brązową skórką, a po drugiej stronie anomalii jeszcze jedna, taka sama. Budda przykucnął, zgarnął tę bliższą...

– Co tam?! – zawołał Serdiukow.

Budda podniósł się, pokazał tylko ręką: objeżdżajcie bokiem! No, w sumie to nawet nie oszukał, bo rzeczywiście była tu anomalia, a on uważał, że powinni ją ominąć. Przez chwilę wahał się, ale w końcu zdecydował nie obchodzić anomalii, żeby wziąć drugi artefakt. Po co mają widzieć, że coś go zainteresowało? Niech sobie leży, w trawie go nie widać, przy okazji się zabierze.

W końcu Serdiukow zdecydował, że dalej nie ma co jechać. Konwój zatrzymał się na łące, idealnej pod obóz,

najemnicy ruszyli sprawdzić okoliczne krzaki, dopiero potem pozwolili pasażerom wysiadać. Od razu zawrzała praca, Serdiukow wyznaczył perymetr, robotnicy zaczęli stawiać systemy bezpieczeństwa, pojawiły się trójnogi, czujniki, przekaźniki, przewody, kable...

Żenia nie wiedzieć kiedy zmaterializowała się obok Buddy.

– No hej.

– No heej... Co taka dziś bezpańska jesteś? – uśmiechnął się filozof. – Wierny brytan Innocenty spuścił na chwilę z oka?

– Phi, on to taki jamnik raczej. Ubiera akurat Poruszcuka w jego lśniący pancerz, wszyscy się wokół niego krzątają, dokręcają śrubki i w ogóle. Kurde, ja nie wiem, jak oni dają radę się w trakcie nie śmiać.

– Pewnie ćwiczyli nieraz, to już ich nie bawi. A co, aż taki skis?

– Człowieku, sam zobaczysz. Ja zgniłam, serio... Poczekaj, aż wyjdzie.

Ale Poruszcuk nie pokazywał się, nie widać było też jego wiernych giermków. Praca jednak szła swoim torem, stadko Biskupa posłusznie montowało wszystko wokół, najemnicy rozstawiali miny. Każdy z nich chodził z dotykowym ekranem, patrzył, pokazywał...

– Żenia... – mruknął Budda. – A to, co mają, to pewnie do sterowania minami?

– Nooo! – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. – Bajer, mówię ci! Wizualizacja trójwymiarowa, prognozowanie stref rażenia, dziesięć programowalnych sekwencji odpalania! Jak mi raz pokazali, to...

– A dasz mi też popatrzeć? Jakbyś jeden taki sprzęcik

znalazła...

– Się robi. Powinien jeden po Chromie zostać. – Żenia tylko wzruszyła ramionami, zadowolona, że może być pomocna i sprawić Buddzie przyjemność. Nawet nie pomyślała, po co mu taki. Chce to chce, sama by chciała!

Poszła, po kilku minutach wróciła. Podała Buddzie tablet w pokrowcu.

– No masz. I wiesz co... weź go sobie w ogóle. Oni sprzęt po Chromie wrzucili do skrzyni z rzeczami do utylizacji, nikt się nie doliczy.

– Uch ty...! Złoto jesteś, nie dziewczyna. Tylko teraz mi pokaż, jak to działa.

– A już, patrz.

Stanęli w cieniu ciężarówki, Żenia zaczęła pokazywać Buddzie, jak wygląda sterowanie minami.

– Tutaj masz po kolei: pokaż ładunki, dwuklik tutaj uzbraja, dwuklik tutaj odłącza, tutaj przełączenie na czuwanie, tutaj masz poszczególne części, to z kolei wizualizacja... Patrz, jakie spoko!

– Tak patrzę, że ty sobie z tym nieźle radzisz. I długo tak cię szkolili?

Żenia pociągnęła nosem, spojrzała na Buddę spode łba.

– Tak szczerze, to drugi raz mam w rękę. Podejrzałam tylko, jak Serdiukow używał. No, ale co tu niby jest trudnego? Kilka ikonek, dwa przyciski z boku. A poza tym od środka widziałam, bo się Bosmanowi spalił bezpiecznik i musiałam naprawiać.

– Kurczę, dziewczyno, ty jesteś nie to, że złota, ale platynowa rączka. – Budda z uznaniem pokręcił głową. – Zostań w Zonie, zdetronizuj legendarnego pijaka

Kardana! W sensie w umiejętnościach, nie w pijaństwie. Toż przecież ja bym celowo psuł, żeby tylko patrzeć, jak ty naprawiasz!

Dziewczyna splonęła się, chciała chyba coś odpowiedzieć, ale nie zdążyła, bo z samochodu wyskoczył Innocenty i ruszył wprost ku nim. Budda czym prędzej schował urządzenie za pazuchę.

– No to co? – z udawaną radością odezwał się sekretarz. – Wszystko wedle ustaleń?

– No, chyba tak... – potwierdził Budda. – To znaczy, że niby jak?

– Ruszamy niedużą grupą. Żeniuś, to ciebie też dotyczy. Chciałaś popatrzeć na Zonę z bliska, tak? Otóż planujemy niewielką wyprawę w wąskim gronie, bez samochodów... Budda, a gdzie twój sprzęt? Czy to aby wystarczy?

– Na kontrolera pancierz nie pomoże. – Budda wzruszył ramionami. – A uciekać łatwiej na lekko. To nie jest czas na ciężki sprzęt.

– Tak? No nie wiem, w końcu...

Innocenty też nie zdążył dokończyć, bo z ciężarówki zaczął wyłaniać się Poruszczyk. Szef ekspedycji obłóczył się w pełny egzozkielet, więc z trudem zdołał zmieścić się w wąskich drzwiach i teraz macał obutą w pancerny chodak stopą drabinkę. Zza niego wyglądali Zotow i Klincow senior, całymi sobą dający do zrozumienia, że bardzo, bardzo chcieliby pomóc, ale nijak nie mogą nic zrobić... Innocenty skoczył do asysty, usiłował złapać za nogę, podtrzymać, nakierować – ale równie dobrze mógłby próbować ręcznie przesunąć siłownik podnośnika hydraulicznego. Biskup sapał, egzozkielet

buczał, poręcze przy schodkach trzeszczały, nieproporcjonalnie mała głowa człowieka kręciła się na prawo i lewo, próbując wyrzeć zza wysokiego kołnierza z kevlaru.

Żeńka puknęła Buddę łokciem.

– Dawaj, śmieję się. Reszta i tak tylko na niego patrzy.

Rzeczywiście, całe stadko rzuciło się, aby pomóc swemu opancerzonemu pasterzowi wysiąść z ciężarówki. W końcu Poruszczyk jakimś cudem znalazł się na ziemi, nie miażdżąc nikogo przy okazji, stanął przed swoimi owieczkami i zadudnił kolejne przemówienie. Zaczął, nie da się zaprzeczyć, od Adama i Ewy: że Zona to podobieństwo Raju utraconego, miejsce koncentracji obecności Bożej, tutaj wszystko jest bliższe Niemu, Jego, Go, Jemu i wszystkie inne przypadki, że tutaj On patrzy na każdego z nas i trzeba zachowywać się porządnie, nie śmieć i złych rzeczy nie mówić.

– Oto bliski jest już koniec tułaczki naszej przez pustynię świata współczesnego! – wyrzucał z siebie gładkie frazy Wiktor Terentiewicz, nieszczerze podobny do wychudzonego Mojżesza w powłóczyście. – Droga nasza nie była lekka! Okupiliśmy ją krwią naszego brata i towarzysza, Aleksieja Iwanowicza Satikowa...

– Kogo? – skrzywił się Budda.

– Chroma – szepnęła Żeńka.

– ...który może i nie podzielał w pełni naszej wiary, ale swoim zdrowiem i życiem, podobnie jak jego towarzysze, bronił nas do ostatka! Dlatego też ufajmy, że śmierć tych ludzi nie idzie na marne. Zaklinam was dlatego, bracia moi, nie upadajcie duchem! Nie traćcie wiary

i z podniesionym czołem pokonajmy razem te ostatnie już przeszkody. Niech ci, którzy pozostaną tutaj strzec obozu, czuwają pełni ufności, jak nauczył nas Pan! Czyńcie, co nasi bracia stróżujący wam przykażą, wspierajcie ich w niełatwym zadaniu... i módlcie się! Otwórzcie serca swoje dla Pana, niech ujrzy, jak czyste są zamysły nasze i jak wielka ofiara...!

Stadko wiernych otaczało Poruszcuka już tak blisko, że można było uwierzyć, że lada chwila rzuca mu się do stóp. Żeńka znów puknęła Budde.

– Ej, a czemu się nie śmiałeś?

– Jakoś nie wypada. Ale w środeczku zgniłem po całości. Nie ma co teraz się na głos śmiać, jeszcze się któryś obrazi... Przecież oni to wszystko na poważnie biorą.

Tymczasem Poruszcuk zakończył, dysząc ciężko, a pałeczkę przejął Innocenty, recytujący beznamiętnie formułki głosem początkującego ministranta.

– Bracia, proszę, abyście posłuchali słów Wiktora Terentiewicza. Módlcie się za nas, liczymy na wasze oddanie. Proście Pana, aby zesłał Wiktorowi Terentiewiczowi siły, aby pokonać mógł tę próbę ostatnią. Módlcie się o wsparcie duchowe i fizyczne...

– Módlcie się za siebie, bracia – odezwał się Poruszcuk. – Technika dana nam od Najwyższego zatryumfuje ponad słabością ciała doczesnego. Doktor Zotow również pomoże...

Lekarz skrzywił się.

– Moje preparaty nie są aż tak silne, nie starczą na długo. Czymże jednak jest marność nasza wobec mocy Najwyższego? Zaprawdę, niech lepiej Pan natchnie

Wiktor Terentiewicza mocą swoją!

– Nie wolno zaniedbywać żadnych środków! – wyrwał się ktoś z tłumu, inny od razu zaprzeczył:

– Nieprawda, modlitwa wystarczy!

– Modlitwa i technologia...!

– Bracia, bracia! – uniósł ręce Wiktor Terentiewicz. – Jeśli taka będzie wola Pana, da mi siłę bez lekarstw. Jeśli uzna za stosowne, wzmoże działanie środków farmakologicznych... Ufajmy Jego mocy, ale czynimy, co do nas należy, jako uczą nas Poszukujący Słowa! Bracia, wyruszamy za niespełną godzinę. Módlcie się oraz dokładajcie starań, a Najwyższy poprowadzi nas pewną drogą!

Nie wiadomo, jak długo by tak mogli się sekciarze przerzucać pustosłowiem, gdyby nie przerwał im Serdiukow. Najemnik już od jakiegoś czasu stał w pobliżu, potem zaczął demonstracyjnie sprawdzać sprzęt, szczerkać karabinem, aż w końcu wkurzył się i po prostu tknął Innocentego w ramię.

– Idziemy.

– Tak, tak, przyjaciele moi, czas nadchodzi! – uroczyście ogłosił Biskup. – Ruszajmy zatem!

Innocenty skinął Buddzie, podeszli bliżej. Zotow, Klincow, Serdiukow, oczywiście Biskup i jeszcze jakiś randomowy typ w kamuflażu, bodajże drugi kierowca którejś z ciężarówek. Budda nawet nie patrzył na przyszytą do kombinezonu plakietkę, bo resztę członków ekspedycji poza figurami traktował – tak to zresztą napisał Tolikowi – jak pionki, niewarte uwagi w tej rozgrywce.

– A więc, zanim wyruszamy, omówmy pokrótce plan

działań. – Innocenty zaczął z wysokiego C.

– Popieram – rzucił Budda w tym samym tonie. – Ja na ten przykład nie wiem nic.

– Już wyjaśniam. – Innocenty obdarzył go absolutnie profesjonalnym uśmiechem człowieka żyjącego z mówienia „odezwiemy się do pana”. – Otóż ruszamy grupą w niewielkim składzie ku ruinom, gdzie zakładamy, że gnieździ się kontroler.

Serdiukow nie skomentował, tylko splunął na ziemię. Widać było, co sądzi o tym pomysle. Niezrażony Innocenty kontynuował:

– Naturalnie w bezpiecznej odległości rozbijemy obóz tymczasowy. Rozłożymy osprzęt, aktywujemy perymetr obronny, będący miniaturą tego, który otacza nas teraz.

– Miny? – krótko zapytał Budda.

– Naturalnie.

– Kontroler się uchacha, jak sami przez nie do niego poleziemy.

– Będziemy monitorować teren przy pomocy detektora obiektów biologicznych. Skuteczny zasięg działania to pięćdziesiąt metrów, ale sprawdzaliśmy i sięga o wiele dalej. Potrafi rozpoznać i śledzić do dwudziestu obiektów jednocześnie.

– Proszę bardzo, po prostu mówię, jak będzie – burknął Budda. – A co dalej?

– To już koniec. – Innocenty poczęstował go kolejnym uśmiechem. – Dalej pozostaje nam tylko praca ze sprzętem. Budda, twoim zadaniem będzie ochrona i obserwacja. Przypuszczamy, że cała operacja zajmie nie więcej niż czterdzieści osiem godzin, potem powrót do obozu macierzystego i... I dalej już wedle okoliczności.

Wszystko zależeć będzie od wyników eksperymentu, który przeprowadzimy w obozie roboczym. Och, no właśnie! Jako że idziemy na dłuższy czas, to bierzemy ze sobą żywność, baterie i akumulatory. No i osprzęt, rzecz jasna.

– I miny – przypominał Budda.

– I miny, jakkolwiek one będą stanowiąc ledwie ułamek obciążenia.

„Obciążenie” było słowem, które doskonale podsumowało kolejną część przygotowań. Budda zaczął pakować plecak, z rosnącym przerażeniem patrząc na wcale niemalejącą stertę rzeczy do zabrania... Ale potem okazało się, że będą mieli tragarzy, więc po godzinie z okładem – oczywiście, musiało zejść dłużej, jak to zawsze z pakowaniem – ruszyło ich prawie tuzin osób. Obładowani plecakami, futerałami, pakunkami, ładownicami, taszczący walizy... Pozostający w obozie machali im na pożegnanie, życzyli powodzenia i cieszyli, jakby ktoś im w kieszeń... no.

Budda zaś miał złe przeczucia. Nawet nie to, że złe, fatalne! I z każdym krokiem coraz gorsze. W teorii to wszystko wyglądało logicznie i bardzo prosto, i właśnie ta logiczna prostota go przerażała. Przecież to jest Zona, do diaska! Jaki drugi obóz? Jaki w ogóle pierwszy obóz? Kto obozuje w Zonie...?! Drugi obóz – po co? Żeby przed tamtymi coś schować?

Na zewnątrz jednak starał się uśmiechać i udawać, że jest w pełni zadowolony z otrzymanych wyjaśnień. Żeńka w ogóle nie podejrzewała i nie zauważała niczego. Jej plecak był zdecydowanie lżejszy, więc dziewczyna miała więcej sił i gadała jak najęta, idąc obok Buddy.

Klincow senior popatrywał na córkę, nawet raz i drugi chciał podejść, ale Budda zauważył, że Innocenty go powstrzymał. Ki czort? Nagle taki dobry się zrobił, że swatać ich będzie?

A Żenię interesowało dosłownie wszystko, co tylko widziała. Bardzo chciała zobaczyć coś dziwnego, nietypowego, znaleźć jakąś anomalię, artefakt, część Zony – tej samej strasznej Zony, o której tyle się za Kordonem mówiło. Chciała, chciała – i była bardzo rozczarowana, że rzeczywistość nie dorastała do jej oczekiwań. Nawet rośliny były zupełnie zwyczajne.

– Ej, u nas jest taki ugór ze starą budową koło bloku, i tam to samo rośnie – nie wytrzymała. – Albo bardzo podobne. Chłopcy się tam w stalkerów bawili, dopóki menele ich nie przegnali.

Poza Żenią nikt się nie odzywał, bo i załadowane plecaki nie skłaniały do rozmów. Tragarze sapali i pilnowali tylko, żeby trzymać się trasy, którą wytyczał prowadzący całość Serdiukow. Najgorzej było z Poruszcukiem, któremu egzozskielet co prawda pozwalał w ogóle się poruszać, ale jego operator sapał, prychał i zipał, jak hipopotam z zapaleniem płuc.

Zagłębili się w nieduży las, do legowiska Wyrodka było już niedaleko. Serdiukow zwolnił kroku, wypatrując miejsca pod rozbite obozu – w końcu stanął pośrodku polanki, porośniętej niewysoką trawą. Tragarze zrzucili z siebie wyposażenie, przystąpili do ustawiania wszystkiego po kolei. Budda i Żenia dostali polecenie rozbicia namiotu, co ten pierwszy od razu zinterpretował na własny użytek: Innocenty nie chciał, żeby któreś z nich chociażby dotykało systemów

bezpieczeństwa. No, może bardziej o niego chodziło, bo Żenia i tak sobie poradzi.

Namiot okazał się wręcz ogromny, potwornie długi i diabelnie skomplikowany. Na całe szczęście do akcji wkroczyła Żenia, która błyskawicznie ogarnęła ideę załączonego w zestawie schematu i tylko mówiła Buddzie, co i jak ma robić. Zmontowali szkielet, potem przy pomocy Zotowa i Klincowa seniora naciągnęli wymalowaną w kamuflujące plamy płachtę. Kiedy w końcu spocony i zziajany Budda wyjrzał ze środka, okazało się, że miny są już w zasadzie rozstawione.

Żenia z ojcem zaczęli montować czujniki, wkrótce dołączył do nich Nikołaj, czyli drugi kierowca ciężarówki, mający nocować z nimi w obozie. Buddy nikt do dalszej pracy nie angażował, więc filozof przeciągnął do namiotu plecaki, przy okazji sprawdziwszy, że w należącym do Innocentego jest ten sam ciężki, kanciasty sejf, co ostatnio. Zresztą pozostałe pakunki też były naładowane przedmiotami w większości kanciastymi i metalowymi, ale jego interesował tylko ten jeden.

Nad obozem stanął maszt z ażurowym wiankiem anteny na szczycie, po obwodzie ciągnęły się ustawione na podpórkach przewody. Żenia z radością zaczęła Buddzie częściowo tłumaczyć, częściowo spekulować na temat przeznaczenia sprzętu; widać było, że sprawiało jej to przyjemność, a on w sumie cieszył się jej radością, zadając nic nieznaczące pytania, żeby mówiła dalej.

Poruszczone nie uczestniczył w pracach, tylko siedział w trawie i próbował dojść do siebie. Doktor nafaszerował go jakimiś tabletkami, ale te chyba nie za bardzo

pomagały, bo Biskup ledwie łąpał dech otwartymi ustami, czerwony i spocony.

Po kilku godzinach prace nad obozem dobiegły końca, Serdiukow polecił nocującym w obozie głównym, żeby zbierali się w drogę powrotną. Widać było, że jest zdenerwowany tym podziałem sił i zapewne tak samo jak Buddzie nie podoba mu się sama idea wyprawy. W pewnej chwili podszedł do Buddy i powiedział półgłosem:

– Mam nadzieję, kolego, że wiesz, w co się pakujesz. Ja bym im nie ufał.

Budda tylko westchnął, bo sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

Kazbek został z nimi jako ochroniarz, Serdiukow jeszcze coś mu długo tłumaczył, zanim zabrał resztę grupy i poprowadził ich z powrotem ku ciężarówkom. Kiedy tylko odeszli odpowiednio daleko, Kazbek uzbroił pole minowe – teraz byli zamknięci w obozie. Zotow wspólnie z Nikołajem schowali się w namiocie, żeby tam doglądać Biskupa, pozostali siedzieli na dworze. Kazbek twardo chodził wzdłuż przewodów na granicy strefy bezpieczeństwa, Innocenty grzebał w PDA.

Tymczasem Klincow zabrał Żenię na stronę i też długo, z namaszczeniem coś jej klarował. Budda nie słyszał głosu biologa, ale łąpał urywki odpowiedzi dziewczyny:

– Daj spokój, tato... Tak, wiem. Wiem, nie mam sześciu latek. Przestań... Dobrze wiem! Dziesiąty raz mi to powtarzasz...! Boże, tato! Czy ty na pawlaczu mieszkasz? Wiem, powiedziałam, mamy dwudziesty pierwszy wiek! Pawlacz, no pawlacz...!

Potem ojciec i córka też weszli do namiotu. Budda

przeszedł się po obozie, dopiero teraz mając czas pomyśleć, co dalej. Nagle nikomu się nigdzie nie spieszy... Przystanął nad Innocentym, ostrożnie zaczął:

– A jaki mamy tak w ogóle plan działania? To znaczy co na przykład mam ja robić?

– Ty? W zasadzie nic. Patrz, słuchaj. Jeśli cokolwiek się dzieje, przychodzą stalkerzy, pojawiają się mutanty albo cokolwiek, informujesz Kazbeka. Przede wszystkim miej Żeniusię na oku, żeby nie wykręciła czegoś głupiego. To twoja podstawowa funkcja, a Wiktor Terentiewicz przypuszcza, że nie jest ci niemiła.

– Hm, hm, no niech będzie. A wy co będziecie robić? Czy to tajemnica?

– Wiktor Terentiewicz musi odpocząć. Kiedy odzyska siły, rozłożymy niezbędną aparaturę i... dokonamy określonych czynności.

– Przy pomocy aparatury?

– Przy pomocy aparatury. Nie przejmuj się, nie będziesz musiał robić nic skomplikowanego.

– Dobra, okej...

Innocenty wstał i też schował się do namiotu. Budda stanął tak, żeby nikt go za bardzo nie widział, i napisał szybką wiadomość do Tolika, podając mu koordynaty obozu. Jednocześnie zaktualizował listę obecnych, przypomniał o polu minowym. Na końcu dodał jeszcze: „Zajrzyj do naszej anomalii, weź »oko diabła«. Sam jedno już wziąłem, mogą się przydać. Dziś nocą jedziemy z koksem”.

Rozejrzał się, znów nie mając co robić. W namiocie coś stuknęło, zgrzytało, terkotały klucze – pewnie Innocenty z Nikołajem montowali swoją aparaturę albo regulowali

coś przy pancerzu swojego lokalnego lorda Vadera. Klincow znów marudził, Żenia prychała i rzucała krótkimi, zjadliwymi replikami. Jak to określiła, że „pawłacz”? No, pawłacz jako żywo.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, wisząc coraz niżej nad wzgórzami. Gdzieś tam, pomiędzy nimi, były ruiny gospodarstwa, w którym gnieździł się Wyrodek. Jak wtedy z Tolikiem uciekali, to ile pokonali pagórków? Dwa, trzy? Chyba dwa... Trzeba Kazbekowi powiedzieć, żeby nocą w tamtym kierunku oświetlenie postawił. Pomóc pewnie na kontrolera nie pomoże, ale zawsze to coś.

Kazbek spokojnym krokiem chodził wokół obozu, na jego smagłej twarzy malowała się obojętność. Coś zbyt spokojny był... Może właśnie dlatego Serdiukow kazał mu ochraniać dziwnych klientów? Kto tam wie...? Budda zamyślił się...

...i nagle wszystkie myśli jakby wiatrem z głowy zdmuchnęło.

Życie w Zonie uczy człowieka zwracania uwagi na takie pozornie nieistotne rzeczy, rejestrowane gdzieś na poziomie głębokiej podświadomości. Budda poczuł – coś się zmieniło. Z niewielkim poślizgiem zorientował się, że umilkły głosy z namiotu. Dopiero co gadał tam Klincow, a teraz nagle umilkł. Nie to, że skończył mówić, a właśnie przestał, jakby ktoś go wyłączył. Cicho pisnęła Żenia, coś zaszurało, ktoś sapnął... Coś się tam wydarzyło!

Budda skoczył ku wejściu, podniósł połę namiotu i zrobił krok do środka, sięgając po pistolet.

Pierwsze, co zauważył, to Nikołaja, przyciskającego dziewczynę całym swoim ciężarem, dłonią

zasłaniającego jej usta i próbującego złapać za rękę. Żenia rzucała się i wyrywała, nad nimi pochylał się Zotow... a Biskup siedział obok i po prostu na to patrzył! Budda wyszarpnął z kabury pistolet, a potem potknął się i upadł – nawet nie zorientował się, że upada nie z własnej winy, a kopnięty pod kolano przez Innocentego, który przyczał się z boku przy wejściu.

Sekretarz podskoczył do niego, fachowo kopnął czubkiem buta w splot słoneczny, wybijając z płuc powietrze, a potem po prostu upadł na niego, przygniatając kolanami. Budda zacharczał, a potem w szyję wbiło mu się coś ostrego, nagle po karku rozlało się zimno... Świat zawirował, wzrok rozpląnął się i jakby z oddali dobiegł go spokojny głos Innocentego:

– Panie Kazbek, czy mógłbym pana prosić na chwilę? Coś się stało z Buddą... Niechże pan pozwoli do nas.



Ignac biegł ile sił w nogach, byle dalej od strzelaniny, kluczył pomiędzy drzewami, ściskając ukradziony trupowi PDA i również ukradziony karabin. Niech sobie Powinność z Wolnością strzelają, byle celnie – i jedni, i drudzy... A on chciał tylko przeżyć.

W końcu zwolnił, potem przyklęknął w trawie, pospiesznie zapinając komputerkę na przedramieniu. Włączył mapę, zorientował się w terenie, zarzucił na ramię karabin – niezły sprzęt, swoją drogą, on o takim mógłby sobie co najwyżej pomarzyć. Wbudowana optyka z kolimatorem, kompozytowe łożo, długa lufa, składany dwójnóg... Do pojedynczego strzału na sto metrów będzie

jak znalazł.

Innocenty, tak...?

Ruszył ku Śnieżynce, gdzie miał nadzieję znaleźć ciężarówkę.

Oczywiście konwoju już tam nie było. Ignac nawet nieszczerze się zdziwił, bo w końcu zbierali się do odjazdu, kiedy przyszli ci idioci z Wolności. Tylko dokąd mieli jechać? Coś tam mówili, ale bez konkretów... Wokół Śnieżynki kręcili się stalkerzy, więc nawet nie podchodził ku bramie. Kto wie co im do łba strzeli? Miał dość ludzi i ich durnych interakcji.

Ruszył dalej wzdłuż asfaltu. Skoro ciężarówka jechała w tę stronę, to raczej nie zawróciła nagle. Jeśli będą jechać drogą, to śladów nie będzie, a on po prostu pójdzie dalej; jeśli z niej zjadą, to będzie widać. Proste, skuteczne. Nie schowają się przed nim.

Innocenty się nie schowa.

Po drodze Ignac obejrzał jeszcze zdobyczny karabin, przeliczył amunicję w przezroczystym magazynku, nie za dużo, trzeba będzie oszczędnie gospodarować... Odżałował trzy naboje, ułożył się w trawie, wybrał za cel drzewo i przystrzelał celownik, z zadowoleniem konstatując, że broń biła w punkt. Potem jednak ledwie dał radę się podnieść, bo bolało go wszystko! Pogryzione ręce i nogi, mięśnie brzucha, jakieś sińce, stłuczenia... Kiedy biegł, nie czuł nic. Sięgnął po tabletkę kombinowanego przeciwbólowego i antybiotyku, chciał popić – wody nie było, manierkę zabrali. Łyknął na sucho, ruszył dalej.

W końcu znalazł to, czego szukał: wyraźnie widoczne miejsce, gdzie kolumna zjechała z drogi. Uśmiechnął się

do siebie, ruszył nieco bardziej w bok, żeby iść nie po samym śladzie, ale równoległe do trasy ciężarówek. Tak, tak, co się odwlecze, to nie uciecze, a Zona nierychliwa, za to sprawiedliwa.

Idąc w pobliżu kępy zarośli, Ignac w pewnej chwili zauważył, że spomiędzy krzaków wystają buty. Jak gdyby ktoś uwalił się tam, rozrzuciwszy nogi szeroko, i leżał sobie pod jałowcem. Nieruchomo zupełnie, i ze stopami mocno na boki, jak bez napięcia mięśniowego... Ani chybi nieboszczyk. Ignac podszedł bliżej, kopnął lekko jedną z nóg. Nic, zero reakcji. Pociągnął za but, ten zsunął się ze stopy, odsłaniając wiszącą luźno podwójną skarpetę.

Zajrzał w krzaki: trup. Wyszuszony jak mumia, skóra z gardła i twarzy zdarta pasmami. Juchociąg musiał go dorwać, wyssał do cna. Wnosząc po kolorze, to pewnie jeszcze przed emisją, ze dwa, trzy dni temu. Ignac chwycił nieszczęśnika za nogi, wyciągnął z krzaków, mimo że skóra dosłownie rwała się pod rękami i trzeszczała jak suchy pergamin. Fachowo obszukał, obmacał kieszenie... Oj, chyba nie był pierwszym, który to robił, bo denat nie miał przy sobie dosłownie nic. Tyle tylko, że przy pasku wisiała manierka.

Ignac splunął, przewyciężając obrzydzenie, odkręcił korek i zapił palące goryczą w gardle tabletki, które nijak nie chciały zlecieć do żołądka. Woda miała jakiś dziwny posmak, no ale trudno. Na bezrybiu i rak ryba.

Zostawił ogołocone zwłoki, poszedł dalej. Odpoczął chwilę pod drzewem, upił jeszcze zatęchłej wody, zastanowił się. Coś ciężarówek nie było ani widać, ani słyszać. Nie wiedział przecież, że ekspedycja już stanęła,

a on przeszedł dosłownie po drugiej stronie pagórków, oddzielających dolinkę od obozu niby-naukowców.

Co zrobić? No trudno, pójdzie jeszcze kawałek, a najwyżej potem się cofnie do śladów.

Co rusz zerkał na PDA, żeby nie włączyć się w anomalię, więc zauważył kilka kropek, pełzających po ekranie. Czym prędzej zawrócił i odbiegł, żeby w razie czego myśleli, że poszedł w drugą stronę, a potem wyłączył komputer i wrócił, ostrożnie skradając się przez krzaki.

Pięciu ludzi. Błękitne kombinezony najemników, ktoś w kamuflażu. Broń. Słyszał urywki rozmowy: że coś, obóz tymczasowy, nie tak daleko, więc jakby co, zdążą przyjść na pomoc, jeżeli Kazbek albo Innocenty ich wywołają...

Innocenty. Obóz tymczasowy. Idealnie.

Rozdział 14

Tolik zostawił gościnne progi Śnieżynki i ruszył na północ, by na pewno nie trafić ani na jedną, ani drugą ze stron konfliktu pomiędzy frakcjami. Potem skręcił w bok, żeby nie oddalić się zbyttnio od założonej trasy, ale tam z kolei drogę zagrodziło mu bagienko.

Licznik od razu zaterkotał. Coś musiało tam być, w głębinach, co ostro promieniowało. Sam wygląd i zapach topieliska też był w najlepszym razie odstręczający. Zielony kozuch na wodzie kołysał się i drżał, z wystających z toni gałęzi zwieszały się śliskie ochłapy. Miał wrażenie, że miejsce aż dyszy trującym oparem, nawet skarłowaciałe sosenki w okolicy miały brązowe igły. I znów takie dziwne uczucie, że ktoś na niego patrzy.

Aby nawet nie podchodzić do paskudnego miejsca, zawrócił na południe, ale tam z kolei rozciągał się gęsty, ciemny zagajnik. Zaczął kluczyć pomiędzy drzewami, wybierać co czystsze polanki i przecinki, przeklinając już w myślach durną marszrutę i własną głupotę. Potem przyszedł mail od Buddy. No tak, on prawie pół dnia zmarnował, łażąc bez sensu, a do obozu wcale nie miał stąd bliżej, niż gdyby siedział na tyłku w Śnieżynce.

Teraz trzeba się było pospieszyć, żeby dotrzeć tam przed nocą.

Kiedy w końcu znalazł się w bardziej znajomej okolicy, było już pod wieczór. O, a tam jest ich tajemnicza anomalia! Faktycznie, tak jak pisał przyjaciel, samotne „oko diabła” leżało sobie w trawie. Tolik schował zdobycz do kieszeni, uśmiechnął się. Ot, jak ładnie im wyszło, że barmana przekręcili! Jednak Budda to miał łeb na karku. Ani strzelać nie było trzeba, ani ryzykować, nic, a kasa w kieszeni grzeje. Jeszcze takich wałków we dwóch narobią, że...

Zajęty takimi przyjemnymi myślami, Tolik szedł ku wyznaczonemu miejscu. Zaczęło już robić się ciemno, w końcu postanowił, że pora się zatrzymać, odpocząć trochę. Nocą podejdzie bliżej ku tymczasowemu obozowisku i rozpatrzy się, co i jak tam się dzieje. Może jego ziomek da radę od razu jakoś sejf wynieść? A co! Nie takie rzeczy Budda odwalał!

Spodziewał się, że będzie widać ognisko, cokolwiek – a tutaj o mały włos, a by na ten obóz po prostu wlaź! Szedł przez las, już, już miał wyjść na polanę, lecz w ostatniej chwili przyuważył migającą na czyimś PDA błękitną diodę. Wyjął lornetkę, zaczął lustrować teren. Dopiero teraz zauważył namiot, zlewający się wcześniej z tłem, porozstawiane wszędzie wokół urządzenia i czujniki. A niech to, mało brakowało!

Przeklinając własny brak przezorności, odszedł kawałek w las, żeby na pewno nikt go nie spostrzegł. Wybrał sobie kępę krzaków, usiadł na ziemi i znów wyciągnął lornetkę. No tak, tu i tam migają światełka, ktoś chodzi. Trzeba poczekać.

Dochodziła już północ, kiedy w końcu zdecydował: pora. Sprawdził broń, odłączył PDA, żeby geolokator nie zdradził jego pozycji. Powoli, krok za krokiem ruszył ku obozowi. Czy bał się? Nie. Ufał Buddzie na tyle, że nawet nie przyszło mu do głowy, że coś może pójść nie tak. Niepokoiły go tylko miny, ale Budda zapewniał w mailu, że je wyłączy. Skoro tak napisał, to tak będzie.

Był już niedaleko, kiedy zauważył ruch w ciemnościach. Zamarł, przyczał się... Człowiek! Ktoś szedł ku namiotowi, wyprzedzając Skrzypka może o kilkanaście metrów. Ktoś z bronią, też co chwila przystający, nasłuchujący.

Tolik zdecydował, że puści tamtego przodem. Przecież nie będzie się z nim kłócił, nie?

A przy okazji okaże się, co z minami.



Świadomość wracała Buddzie powoli, kawałek po kawałku. Najpierw zaczął słyszeć, nadpłynął metaliczny zgrzyt i skrzypienie. Potem pojawił się ból i poczucie niewygody.

Leżał związany na brezentowej podłodze. Kark i szyję wciąż miał zdrętwiałe, w skrępowanych rękach czuł ukłucia tysiąca igieł.

– Jestem gotowy – odezwał się Innocenty. – Doktorze, co z naszymi przyjaciółmi?

– Zakładam, że posłaniec osiągnie stan stabilny w ciągu trzydziestu minut i wtedy będzie mógł przyjmować informację.

Budda spróbował rozchylić powieki. Nie widział co

prawda zbyt wiele, bo obrócili go twarzą do rogu namiotu... Ale obok niego leżała Żenia, również nieprzytomna i ze związanymi z tyłu rękoma. No, niedobrze, niedobrze... Próbował poruszać dłońmi, ale sznury trzymały mocno.

– Może go ocucić? – to z kolei był głos Nikołaja, kierowcy. – Na co tu czekać?

– Mamy czas – sapnął Poruszcuk. – Pół godziny jest tu bez znaczenia.

– No tak, ale jakoś tak... no nie tak, no. Już lepiej prędzej niż później.

– Niech będzie. Niech pan sprawdzi, co z tym młodym człowiekiem.

Budda znów zamknął oczy. Rozległy się miękkie kroki po brezencie, ktoś stanął nad nim, chyba pochylił się, słyhać było oddech... Nikołaj wziął Buddę za ramiona, zaczął podnosić do pionu, a wtedy stalker szarpnął się i z całej siły strzelił głową w przód. Trafił, bo aż chrupnęło, tamten krzyknął zdławionym głosem, zatoczył się do tyłu; Budda też poleciał na plecy i trzasnął potylicą o ziemię, ale było warto.

Udawanie nie miało dłużej sensu, więc o własnych siłach przekreślił się na bok, zdołał usiąść. Rozejrzał się. Nikołaj stał pod ścianą namiotu, trzymając się za krwawiący nos. Poruszcuk siedział na składanym krzeselku, Innocenty, majstrujący przy jakiejś żelaznej konstrukcji, na chwilę zamarł, popatrzył na niego krytycznie i uniósł brew. Co on tam skręcał? Płaska, metalowa skrzynka, długa na jakieś dwa metry i może z metr wysokości, pokryta dziwnym, plecionkowym grawerunkiem. Przedmiot jak z innej bajki, zupełnie

niepasujący do Zony.

U stóp Biskupa leżał znajomy już plecak z sejfem, broń Kazbeka, pistolet Buddy razem z wypatroszonym plecakiem... Urządzenie do sterowania polem minowym, a obok otwarty pojemnik na artefakty i leżące w nim „oko diabła”.

– A zatem – odezwał się Biskup – skoro wszyscy już są, to zaczynajmy. Nikołaj, niech pan pomoże młodemu człowiekowi usiąść. I proszę powstrzymać się od niepotrzebnej przemocy.

Kierowca przesunął Buddę, oparł jeńca plecami o żelazny słupek podtrzymujący namiot i pozornie od niechcienia kopnął w bok. Najwyraźniej to jeszcze kwalifikowało się jako przemoc niezbędna. Budda zgiął się wpół, potem powoli, z trudem wyprostował, znów rozejrzał... W drugim kącie namiotu leżeli Klincow senior i Kazbek.

– Ludzie, co wy najlepszego odpiardzielacie? – Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Totalnie was już pogięło?

– Młody człowieku – zupełnie spokojnie odpowiedział Poruszczyk – pozwolę sobie wygłosić niewielki wykład, więc proszę, aby mi nie przerywano. Obiecuję, że potem wszystko stanie się przynajmniej zrozumiałe.

Budda raz jeszcze poruszał rękami, skrzywił się.

– No to dawaj, Biskup, kituj swoje.

Miał zamiar przeciągnąć rozmowę na tyle, na ile tylko zdoła. Na stoliku stał zegar, pokazujący, że dochodziła już północ. Jeśli tylko Tolik da radę coś wykombinować i nie wleźć przy tym na minę...

– A zatem – podjął Biskup – udało mi się zebrać

wystarczającą bazę dowodową na potwierdzenie tego, że przodkowie nasi potrafili, w odróżnieniu od nas, zadbać o właściwe stosunki z siłami wyższymi. Jeśli przeanalizować całość zebranego przez homo sapiens doświadczenia, to staje się statystycznie oczywiste, że istnieje szereg doskonale opisanych i powszechnych praktyk religijnych, dających stały, pewny rezultat.

– Aha. To znaczy, że te same czynności regularnie nie dają żadnego rezultatu. Skuteczność sto procent – parsknął Budda. Jednocześnie filozof ani na chwilę nie przestawał kręcić dłońmi, chcąc rozciągnąć pętający je sznur.

– Mylicie się, młody człowieku. Od samego zarania dziejów nasi przodkowie składali ofiary bogom. Bogom, którzy w ich prymitywnym rozumieniu byli manifestacją sił wyższych.

– No, wszystko pięknie. Czy zakładali, że istoty doskonale potrzebują składanej w ofierze pośledniej, doczesnej żywności? Żywności, którą będąc bogami, nie tylko mogliby stworzyć, ale też w zasadzie stworzyli. To taki obieg zamknięty, nie? Ludzka stonoga?

– Naturalnie, istoty nadrzędne nie potrzebowały i nie potrzebują żywności. Ani takiej, ani żadnej. Proszę jednak spojrzeć nie na samo zastosowanie praktyki, a na eksperymentalnie wypracowaną na jej podstawie technologię. Proces, że tak powiem. Składanie ofiar ma wymiar stricte symboliczny, jako że poprzez akt ofiarowania człowiek demonstruje siłom wyższym swoją pokorę, oddanie i gotowość. Oddaje się, że tak powiem, w ich ręce, jednocześnie stając się ich częścią, a zatem dotykając absolutu. Im droższa, ważniejsza ofiara, tym

silniejszy wysłany przez nią komunikat.

Budda pokręcił głową, ale tym razem nie powiedział nic. Kierunek, w jakim szła rozmowa i cała sytuacja, zaczynały go konkretnie niepokoić, ale możliwość podyskutowania z wariatem była kusząca... Biskup mówił spokojnie, nie unosił się, dobierał argumenty. I tego właśnie spokoju tak bardzo Budda się bał, bo czuł w nim oddech przekonanego o swojej prawości i nieomyślności fanatyzmu.

– Co stanowi najwyższą, maksymalną formę i treść ofiary? – Biskup znacząco podniósł palec.

– No, nie wiem. Piątek na tacę.

– Młody człowieku, stać was na więcej.

– Dycha! – wypalił z głupia frant Budda, uśmiechając się szeroko. Uśmiech wziął się stąd, że znalazł na zespawanym z metalowych dwuteowników maszynie jakiś zadziór i teraz starał się za wszelką cenę przetrzeć o ostre miejsce krępujące go więzy.

– Rozczarowujecie mnie, doprawdy. Ofiara najwyższa... nic wam nie przychodzi do głowy?

– Syn pierworodny – wyszeptał Budda.

Na chwilę zamarł, gdy pierwsze włókno linki trzasnęło. Nie usłyszeli? Nie, chyba nie, tylko Biskup się skrzywił.

– Och, ten dramatyzm. Ale wy, młody człowieku, mówicie o pojedynczym przypadku, niedoprowadzonym zresztą do końca. Ja zaś jestem naukowcem i kieruję się metodami statystyki.

– No więc...?

– Dziewica!

Budda otworzył szeroko oczy, popatrzył na

nieprzytomną Żeńkę, na Poruszcuka.

– Naprawdę cię popierdoliło, grubasie – wysyczał.

– Doprawdy, młody człowieku. Rozmawiamy przecież kulturalnie. Ale widzę, że zaczynacie rozumieć.

– Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem. Rozumiem, że cię, wieprzu jeden, wypatroszę i flaki wokół głowy owinę, zanim zdechniesz na raka...!

– Wiktorze Terentiewiczu – odezwał się Innocenty – pozwoli pan, że mu mordę taśmą zakleję?

– Bynajmniej, nie ma takiej konieczności. Młodość rządzi się swoimi prawami, emocje muszą znaleźć ujście. To całkiem naturalne. Co z resztą naszych gości? Byłoby wysoce niestosowne, gdyby mieli słyszeć to, co będę tłumaczył dalej.

– Dostali podwójną dawkę – zapewnił go Zotow. – Mogę jeszcze dodać, jeśli ma pan wątpliwości.

– Gdyby był pan łaskaw, doktorze.

Zotow pogrzebał w plecaku, wyciągnął futerał z jednorazowymi strzykawkami. Poruszcuk chwilę pomilczał, wyrównując oddech, potem odezwał się znów:

– Nasi przodkowie składali dziewicę w ofierze żmijowi. Żmij, smok, potwór morski... Przykładów jest pod dostatkiem na całym świecie, nie mówię tylko o naszych ziemiach.

– Dobra, dość tych bzdur! – nie wytrzymał Budda. – Tak, tak było, i co z tego? Najpierw ofiary składali żmijowi skrzydlatemu, potem przy przejściu od trybu życia koczowniczego do osiadłego bóstwem był żmij mieszkający w najbliższym jeziorze, jako manifestacja świata podziemnego! Przecież dokładnie o tym Władimir Propp pisze w swojej „Morfologii bajki” z którego tam,

sześćdziesiątego siódmego roku...!

– Ósmego. Ale cieszę się, że jest pan człowiekiem wykształconym, bo to upraszcza moje zadanie. Zatem możemy skrócić część teoretyczną do minimum, skoro coś już wiecie.

– Wiem, że podobne praktyki zanikają już w okresie państwowotwórczym, jako że zmij wodny przestaje wystarczać w roli, jakiej wymaga od niego organizujące się społeczeństwo! – jednym tchem wyrzucił z siebie Budda, mający ochotę chociaż werbalnie zgnoić Biskupa. – Przychodzi okres królów-kapłanów, uosabiających siłę ludu i płodność ziemi, którzy sami są nierzadko w państwach plemiennych składani w ofierze bóstwu najwyższemu, skrywającemu się w błękitnym niebie. A po nich, faktycznie, któryś bystrzejszy rzuca pomysł: ej, a może zamiast mnie poświęcimy owieczkę? A potem owieczka staje się tylko krwią baranka, która też przechodzi w wymiar symboliczny! Coś się tak tych dziewic uczepił, zboczeńcu stary?! To już nieaktualne, passé! Wyszło z mody! Kumaszu, dziadu?!

– I tutaj się mylicie, młody człowieku. Otóż pierwotna praktyka nie zanikła, a stała się po prostu niejawna. Obrzęd faktycznego otwarcia się na absolut sił boskich zostaje odebrany ludowi, zamiast niego pojawiają się, jak słusznie zauważyliście, coraz bardziej tylko symboliczne, wręcz jarmarczne zamienniki. Prawdziwą ofiarę nadal sprawuje utajona kasta kapłanów, pielęgnujących prawdziwą wiedzę!

Biskup wyciągnął z etui staromodne okulary z grubymi soczewkami, nałożył je na nos i otworzył wyciągnięty z kieszeni sfatygowany notatnik. Przerzucił

kilka stron, z trudem nachylił nad zapisami: egzozszkieletu nie projektowano z myślą o czytaniu książek.

– O, proszę posłuchać, jak opisuje to Frazer w swojej „Złotej gałęzi”: „Szyllukowie systematycznie uśmiercali swych królów przy pierwszych oznakach choroby czy słabości. Budowano na taką okazję specjalną chatę, wprowadzano tam króla i kładziono go w taki sposób, że głowa jego spoczywała na łonie dziewicy będącej już w wieku odpowiednim do wstąpienia w związek małżeński. Następnie drzwi chaty zamurowywano, a para pozostawiona we wnętrzu bez jadła, wody i ognia umierała z głodu i braku powietrza”. Widzicie, młody człowieku? Lud widział tylko śmierć króla, ale prawdziwą istotą obrzędu jest poświęcenie dziewicy przy, cytuję znowu, oznakach choroby i słabości! A co z Grecją antyczną, z wojną trojańską? Bogowie żądają ofiary z Ifigenii. Potem Neoptolemos, syn Achillesa, zabija na ołtarzu Poliksene...! Albo historia złotego runa! Czyż śmierć Helli nie jest ofiarą dla bogów, aby Fryksos dopłynął do brzegów Kolchidy?

– Poruszcuk, ciebie naprawdę konkretnie pojebało – warknął Budda, który już niemalże dał radę przetrzeć i przerwać sznur. Teraz pozostawało mu tylko urządzić jakieś zamieszanie, najlepiej wyprowadzić Biskupa z równowagi. – Mylisz już nawet fakty. Hella do morza wpadła, na jej cześć Hellespont nazwali, kiedy z Fryksosem cięli, ile fabryka dała, byle dalej od Orchomenu. Ale ty przecież jesteś pierdolnięty, więc co cię to obchodzi.

– Zgadza się! Dopiero po tym, jak bogowie przyjęli

ofiarę Helli, pogoda się uspokoiła! – oznajmił Poruszczyk niemalże uroczystym tonem, ale w jego oczach błysnęło coś niedobrego.

– No to przecież mówię, że pierdolnięty jesteś, to wszystko ci się zgadza! Mało, że sam niedługo zdechniesz, zgnijesz od środka, to jeszcze dziewczynę ze sobą chcesz pociągnąć? Doktorze, szybko! Pan da pacjentowi coś na uspokojenie. Poruszczyk, nie jesteś sobą, jak zaczynasz gwiazdorzyć... Na ból głowy weź „niepierdol”! Albo na przeczyszczenie, może ciśnienie ci z mózgu zejdzie!

– Wiktorze Terentiewiczu, tracimy czas – zauważył chłodno Innocenty. – Po co próbować tłumaczyć temu... człowiekowi... cel jego misji i rolę, jaką ma odegrać? Spełni ją tak czy inaczej.

– Nie, Innocenty. Musi być świadomy! Nie jest wymagana zgoda, to oczywiste, ale świadomość jest czymś bezwarunkowym. Najwyższy czyta w sercach ludzkich niczym w księdze otwartej, a nasz posłaniec musi wiedzieć, co kazano mu przekazać. Rozumieć! Znać szczegóły, detale! Musi wierzyć!

– A ja nie uwierzę, i kij ci w ryj! – parsknął Budda. – Ja normalny jestem, tylko ciebie pogięło.

– Wiara, młody człowieku, nie jest kwestią wyboru. Tym bardziej że proszę wziąć pod uwagę: dla nas ważniejsza jest wiedza niżli wiara, więc wystarczy, że wysłucha mnie pan...

– Nie będę słuchać! Aaa! La-la-laaa! – wydarł się Budda. Poruszczyk spokojnie poczekał, aż stalker zmęczy się i ochrypnie... Tymczasem jednak rzucającemu się Buddzie udało się uzyskać to, czego chciał: ostatnia nitka

liny cicho trzasnęła. Od razu uspokoił się, ucichł. Teraz tylko znaleźć właściwy moment.

– A zatem – powiedział Poruszczyk po raz trzeci. – Najwyższy i tak wyczyta w waszym sercu, młody człowieku, jak bardzo pieczołowicie przyszykowałem się do rytuału. Dziewica zaś jest bezcenna, bo stanowi nie tylko istotę, ale i symbol! Symbol czystej przeszłości i nadziei na przedłużenie linii w przyszłości. I to jest ważne! Poświęcając ją, składamy w ofierze przeszłość, przyszłość i teraźniejszość, alfę i omegę! I czynimy to właśnie tu, w Zonie, gdzie tak bardzo skupiony jest Jego duch i Jego obecność!

– A ja nadal twierdzę, że jesteś świrem. Chory nie tylko ciałem, ale i umysłem, udręczony przez ból, naćpany farmakologią wrak człowieka. Głupi, tłusty, niedouczony ćwok. Pewnie ci koledzy w szkole zabierali kanapki na dużej przerwie, co? I dlatego tak się napaliłeś na Żeńkę, bo sam nigdy nawet dziewczyny nie miałeś... Ej, słuchaj, ty! A skąd pomysł, że ta laleczka jest niby dziewicą?

– O to już się nie kłopotcz – zasyczał Innocenty. Po samym Poruszczyku wszystko zdawało się spływać, jak po kaczce, ale sekretarzowi wyraźnie skoczyła piguła.

– Żenia przeszła komplet badań przed wyruszeniem na ekspedycję – wyjaśnił Biskup. – A w jej trakcie była dobrze pilnowana, proszę się nie bać. Młody człowieku! To porządne, czyste, prawe dziewczę. Najlepsza ofiara z możliwych. Inteligentna, bystra, z ogromnym potencjałem. Skoro jednak, młody człowieku, rozumiecie już istotę swej misji, to przejdziemy do części praktycznej. Doktorze, jak nasi podopieczni?

Zotow podszedł do reszty jeńców, omijając Buddę

łukiem. Sprawdził puls Klincowa, odciągnął powiekę Kazbekowi, zaśwycił latarką. Wymamrotał coś o silnym organizmie, wyciągnął strzykawkę. Na Żenię nawet nie spojrział – zapewne miała w trakcie „rytuału” być przytomna. Zresztą zaczynała się już poruszać i pojękiwać niespokojnie, mimo że świadomości jeszcze nie odzyskała.

– No dawaj, świrze, teraz część praktyczna. Podziel się ze mną detalami, a ja uszczegółowię diagnozę – zażądał Budda. – A potem receptę wypiszę. Lubisz pigułki żreć? Bo wiesz, starożytni Grecy, taki Galen na przykład, to lewatywę lubił. Ja nie wiem, co miał w głowie i czy sobie też robił, ale ja też ci wzorem starożytnych zrobię podobną kurację. Tylko że z pigulek ołowianych, dziewięć milimetrów. Słyszysz mnie, zgniłku jeden? Już nie żyjesz. I ty też, doktorze Mengele, oprawco jeden, za swoje dostaniesz. Niech się tylko z tego waszego obozu koncentracyjnego wyrwę, wy zasańcy nazistowscy...

– Dość! – charknął nagle Poruszczyk. Budda zrozumiał, że Biskup tylko udawał spokojnego, a tak naprawdę już od dłuższego czasu musiało się w nim gotować.

– Ej, a może nasz Fifty-Centy też jest dziewicą? Innocentus, jak tam u ciebie z tymi sprawami, co? Stulejka już zeszła? To może ja cię złożę w ofierze juchociągowi, poproszę o paczkę bielomorów. Więcej takie byle co nie jest warte...

– Dość, powiedziałem! – Poruszczyk aż pokraśniał. Innocenty dla odmiany zbladł ze złości. – Albo zaraz każę ci zatkać ryj... A zatem rytuał. Ołtarz jest gotowy, ofiara czeka. Pozostało tylko zwrócić na nas uwagę sił wyższych. I tutaj zaczyna się twoja rola, gaduło.

Żenia jęknęła głośniej, rzuciła nogą. Wszyscy popatrzyli na nią, Budda zdecydował: teraz albo nigdy! Nogi miał wciąż związane, ale liczył tylko na jeden skok.

Odepchnął się dłońmi od masztu, wyprostował i rzucił głową naprzód na Innocentego. Huknął go „z dyńki” prosto w piersi, aż zadudniło, poprawił uderzeniem pięści z góry, przewrócił i przygniótł swoją niemałą masą tak, że żebra sekretarza zatrzęszczały. Walnął łokciem, chciał przycisnąć przedramieniem gardło, ale Innocenty okazał się naprawdę zwinny, zaczął wykręcać spod niego... Gdyby Budda sięgnął go obiema rękami, to byłby go po prostu złamał jak zapałkę, ale jego lewa dłoń sięgała ku wiszącemu na pasie sekretarza tabletowi, sterującemu systemem obronnym obozu.

Nikołaj podskoczył z boku, kopnął stalkera w twarz, Innocenty zrzucił go z siebie, odepchnął nogami, Zotow złapał Buddę za kołnierz, odciągnął... A potem nastąpiła kaskada ciosów, kopniaków i uderzeń. Budda starał się tylko zasłonić głowę – bić się nie umiał nigdy, w byciu bitym wprawę miał od małego... Ale nawet teraz uśmiechał się przez ból, bo wiedział, że zdążył nacisnąć i przytrzymać duży czerwony przycisk awaryjnego odłączenia całego systemu.

Żenia uniosła głowę, otworzyła szeroko oczy – nabrała tchu i wrzasnęła, zaczęła ciskać się i rzucać w więzach. Zotow pospołu z Innocentym porzucili Buddę, skoczyli ku niej, lekarz chwycił z ziemi niebieską czapeczkę i przemocą wepchnął dziewczynie do ust.

Kiedy wszystko się uspokoiło, Poruszczyk podniósł się ze swojego miejsca i spojrzał na Buddę ciężko.

– To było głupie, młody człowieku.

Budda, nawet nie próbując siadać, skulił się, rozwiązał nogi. Teraz nie pozwolą mu na nic, oprawca Nikołaj w każdej chwili gotów był dalej go flekować, ale nie zamierzał dawać mu powodu. Teraz ruch Tolika albo... albo pozamiatane.

– A zatem, młody człowieku, wiecie już wystarczająco dużo, aby zostać pośrednikiem. Naszym posłańcem. Teraz pójdziecie do ruin, gdzie mieszka kontroler, który odczyta z waszego mózgu wiadomość o zbliżającym się obrzędzie. Dowie się wszystkiego, co wam powiedziałem. Dlatego też tłumaczyłem spokojnie, wbrew waszym prowokacjom... ale teraz nie muszę już okazywać wstrzeмиęźliwości, więc proszę nie denerwować ani mnie, ani moich pomocników. Ruszacie z posłaniem, a my czekać będziemy na odpowiedź. Najwyższy z całą pewnością da nam znać, jaka ofiara go zadowoli, w jakiej formie życzy ją sobie otrzymać i czy spojrzy łaskawym okiem na przygotowany przez nas ołtarz.

Budda splunął krwawą plwociną na brezent i zapytał:

– A jeśli odmówię? I tak mnie przecież stukniecie, jakkolwiek wszystko wyjdzie.

Zamiast odpowiadać, Biskup tylko skinął sekretarzowi, a ten dźgnął czymś Buddę w bok. Stalkerem szarpnęło tak, że mało sobie języka nie odgryzł, oczy prawie wyskoczyły z orbit, wszystko wokół błysnęło, ciało wygięło się w łuk z bólu... Kiedy doszedł do siebie, okazało się, że leży na ziemi, trzęsąc się cały jak liść osiki, nie będąc w stanie poruszyć nawet ręką.

Żenia płakała przez czapeczkę, łzy leciały jej ciurkiem. Budda zamknął oczy – chciał do niej mrugnąć, ale nie wyszło.

– Taser. – Innocenty zademonstrował przyrząd, schylił się nad dziewczyną. – A teraz...

– Nie...! – wycharczał Budda, ale było za późno.

To było najdłuższych kilka sekund jego życia. Widział każdy ruch, każde uderzenie błękitnego łuku elektrycznego, każdy terkot, gdy Żenia wiła się i wyginała jak w zwolnionym tempie, gdy oczy uciekały jej pod czaszkę...

– I tak aż do skutku – powiedział obojętnym głosem Poruszcuk, gdy Innocenty wyłączył urządzenie, a Żeńka oklapła drżąca na brezent. – Jestem sługą Bożym, chcę ku Jego czci odprawić najstarszy rytuał, jaki zna świat religii i nauki. Poproszę o ratunek i uzdrowienie, a On odpowie. Nie należy przeszkadzać w zbożnym dziele, gdy ołtarz czeka.

Biskup pokazał na metalową skrzynię.

– Uzdrowienie... – zaskrzeczał Budda. – Arystochernes, ha...!

– Tak, ten sam Arystochernes! Potomek półboskiego Perseusza, którego ród zachował najstarsze tradycje. Perseusz może i przeszkodził w ofierze Andromedy, ale los dosięgnął jego potomków.

– Dobrze... zgadzam się.

– Nie słyszałem, młody człowieku. Proszę powtórzyć?

– Zgadzam się! – załkał Budda, potem zacisnął pięści. – Tylko jedno ci umknęło w tej historii... To, co stało się z potomkami Arystochernesa i z nim samym.

Poruszcuk popatrzył na niego, pokiwał głową z powagą.

– Jestem gotów zaryzykować. Ja, młody człowieku, nie mam już nic do stracenia. Lekarze dają mi w najlepszym

razie trzy miesiące życia. A jeśli rację mam ja, a nie oni, to przede mną wiele, wiele lat! Lat, które pozwolą mi opłakać i odpokutować śmierć Żeneczki, po stokroć wynagrodzić jej ojcu stratę i dokonać wielu dobrych rzeczy. Środków mam na to dość.

– Świr, jak mamę kocham. Jebnięty, tłusty swir.

– Nie, młody człowieku. Jestem człowiekiem śmiertelnie chorym, który bardzo, bardzo chce żyć. I będę żyć! Muszę żyć, aby dać światu całe dobro, jakie niesie moja przyszłość!

– Ty nazisto posrany! A co z moją przyszłością, co z przyszłością Żenki?

– Dość wyjaśnień – uciął Innocenty. – Kontroler jest nosicielem zwiększonego skupienia łaski Bożej, on zrozumie nasz zamysł. Trzymaj! – Podał Buddzie jego własne PDA. – Załóż, nie wyłączaj. Będziemy śledzić twój ruch. Jeśli po kwadransie nie dotrzesz do ruin, uruchamiam taser. To samo, jeśli zaczniesz uciekać.

Żenia znów zaszlochała. Chciała powiedzieć Buddzie, żeby uciekał, nie myślał o niej... Ale knebel nie pozwolił jej wykrztusić ani słowa.

– Jeśli dasz radę przeżyć, to sobie żyj – powiedział Poruszczyk. – Ale nie sądzę, żeby oczekiwało cię w życiu cokolwiek dobrego. Zabrałeś jedno z urządzeń sterujących, zapewne chciałeś uciec z moimi pieniędzmi, zgadza się? Żenia, wiedziałaś o tym? A może... Może zmówiliście się? Oczywiście... Oczywiście! Skąd byście mieli urządzenie, młody człowieku? Żenia, zawiodłem się na tobie. I to wszystko dla pieniędzy... Wstyd, taki wstyd! Ale cóż, po owocach ich poznacie. Innocenty, odprowadź posłańca. A pan, doktorze...

Ale Biskup nie zdążył dokończyć – poła wejścia do namiotu poderwała się w górę, do środka wleciał Ignac z karabinem w ręku. Wyglądał strasznie – płonące dziką, obłąkaną nienawiścią oczy, porwany kombinezon, pokrwawione bandaże, brudna twarz, ściągnięta grymasem gniewu. Zauważył Innocentego, ryknął dziko i ściągnął spust, karabin bluznął ogniem.

Łomot, krzyk i wrzask zlały się w jedno. Budda przeraził się nie mniej od innych – czekał przecież na Tolika! Skoczył ku Źeńce, ale upadł jak długi, nie czując jeszcze nóg, poczołgał się, przekręcił dziewczynę na plecy, zaczął szarpać więzy.

Karabin zachłysnął się i umilkł, sucho trzasnął kilka razy pistolet. Nad Buddą wyrósł Nikołaj, ściskający się za bok ręką, spomiędzy palców lała się krew, w świetle żarówek czarna jak smoła... Odepchnął Buddę na bok, a ten po prostu poleciał jak worek kartofli i uderzył głową o żelazny stolik.

Widział przed sobą całe wnętrze namiotu. Ignac leżał na ziemi, wciąż ściskając karabin, nad nim stała potężna, czarna sylwetka Poruszczyka z dymiącym pistoletem w ręku. Innocenty na wpół siedział przy ołtarzu, jęczał, kasłał i krztusił się własną krwią, chlustającą z ran w przestrzelonych płucach. Nikołaj stał nad nim. Doktor Zotow klęczał w rogu, zasłaniając rękoma głowę. Scena jak z niemego filmu.

Poruszczyk powoli schował pistolet do kabury, nachylił się nad Innocentym.

– Kochałem cię jak własnego syna...

– Wik...torze... Tere... – Innocenty nie zdołał dokończyć, znów zakaszłał, na ustach wykwitła mu krwawa bańka.

Budda podniósł się, potrząsnął głową.

– Synu! – powtórzył Poruszcuk.

– Jednak Abraham i Izaak. – Budda uśmiechnął się słabo. – Widzisz, ćwoku? Masz swój kolejny znak. Są nowe czasy, to i nowa religia obowiązuje. Nie dziewica, a syn.

Biskup zacisnął usta, chwycił sekretarza, poderwał z ziemi – zawyły siłowniki egzozszkieletu – i po prostu rzucił na ołtarz. Innocenty zajęczał, krew chlusnęła mu z ust.

– Mój ukochany synu Innocenty. – Biskup przesunął po jego twarzy dłonią, dotknął szyi. – Mój chłopcze...

– Nie... nie! Dok-torze...! – zajęczał Innocenty, czując, jak Poruszcuk zaciska palce na jego gardle.

– Panie w niebiesiech jedyny! – zawołał Biskup. – Przyjmij ofiarę moją, którą oddaję Ci z lekkim sercem, ufny w Twoją łaskę...!

– Stój, rzuć broń, ani kroku, ręce do góry! – wydarł się Tolik, niczym huragan wpadając do namiotu. – Ręce! Ręce, mówię, do góry, żebym widział...!

Skrzypek zrobił krok w przód, wystawiając przed sobą karabin. Wszyscy zamarli, słychać było tylko rżący i świszający oddech Innocentego, trzymanego za gardło przez Biskupa. Ten popatrzył na przybłędę z bronią, na Innocentego... Spojrzał na przybranego syna, uśmiechnął się i zacisnął palce. Zachręściła miażdżona krtań, Innocenty rzucił się jak ryba wyciągnięta z wody, uderzył w panice nogami, chwycił dłońmi za pancerne przedramię – a Tolik ściągnął spust.

Klik.

Niewypał.

Stojący z boku Nikołaj poderwał rękę z pistoletem, trzasnęły strzały. Budda widział, jak z ran wylotowych w plecach Tolika lecą krwawe strzepy, z takiej odległości kule przeszły na wylot.

Tolik upuścił karabin, otworzył usta. Poruszcuk sięgnął po swój pistolet, Zotow też wstał, zaczął mocować się z kaburą. Budda załkał:

– Tolik... Tola...

Skrzypek przejechał dłonią po dziurach w kurtce, spojrzal na Poruszcuka. Sięgnął do kieszeni, wyjął zaciśnięte w rękę „oko diabła”.

– O wy... ja was zaraz... – wychrypiał.

– Młody człowieku, proponuję, żebyście... – zaczął Wiktor Terentiewicz, biorąc go na cel.

– Gównno.

Tolik rzucił artefakt pod nogi Biskupa, ten strzelił – kula szarpnęła stalkerem, który zatoczył się w tył. Za to rzucona połówka artefaktu potoczyła się ku stercie rzeczy, ku otwartemu pojemnikowi, z którego wyskoczyła druga połówka. Klik! Półsfery skoczyły ku sobie, niczym dwa magnesy, złączyły się w idealną całość.

– Wybuchnie! – Zotow krzyknął dojmująco, zakrył głowę rękoma, Poruszcuk niemalże podskoczył w swoim egzoszkielecie.

Nie stało się nic.

Budda szarpnął się z całej siły, chwycił leżący obok niego na ziemi karabin Kazbeka. Nikołaj spojrzal na niego, przerażony, nie zdążył zareagować – seria cisnęła nim o ścianę namiotu. Tymczasem Tolik, jakimś cudem nadal stojący na nogach, zrobił krok, drugi, upadł do stóp

Biskupa. Ten patrzył w niemym zdumieniu, jak chłopak gramoli się na nogi, czepiając się jego pancerza brudną ręką, a w drugiej ściskając...

– Niespodzianka – warknął Tolik, wznosząc nad głową artefakt. Trzasnął nim Poruszcuka w łysy łeb, jak kamieniem, a potem wepchnął anomalną kulę głęboko pod płyty pancerza. Biskup krzyknął, zamachał rękoma, odpychając go; widząc to, Zotow, już wcześniej ledwie trzymający nerwy na wodzy, ryknął z przerażenia i wyskoczył z namiotu, wrzeszcząc:

– Aaa! Wybuchnie, jesteście zgubieni!

– Gnido, ty dokąd?! – Poruszcuk strzelił do uciekającego, nie trafił. Ciężko przestawiając opancerzone nogi, ruszył za nim, strzelając raz po raz. – Wracaj tu! Ratuń mnie...! Zdrajco!

Budda odrzucił karabin z pustym magazynkiem, chciał wyciągnąć pistolet, ale Biskup już zniknął w ciemnościach. Żenia zajęczała, więc czym prędzej dopadł do niej, rozsypał pęta, a potem rzucił się do przyjaciela, który leżał bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku.

– Bu-bu... tfu, ble! – Dziewczyna wyciągnęła z ust czapkę. – Budda, kto to...?

Stalker nachylił się nad przyjacielem, delikatnie poklepał go po twarzy.

– Tolik, Tola, Toluś... Słyszysz mnie?

Skrzypek poruszył się, westchnął ochryple. Budda zakrył usta dłonią, żeby nie krzyknąć z radości, chwycił przyjaciela pod ramiona i powlókł na dwór. Żenia z niemałym trudem, zataczając się na miękkich nogach, ruszyła za nimi... We dwoje wywlekli Tolika poza

wyłączone pole minowe i dalej, w noc, w ciemność.

– Budda, kto to...? Dokąd my...?

Budda tylko sapał, kręcił głową i chyba płakał. Żenka posłusznie pomagała mu wlec rannego, ale milczeć już nie była w stanie. Za dużo się działo, za dużo się stało.

– Budda! Dokąd idziemy! Kto to jest?! Budda, po co go niesiemy, i dokąd, i dlaczego...

Budda nie odpowiadał – wszystkie jego siły skierowane były na to, żeby samemu nie upaść, utrzymać się na nogach. Skrzypek ledwie dyszał, rzeził i jęczał, a on czuł, jak z każdym oddechem z przyjaciela ulatuje życie. Po kropli krwi, po jednym wydechu...

Tak. To tutaj. Znajoma polanka. W świetle księżyca, przez łyzy w oczach, wyglądała inaczej, ale to było tu.

– Żenia, tam, w prawo...

Anomalii nie było widać prawie w ogóle, ale detektor piszczał aż strach. Budda podciągnął Tolika ku dziwnej, półprzezroczystej soczewce na skraju polanki, ostrożnie wepchnął przyjaciela do anomalii, uważając, aby samemu nawet jej nie dotknąć.

Tak, bał się. Bał się, że twór Zony uleczy przypadkiem też jego. Że ureguluje to coś, o czym kiedyś lekarz klarował mamie na Dużej Ziemi, przez co Budda nie mógł schudnąć. A wtedy energii może nie starczyć już dla jego przyjaciela.

Ułożył Skrzyпка w anomalii, a sam przewrócił się na trawę. W soczewce zakotłował się dym, mgła otuliła Tolika, a potem po prostu znikła – tak samo jak wcześniej w przypadku Gila. Dym rozwiął się, detektor umilkł – anomalia zniknęła. Tak po prostu.

Tolik leżał cicho, tylko jego oddech zaczął się

wyrównywać.

Czas mijał. Sekundy, minuty... Godziny. Trudno powiedzieć. W końcu Skrzypek poruszył się, usiadł. Rozejrzał.

– O, Budda. Ziomek, gdzie jesteście?

Stalker nie reagował. Żeńka dotknęła jego ręki, potem szarpnęła za rękaw, pisnęła:

– Budda? Budda! Budda, nie! Nie umieraj, nie...!

– Nie umarłem – mruknął filozof. – Ale jestem śmiertelnie zmęczony.

– Spałeś – skwitował Tolik.

– To możliwe, sen jest bratem śmierci.

– Uch, Budda! – Żenia pacnęła go ręką w ramię. – Ty to masz gadkę...!

– Budkę.

– Co?

– Budkę. Gadka Buddy. Taki żart nieśmieszny.

Tolik pomacał kurtkę, wsadził palec w przestrzelinę.

– Budda... Dlaczego mnie nie boli? Przecież do mnie strzelali, a nie boli. Nie jestem zombi, prawda? Bo słyszałem, że był taki jeden ziomek...

– Tolik. Błagam. Cicho bądź. Nawet jak mówię, to mnie boli. Strzelali, tak. Ranny, tak. Ja i Żenia... Tolik, poznaj Żenię. Żenia, to Tolik... Zawlekliśmy cię do anomalii. Tej, co Gila uleczyła, a wcześniej ślepego psa. Myślałem, myślałem i wymyśliłem w końcu, że tak musiało być. A szkoda by było, gdyby pies miał przeżyć, a ty zdechnąć. niesprawiedliwie. Zona widzi wszystko i wedle zasług oddaje. A ty zasługujesz, żeby żyć.

Tolik raz jeszcze popatrzył na kurtkę, zalaną krwią.

– Wcale nie boli – powtórzył. – A gdzie ta anomalia?

– Zdechła. Ona zdechła, a ty żyj. Taka sprawiedliwość...
Tak, Żeniś?

Żenia tylko pokiwała, nie wiedząc, co może powiedzieć. No tak, w sumie tak. Niech kolega Buddy żyje. I wszyscy inni też.

– A ja miałem cały czas wrażenie, że ktoś na mnie patrzy – powiedział Tolik ni z tego, ni z owego. – Co bym nie robił, patrzy i ocenia. Czy dobrze robię, czy źle...
Dziwnie tak.

Budda pokiwał głową, chociaż w ciemnościach ledwie można było dostrzec ten ruch.

– Oczy diabła. A przez nie Zona patrzy na nas i decyduje, kto ma żyć. Ona widzi wszystko, każdemu w duszę zagląda. I nagradza albo karze.

– A o, o nagrodzie...– Tolik sięgnął do kieszeni. – Budda, ja tu kasę mam od barmana. Zapłacił, czternaście tysięcy...

– A w sejfie pod namiotem nawet sam nie wiem ile. – Budda zachichotał nerwowo. – Oj, Skrzypek, udało nam się. Obrobiliśmy wszystkich.

Żenka pomyślała chwilę. Spuściła głowę, bąknęła:

– A ja na bank napadłam.

Budda powoli obrócił głowę.

– Co?

– Na bank napadłam – powtórzyła dziewczyna. – I nawet nie liczyłam, ile tam jest pieniędzy. Cała torba. Schowałam w dziurze na starej niedobudowie. I tak myślałam, czy ci mówić, ale...

Budda ostrożnie, sycząc z bólu, sięgnął ręką, objął ją za ramiona i przyciągnął ku sobie. Żenia przywarła do ciepłego, miękkiego, lekko przepoconego boku. Było jej

dobrze.

– Nasza baba, Żenia. Nasza baba! – powiedział z autentyczną dumą w głosie.

– O ja cię! – Tolik dopiero teraz załapał. – Bank...! Ale odlot! To co, słuchajcie, chodźmy tam? Trzeba namiot wyczyścić, reszcie pomóc... I tamci dwaj przecież uciekli.

– Zona – powiedział tylko Budda, tak jakby to słowo załatwiało wszystko.



Doktor Zotow jęczał, klął i wył – ból był przerażający.

Chciał odpełznąć dalej, ale połamane nogi zaczepiły o coś i teraz każdy ruch był dla niego męczarnią. Nad nim, pośród ruin gospodarstwa, stał Poruszczyk, trzymający w ręku połówkę cegły, pokrytą lśniąca w świetle księżyca krwią.

– Najwyższy, usłysz wołanie moje! – zaryczał Biskup. – Ujrzyj mnie! Czytasz w sercu moim jak w otwartej księdze! Ty dałeś mi siłę! Natchnąłeś mnie mocą swoją!

Zotow wrzasnął dziko, żałośnie.

– Przyjmij ofiarę moją!

Egzoszkielec zasyczał, wielokrotnie wzmacniając siłę chorego ciałem i umysłem człowieka.

Cegła opadła po raz ostatni.



Kontroler, nie wiedzieć czemu przezwany przez stalkerów Wyrodkiem, stał pod ścianą budynku i patrzył na dwie figurki.

Mniejsza, leżąca na ziemi, przestała się poruszać i powoli gasła. Większa, stojąca nad nią... była dziwna.

Mutant poczuł w sobie coś, co być może było echem dawno zapomnianej radości. Dawno wypaloną emocją, której nie czuł od... od długiego czasu. A może nigdy? Może dopiero teraz przyszła do niego, pojawiła się pozornie znikąd? Spłynęła z niebios.

Tak, kontroler czuł radość, ale w ciemności nie było widać, czy się uśmiecha. A jeśli nie ma obserwatora, to czy uśmiech liczy się, czy nie? I czy kontroler potrafi w ogóle się uśmiechnąć, odczuć radość? Któż miałby to wiedzieć?

Kto mógłby widzieć, co dzieje się nocą na porzuconym, zrujnowanym gospodarstwie, które każdy omija jak największym łukiem.

Tylko i wyłącznie Ona. Ta, która widzi wszystko.
Zona.

Koniec



Od autora

(czyli postowie nieobowiązkowe)

Niezależnie od pozornego obłędu, napędzającego działania Wiktora Terentiewicza Poruszcuka, jego działania i myśli nie były pozbawione pewnej logiki – jako że oparte zostały na faktach.

Jak by to powiedział Ślepy, który – o dziwo – nie pojawił się w tej książce osobiście, zajęty z Lariską na Dużej Ziemi, „pewnego dnia stalker Pietrow wpadł do piwniczki z węglem i tak narodziła się legenda o Czarnym Stalkerze”. A zatem (cytuując Poruszcuka), docierające do nas mity i legendy zawsze oparte są na takich czy innych prawdziwych wydarzeniach, lub przynajmniej na echach pradawnych zwyczajów.

W końcu nasza historia zna przypadki, i to liczne, składania w ofierze dziewczynek, dziewcząt czy też dziewic. Ale prędeż zgodziłbym się tutaj z Buddą, który podobnie jak autor czytał absolutnie przecudowne dzieło Władimira Proppa „Historyczne korzenie bajki magicznej”, które pozwolę sobie tutaj zacytować:

Rozpatrzenie wodnej natury żmija-smoka przybliży nas do jego koncepcji agrarnej. Koncepcja agrarna widoczna jest też w motywie, powyżej nazwanym „żmijową daniną”. Wszystko, co mówiliśmy o żmiju na początku, powiązane jest blisko z polowaniem, jako podstawowym źródłem pochodzenia towarów, w którym to pojawia się ten motyw: porywacz unosi ze sobą porwaną. Tutaj natomiast

ofiara jest do niego przyprowadzana. Formy, w których się to odbywa, odpowiadają obrzędowi poświęcenia dziewcząt demonom wodnym i bogom, z celem wpłynięcia na dobrostan krainy.

Ku myśli o agrarnym pochodzeniu tego motywu prowadzi rozpatrzenie jego występowania – otóż pojawia się on w typowych krajach rolniczych, w środkowym Meksyku, Egipcie, Indiach, Chinach, nieco mniej zaś w Grecji. Odzwierciedla on obrządek wydania przemocą dziewczyny bóstwu poprzez złożenie jej w ofierze. Zaczątki tego obrzędu spotykane są też na etapach wcześniejszych, chociażby w Ameryce Północnej – tam nie ma jeszcze zbiorów, nie ma rolnictwa, ale podobny rytuał winien zapewnić obfite połowy ryb. Jednakże, jak już zaznaczono, obrządek ten wraz z towarzyszącymi mitami doczeka się pełnego rozwoju tylko w krajach wczesnego rolnictwa. Zarówno Frazer, jak i Sternberg dość przekonująco udowadniają, że stosunek płciowy pomiędzy człowiekiem a bóstwem miał w założeniu wspierać urodzaj. Po pierwsze, widoczne to jest, ponieważ podobne obrzędy ślubno-ofiarne odbywały się przed zasiewami, a po drugie, były one szczególnie popularne tam, gdzie rolnictwo zależało od rzek, jak chociażby w dolinach Nilu, Gangesu, Eufratu-Tygrysu, Żółtej Rzeki. Tutaj dziewczyna była składana w ofierze istocie mieszkającej w wodzie. Sternberg pisze: „Jako że bogowie urodzaju uważani byli za szczególnie jurnych, która to jurność z kolei była niezbędna dla dobrostanu ludzi, stąd wziął się obyczaj składania ofiar, szczególnie młodych dziewcząt i chłopców – w zależności od tego, jakiej płci było dane bóstwo” (Sternberg 1936, 466).

Podobne ofiary mogły mieć bardzo różnorodną formę, ale tutaj istotne są tylko te, które powiązane są z wodą. Ogólne cechy takiej ceremonii w opisie Sternberga sprowadzają się do tego, że dziewczyna przebierana jest w strój panny młodej, ozdabiana kwiatami, nacierana wonnościami i sadzana na brzegu na szczególnej skale lub świętym kamieniu, „po czym jakiś krokodyl wciągał ją do rzeki, ludzie zaś byli w pełni przekonani o tym, że naprawdę staje się ona żoną krokodyla, uważając, że gdyby ta okazała się nie być dziewicą, to zostałaby przez niego zwrócona”. Podobnego rodzaju ceremonie ofiarne miały oddziaływać na plony bądź w ogóle na wzrastanie roślin. U ludów rybackich obrzędy takie rzekomo zwiększały ilość ryb. Obrządek taki zawsze blisko związany był z mitem wyjaśniającym, dlaczego taka ofiara jest potrzebna i skąd się wziął ów zwyczaj. Tak więc Algonkinowie i Huroni opowiadają, że zdarzyło się ongiś, iż ryb zabrakło i groził głód. Otóż wodzowi we śnie ukazał się przepiękny młodzieniec (bóg wody), który powiedział: „Straciłem żonę i nie mogę znaleźć ani jednej kobiety, jaka przede mną nie zaznała żadnego mężczyzny. Dlatego właśnie opuściło was szczęście i nie wróci, dopóki nie ucieszycie mnie w tym względzie”. Aby przekonać go, że jego narzeczona jest nietknięta, oddają mu młodziutką dziewczynkę, która siłą rzeczy nie mogła zaznać żadnego mężczyzny. Podczas obrzędu dziewczynkę zaślubiają splawieniem, tj. wrzucają do wody” (Sternberg 1936, 35; Frazer 143).

Wraz z rozwojem wczesnych form państwowości proшение sił wyższych o połów lub obfity plon staje się

już niewystarczające. Przychodzi czas króla-kapłana-czarownika, który osobiście odpowiada za dobrostan ludu i krainy, za zwycięstwa w wojnach, dochody z handlu i temu podobne. Wtedy ofiarą staje się władca bądź jego potomstwo, na co Frazer daje liczne dowody, wśród których sudańscy Szyllukowie są tylko jednym z przypadków. Można sięgnąć do czegoś bliższego, chociażby jakże często odsądzanych od czci i wiary „głupich Chazarów”, na tyle nierozsądnych, że uśmiercali własnych chanów. Co ciekawe, mężczyźni i chłopcy byli składani w ofierze częściej niż płeć piękna, jakkolwiek historia zna i takie przykłady – chociażby w mitach greckich, wspomnianych w rozdziale czternastym.

A już historię Arystochernesa, wybaczcie, po prostu zmyśliłem. Potrzebne było coś, co pchnie Poruszcuka we właściwym kierunku, a wątpiłem, aby ofiara prześlągalna dla floty/plonów/handlu/wojny miała go przekonać, więc wprowadziłem ten epizod. Niestety, historia ofiar z ludzi zakrojona jest na tyle szeroko, że praktycznie dowolny krwawy epizod przejdzie w niej niemalże niezauważony.

Wspomnieć należy też o ofiarach tak zwanych „budowlanych”, kiedy to pod fundamentami budynku zakopywano żywcem człowieka. Bardzo podobne opowieści, jakkolwiek nie podejmuję się tutaj oceny ich wiarygodności, krążą o starych ruskich twierdzeniach, a część uczonych wywodzi słowo *detinec* (dziedziniec) właśnie od „dzieci”, które rzekomo zamurowano w jego centrum, szykując się do budowy umocnień. Nie wiem jednak, na ile potwierdzone jest to w znaleziskach

archeologicznych.

Wiadomo natomiast o zwyczaju dodawania krwi – jakoby ludzkiej – do zaprawy murarskiej przy budowie.

Wietnamscy rzemieślnicy podobno wrzucali do roztopionego brązu ofiarę z człowieka... Czytałem też, znów nie rękując za informację, że jeśli w tyglu ze spizem na dzwony usmażyć dziewicę, to dźwięk instrumentu będzie wyjątkowo mocny i, o dziwo, łagodny – niczym płacz dziewczyny.

W sumie, uwierzcie mi, historia daje wystarczającą pożywkę dla dowolnej fantazji.

Ach, no i kilka słów o aferach! „Technicolor” był autentycznym przekrętem – czy też, cytując Buddę, „wałkiem”, znanym nie tylko w krajach byłego ZSRR. Neil Gaiman opisuje to w „Amerykańskich bogach” jako „sztuczkę ze skrzypcami”, nasza, sowiecka nazwa, pochodzi od o wiele bardziej prozaicznego oszustwa... Otóż dawno, dawno temu telewizory były czarno-białe, a kolorowe dopiero zaczynały się pojawiać. No i oczywiście znajdowali się cwaniacy, sprzedający na rynku „prawdziwe japońskie układy scalone”, które po odpowiednim wlutowaniu w posiadany odbiornik, miały uczynić obraz kolorowym... Skutków możecie domyślać się sami.

I na koniec, moja prośba: uważajcie na siebie i kierujcie się zdrowym rozsądkiem. Myślcie głową, nie dając się oslepić durnymi życzeniami i nadziejami. Współczesne nam technoprzesady, cyfrowe zabobony i miejskie legendy – by wspomnieć tylko lewoskrętną witaminę C, pamięć wody i atomy rtęci razem z abortowanymi płodami w szczepionkach – okazują się

nie mniej zaraźliwe i niebezpieczne niż fanatyzm religijny. A docelowo na szczycie piramidy zawsze siedzi ktoś, kto się na tym bogaci... I pół biedy, jeśli są to tylko Tolik i Budda.

No i, oczywiście, teraz jeszcze Żenia.

FABRYCZNA

ZONA



S.T.A.L.K.E.R.

S.T.A.L.K.E.R.



WWW.FABRYCZNA.ZONA.PL





foto © Wiktor Noczkin

WIKTOR NOCZKIN

Autor „Ślepej plamy” i „Czerepu mutanty” – bestsellerowych powieści z uniwersum S.T.A.L.K.E.R.a. Przygodę z pisaniem rozpoczął jako trzydziestolatek w latach dziewięćdziesiątych, po zmianie ustroju i upadku ZSRR.

W 2001 roku pisarz wyemigrował za granicę. W Niemczech podpisał pierwszy kontrakt z rosyjskim wydawcą na powieść fantasy. W trakcie ostatniej dekady wydał ponad trzydzieści książek i stał się jednym z najpopularniejszych autorów rosyjskojęzycznych.

W serię S.T.A.L.K.E.R., a potem Survarium wciągnął go Andriej Lewicki, który był jednym z pionierów tych książek. Literatura powiązana z grą komputerową to znak naszych czasów – uważa Noczkin.

„Oczy diabła” to już piąta książka Noczkinia przetłumaczona na język polski.

S.T.A.L.K.E.R.



*Nigdy nie wydany w oryginale,
a przetłumaczony na polski
„czwarty tom trylogii”
o Ślepym*

SURVARIUM



*A to już inna
historia*

OCZY DIABŁA

Żenia Pietrowna wpadła na genialny pomysł i okradła bank. Sprytnie, bezpiecznie i bez ofiar. Niestety, obrobiła z pieniędzy **niewłaściwych ludzi** i teraz musi na jakiś czas zniknąć z miasta. Musi tak bardzo, że przyłączenie się do ekspedycji ruszającej do **Czarnobylskiej Strefy Zamkniętej** staje się całkiem bezpiecznym wyjściem.

Budda i Tolik wędrują przez Zonę. Jako jedyni przeżyli masakrę brygady Zwornika i **muszą szybko opracować nowy plan** na najbliższą przyszłość. Pierwszy odruch, ruszać tam, gdzie są ludzie, wydaje się rozsądny. Wprawdzie spotkania z kolejnymi mutantami nie ułatwiają zadania, ale Zona znów

była litościwa, udało się przeżyć. A nawet uratować i dostarczyć w bezpieczne miejsce przypadkowo znalezione rannego. Niestety, jak wiadomo, **żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary**. Wizja względnego spokoju znika natychmiast, gdy ścieżki niepokornej Żeni i uduchowionego Buddy romantycznie przecinają się na pobojuwisku urządzonym przez pseudogiganta.



/fabryka



/fabrykasłów



fabryka słów

www.fabrykaslow.pl